

Jakub Winiarski

Loquela

UWAGA!

Autor, Jakub Winiarski, zezwala na dowolne kopiowanie i rozpowszechnianie utworu pt. *Loquela* w celach niekomercyjnych, z zachowaniem integralności tekstu.

Warszawa 2014.

*LOQUELA. Słowo to, zapożyczone od
Ignacego Loyoli, oznacza strumień słów,
którymi podmiot nieznużenie rozważa
w myślach skutki jakiegoś urazu
czy konsekwencje jakiegoś zachowania:
forma emfatyczna dyskursu miłosnego.*

Roland Barthes

Kobieta jest całkowitym obłędem i nieuniknioną katastrofą dla mężczyzny, mężczyzna jest całkowitym obłędem i nieuniknioną katastrofą dla kobiety, uczucia kobiety do mężczyzny są dla mężczyzny obłędem i katastrofą, uczucia mężczyzny do kobiety są dla kobiety obłędem i katastrofą, tak więc nie ma i nie może być nic, co nie byłoby dla kobiety i mężczyzny absolutnym i niepodważalnym obłędem i co nie byłoby absolutną i niepodważalną katastrofą, tak więc nie ma i nie może być nic, co nie byłoby ich pieczołowicie skrywaną przed światem *hate story*.

To samo tyczy się namiętności mężczyzny do mężczyzny oraz kobiety do kobiety, ich uczuć na tyle mocnych, by mieściły się w definicji obsesji.

Obłędem i katastrofą są jednak także samotność i połowiczność istnienia, nieuleczalna połowiczność jest najboleśniejszą katastrofą, a samotność najpospolitszym obłędem – lub odwrotnie – dlatego nikt nie potrafi przeciwstawić się siłom, które wiodą go w piekło namiętnej i wciąż popularnej miłości. Lubimy pamiętać nasz obłęd, lubimy te katastrofy...

PRZEDMOWA

Teczka z napisem „*Loquela. Zbudzi cię miłość* albo *Loquela. Poradnik debutanta* – wybierz któryś z tytułów”, trzy numerowane kasety magnetofonowe z monologami, kartka z nagłówkiem „motta” i druga „Wyдай tę książkę, Norbert.” – wszystko to było w paczce otrzymanej przeze mnie na początku 2003 roku. Nadawca, mój brat Tomasz Vremd postąpił tak, jak zawsze. Przekazał mi coś z prośbą, żebym zatroszczył się o to – i zniknął. Nawet nie próbowałem go szukać. *Loquela* przeczytałem, kaset wysłuchałem, motta obejrzałem i – Tomasz wiedział, że tak będzie – zacząłem to porządkować. Najpierw skolacjonowałem tekst z nagraniami i wybrałem motta, pomijając zbyt ostre (jak zdanie Cesarego Pavese: „Kiedy kobieta trąci spermą – nie moją – nie podoba mi się.”), za proste (jak to z Virginii Woolf: „Otóż nie mam absolutnie nic przeciw miłości; jest to jednak namiętność żalosna, to znaczy tępa i wulgarna, jeśli nie mają w niej swego udziału wyobraźnia, intelekt, poezja.”) i bez podpisu („Ja nie będzie w tej książce oznaczać ani autora, ani wymyślonej przezeń postaci, lecz zmienną mieszaninę ich obu.”). To, co zostało z *Loqueli*, zaniósłem do redakcji znanego pisma literackiego, licząc na pomoc fachowców. Krytyk, z którym rozmawiałem, zwrócił moją uwagę na formę snu w snach czy też snów w śnie, mówił o trzech mistrzach przeszkadzających w drodze przez oniryczne zaświaty, śmiał się, że to inaczej niż u Dantego z Wergiliuszem, a na koniec z poważną miną przekonywał mnie do istnienia jakiegoś pisarskiego stowarzyszenia literatury potencjalnej. Mnie bardziej interesowało zdrowie brata, dlatego spytałem o głosy, które bratu przysparzały tylu cierpień. Krytyk obruszył się i powiedział tylko: „Wie pan, panie Vremd, dzieło nigdy nie jest przejawem choroby, to choroba jest nieobecnością dzieła. Dopóki pański brat pisał, nic mu nie zagrażało...” „A on sam? On sobie nie zagrażał?” – spytałem. „Literatura to fikcja. Nie powinien pan się tak martwić o brata.” – odpowiedział. Trochę trwało, zanim zrozumiałem w pełni, co

miał na myśli. Odłożyłem *Loquelę* na kilka miesięcy, wróciłem do niej pod koniec roku. Obejrzałem jeszcze raz całość, dokonałem kilku skrótów i – oto jest.

Co do postaci występujących w książce: kabalista Isaak Luria, mistrz Szeng-jen, mistyk arabski Ibn 'Arabi oraz mój brat – istnieli naprawdę. O pająku wolałbym się nie wypowiadać. Nie wiem, czy istniała w życiu Tomasza jakaś rzecz-wista Dagmara. Nic nie wiem też o Jakubie Winiarskim, to chyba taka sztuczka Tomasza, który kazał właśnie to nazwisko umieścić na okładce. To tekst Tomasza, nie mój, do niego więc niech mają swoje pretensje krytycy i literaturoznawcy, którzy dostrzegą błędy i nieścisłości (np. tekst kursywą, który Tomasz żądał umieścić na początku).

Vremd bodaj po niderlandzku znaczy obcy. Może właśnie dlatego Tomasz pisał na swój temat nie w pierwszej, lecz w trzeciej osobie, jak o obcym. Ja nazywam się Norbert Vremd i jestem tylko pełnomocnikiem brata – w tej chwili dla mnie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – obcego.

Warszawa, 4 marca 2004

Norbert Vremd

I

**...może każde uczucie miało kiedyś
swoj język, który mu odpowiadał**

*A teraz patrzcie: jesteście świadkami
mego szaleństwa miłosnego, jak wzrasta,
jak wzbija się z królewskim przepychem.*

Leopold Buczkowski

ROZDZIAŁ I

Niebezpiecznie jest zakochać się we śnie, dać wypełnić się tajemnicami...

Zanim Tomasz Vremd zdał sobie sprawę z tego, jak niebezpiecznie jest zakochać się podczas snu, jego miłość do nieznajomej Dagmary, ta iluzja, w której daremnie próbował złączyć pozór z rzeczywistością, zawładnęła nim i otoczyła go tajemnicą. Tak, Tomasz Vremd całym sobą pokochał, lecz nie wiedział ani jak, ani kogo. Znał jej imię, to prawda, a jednak nie był pewien, czy wie o niej cokolwiek. Skąd przyszła? Jak się spotkali? Kim była? Próbował dowiedzieć się tego. Najpewniej była tylko losem, praprzyczyną wielu myśli i zdarzeń. Najpewniej nie musieli się spotkać, a jeśli spotkali się jednak, to pewnie przypadkiem, jak zawsze, gdy w grę wchodzi pech albo szczęście. Tomasz spotkał Dagmarę we śnie i być może tak powinno zostać. Przyśniła mu się wiele razy, ale jeden był decydujący. Słoneczna plaża, fale piasku koloru jej skóry; naokoło fruwały motyle, jednym z nich był, taka myśl mu przebiegła przez głowę, Tomasz. Gdzieś na skraju czaił się czarny pająk. Niebezpieczny, chorobliwy, złowróźbny. Sen zaciemniał się, jednocześnie rosnąc, przerastając to, co Tomasz poznał na jawie. Dagmara nie dostrzegała pająka i bawiła się niczym dzieckiem w piasku. W pewnej chwili zamieniła się w dziecko, w kapryszącą, kilkuletnią dziewczynkę. Tomasz nie był już w tej chwili motylem, był znów sobą i szedł w jej kierunku. Ale nie zbliżał się ani o krok, jakby znajdował się w takim miejscu wszechświata, gdzie przestrzeni nie udaje się przebyć, gdzie odległość między punktem a punktem jest ta sama na zawsze. Jednak starał się wciąż i wciąż myślał, że chce ze snu przeprowadzić ją w jawę. Nie wiedział, że życie tych wszystkich, co jak on zakochali się śniąc, wypełnione jest i oplecione pajęczyną, której nici to najczystszy ból. Czy spotykał ją tylko we śnie? Oczywiście, że nie, nie tylko. Spotykali się w wielkim budynku, gdzie oboje pracowali od daw-

na. Spotykali się więc regularnie, lecz to w snach nastąpiło zbliżenie. Tomasz dobrze pamiętał ten ranek, gdy obudził się przekonany, że historia, której we śnie doświadczył, naznaczyła go i zmieniła na stałe. Tamten sen zmienił świat w przyciemnione, naelektryzowane wnętrze. Był styczeń, ostre słońce rozcinało horyzont. Tomaszowi ulice wydawały się inne, inny był na nich śnieg i inaczej skrzypiały na lodzie lekkie buty, w których szedł na spotkanie tego, o czym myśleć nie potrafił przestać. Czas spędzony na rozpaмиętywaniu snu odrealnił całą pracę Tomasza. Jakby bardziej pozostawał przez te godziny w miejscu, które opuścił budząc się rano i wstając. Było tak, jakby wokół Tomasza zaroilo się nagle od obcych. Nie wiedział, skąd przychodzili i nie umiał powiedzieć, gdzie nikli. Nie wiedział, czy zostaną dłużej, nie wiedział, czy powinien się bać. Miał wrażenie, jakby tamten dzień w pracy zmienił więcej niż chciałby to przyznać. A Dagmara? Pojawiła się, przeszła, może nawet pomachała mu na powitanie ręką, nic nie wiedząc o śnie, w którym była, w którym była nawet mocniej niż w życiu. Tego dnia Tomasz zdecydował; przestał łudzić się, że ten sen był zwyczajny i że uda mu się go zignorować – zdecydował się więc i zadzwonił; numer jej telefonu miał od kilku miesięcy. Żenowało go trochę poczucie, że to wszystko dzieje się jak w romansie. Czuł, że mógłby mieć na imię Ricardo lub Alfonso i mówić po włosku.

– Miałem sen – zaczął z trudem, po polsku – a w tym śnie byłaś ty i był pająk. I motyle, chyba wszystkie gatunki motyli. I wiesz co? Pomyślałem zdanie, że motyle pojawiają się we śnie zawsze w hołdzie dla Nabokova. – Tomasz mówił i to był początek...

Możemy opowiadać jedynie swoje umieranie lub sny, ale to do nich przyznać się jest nam najtrudniej. Możemy wybierać między prawdą nieustającego bólu lub też kłamstwem ulotnych fantazji – oto co jest nam dane, kiedy chcemy użyć najlepszej formy dla myśli, którymi dzielimy się z każdym, kto zna już złe szeptu nicości. Jeżeli świat wydaje się interesujący, jeżeli naprawdę zwykli ludzie są ważni, nie przestajemy domagać się, by za-

przestano podsuwać nam pocieszenie. Wolimy znać prawdę, choćby miała ukazać to, co nieuniknione. Czasem właśnie to wydaje się nam najpiękniejsze. Tomasz już wybrał, opisy niepełne zostawiając współczesnym mu pięknoduchom. Predestynacja jest wiedzą o ukrytych początkach wszystkiego; predestynowani nie mają naprawdę zbyt wielkiego wyboru. W strefach pośrednich zostają mieszanki: umieranie we śnie, sny o umieraniu. Tomasz już zdecydował, że to ma być przeźroczysta historia, wystarczy, że bohaterowie, jak zawsze, nie mogą być zbyt racjonalni.

Kobieta – zanotował Tomasz, wspominając te pierwsze spotkania, zanotował już później, ponieważ postanowił spisywać to, co pamiętał – kobieta jest pewna, gdy stręczy. Wtedy jej rola jest ważna. Dagmara, mijając go w drzwiach, powiedziała jak gdyby z ciemności lub głębin:

– Podwieźć cię? – I była w tym nieunikniona propozycja, od której stara idiotka Nemezis zaczynała pajęcze machlojki, motanie sieci, podstępny. W jej lepkich, pomarszczonych rękach cienka igła wirowała bezgłośnie. Dla niektórych tak zaczynały się ćwiczenia z ataraksji i współodczuwania, dla Dagmary codzienność miała w zanadrzu dyskomfort, jak powiedziała, wizytę hydraulika. To wtedy zaproponowała Tomaszowi przejażdżkę. A on nie odmówił, starając się zanotować każdy szczegół w pamięci.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę. – Definicja przypadku nie pojawiła się na życzenie, a szkoda. Ułatwiłoby to rozpoznanie fabuły, która nie przypominała romansu, o czym zresztą Tomasz myślał później wiele razy. Tymczasem rozmawiali, czując koniec zimowych miesięcy. Jej sukienka kładła się prosto na biodrach, chyba jasna, ale Tomasz nie był potem pewien.

– Tylko taki mam samochód, serce – powiedziała, otwierając pachnące drzewem sandałowym wnętrze; wisząca na lusterku ozdoba wydzielala ten intensywny zapach.

– Serce moje pęknie – westchnął Tomasz, sadowiąc się na miejscu pasażera.

– Dlaczego?

– Z nadmiaru wzruszeń.

Po krótkiej rozmowie na temat separacji z mężem i po dłuższej chwili milczenia zdecydowane pragnienie wzięło górę nad tak zwanym rozsądkiem, więc nagle, bez wstępu poprosił:

– Zadzwoń do mnie.

– A co robimy w twojej wyobraźni?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Nie mógł dociec, skąd ta nieoczywistość w feromonowym powietrzu, chociaż jeszcze nie w atmosferze skandalu.

– Czytamy sobie na dobranoc bajki – pomyślał na koniec przejażdżki. Nie zawsze wystarczy oddalić się, żeby uniknąć pokusy. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi ciało i – to możliwe – dusza. Następnym razem ona powie, chcąc go ostrzec lub zwabić, że jest suką.

– A bo ja taka straszna suka jestem – Tomasz nie wiedział, czy było to tylko stwierdzenie faktu, czy intymne wyznanie. Patrzył po prostu w przejściu na niespokojne ruchy Dagmary, na linię ramion i palce bawiące się papierosem.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał, nie wierząc w żadną z możliwych odpowiedzi.

I był brak odpowiedzi, a może odpowiedź bezsłowna, samym trzepotem rzęs, wzruszeniem ramion, uśmiechem. Z niechęci do tłumaczenia albo z wyrachowania, perfidii i kalkulacji. Co na to inne suki, których nikt nie zapytał o zdanie, pomyślał Tomasz, nikt nie wie.

– Stoję na krze, to śni mi się bardzo często, i wyciągam ręce do drugiej kry... Przyciągam mężczyzn typu „poczytaj mi, mamo”... Tak było z moim mężem... Tak jest teraz z Adamem... Chciałabym, żeby kiedyś ktoś mnie przeczytał coś przed snem...

– Nie jestem taki – Tomasz powiedział to szybko, obruszył się, jakby to mogło coś zmienić i zapatrzył w brudną szybę pubu. Dla niewidzialnych palców starej wariatki Nemezis nie ma różnicy, czyją historię układają obraz po obrazie, słowo po słowie, i gdzie bawią się, niszcząc i niemilosiernie kalecząc wątek, skoro i tak na niebie te same wciąż gwiazdozbiory wykonują obrót za

obrotem, ruszają Ryby za Rakiem, Wodnik wciąż goni za Panną, a Byk chce dogonić Skorpiona.

Między stolikami – zanotował później – przechadzała się postać z innej historii, dziewczynka może ośmio- może dziewięcioletnia. Miała do sprzedania kwiaty dla zakochanych, proponowała je każdej parze. Na widok pracującego dziecka Dagmara rzuciła tekst, którym zabawiał się w takich wypadkach jeden z jej byłych mężczyzn:

– Nie, dzięki, my już ze sobą spaliśmy.

Uśmiechnęła się do Tomasza nie wiedząc, czy wszystko usłyszał i zrozumiał. Dziewczynka okręciła się na pięcie w podartej tenisówce i odeszła z niepotrzebnymi różami. Czas ciekł po ich skórze, po palcach. Śluzowaty, ale niewyczuwalny...

Był w niej lęk przed nieznanym i zawsze możliwa depresja, obok zafascynowania przebojowością i siłą. Dagmara patrzyła uważnie, dokonując obliczeń i porównań, jakie tylko kobieta potrafi błyskawicznie przeprowadzać, nawet nie w myślach, a na poziomie komórek. Wynik był zdecydowanie korzystny, w jej oczach Tomasz prezentował się intrygująco. Dla niego Dagmara, której przyglądał się z dala od miesięcy, była intrygująca już wcześniej, ale on nie prowadził rachunków, a przynajmniej nic sam o nich nie wiedział.

Tomasza żywo interesowała osoba dojrzałej kobiety, trawiona lękiem przed czasem i poruszająca zarazem, na przekór wysiłkom pamięci i umiejętności przewidywania finałów, jego coraz bardziej niedoświadczone serce. Zbite z tropu jej suczą szczerością, jej skargami na niedojrzałych i okaleczonych mężczyzn.

Delikatne cięcia słowami jak srebrne żyłki. Wycinanie w powietrzu inicjału dla nienazwanego. Zdanie w niecałkiem znanym języku – melodyjne i nie pozbawione nadziei:

– Ty mnie od Boga posłań – zażartowała Dagmara, naśladując kresową śpiewność i nie wiedząc, co to może znaczyć dla słuchającego Tomasza. W jej pamięci niewymienieni istnieli: mąż i jej aktualny mężczyzna. Dla Tomasza raczej epizodyczni. Nieobecni.

– Tak, to możliwe, że tak – Tomasz popatrzył jej w oczy.

Jak pośpiesznie można minąć kobietę – zanotował po tym spotkaniu – upierając się przy swoim smutku. To nic, że on jest jak makijaż, czymś fałszywym, choć umiejętnie zrobionym. Taka też może być wzruszająca.

ROZDZIAŁ II

Pomiędzy ustalonymi datami wiele niejednoznacznych zapisków...

...a pośród nich również uwagi na temat przeżywania *czarnej ekstazy* i ascezy jako *nienawiści duszy swojej*, które Tomasz wyjął z pism wielkich praktyków wiary, świętej Teresy od Jezusa i świętego Jana od Krzyża. To coś dla mnie – pomyślał ironicznie – z tą moją napiętą i przeczuloną uwagą. Spostrzeżenia świadczące o zaangażowaniu były na pewno przesadne. Dlatego nieoryginalne, o czym wiedział, nie chcąc bawić się grą luster i świateł ani żadną inną rozrywką. Wystarczy – pomyślał – zacząć mówić wyłącznie prawdę, żeby w jednej chwili stać się kimś autentycznie niezwykłym. Mówić jedynie to, w co wierzy się aż do zatracenia – i zyskać w ten sposób opinię mąciela. To coś dla niewielu. Dla Sokratesa. Albo Jezusa Chrystusa. Ale mówienie prawdy może być także sztuczką. To coś dla kobiety widzącej już doskonale, że może bawić się ostro, bez lęku przed nieoczekiwaną stratą. Oto gorzka i niezapomniana treść jednego z tamtych mimowolnie sporządzanych zapisków. (A także marginesowa uwaga o tym, że wszyscy kochankowie mają w sobie coś z psychopatycznych morderców: żyją w labiryntach swojej pożądlivej i nienasyconej wyobraźni, by podobnie jak ludzie kuszeni ciemnościami rozpadlin trwać wciąż na granicy istnienia, wykraczając raz po raz poza nią, wymykając się dniom oraz nocom. A te dni – pokruszone – te noce – obolałe od ciągłego czucia, a ich długie, niewymierne godziny, jego bez niej, jej bez niego, wśród myśli, wśród banałów adekwatnych do prostej sytuacji między dwójgim zwyczajnych.) Dlaczego – zapytał w myślach sam siebie – tak snuję te opowiadki? Dlatego, że nie pamiętam wypadków, co dotknęłyby mnie równie mocno i nagle. Jak chociażby tamte krótkie dialogi, jakich lepiej byłoby nie pamiętać.

– Przyszłam do ciebie, nie cieszysz się?
– Cieszę, a jakże. A więc, po co przyszłaś?
– No... przyszłam...
– Zmieniło się coś? O czymś nie wiem?
– Nie... Tak... Nieważne... Przyszłam. Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Albo takie, w których to Dagmara była zdecydowanie lepsza.

– Na czole miałaś wypisane... Ale potem, kiedy już wyjechałam (a przecież wiesz, że wyjeżdżałam dość często), w drodze... Poczułam lęk i pomyślałam najpewniejsze imię... Tomasz... Ale nie bierz tego do siebie, proszę...

A pomiędzy tymi rozmowami świadectwa ogólnej niedojrzałości. Pewność i spokój Tomasza, które przed niczym go nie powstrzymały. Jego jak zawsze odklejone od świata lektury, z których nigdy nie wyciągnął ostatecznych wniosków. Jego wewnętrzna siła i zdecydowanie. Bezsens wieczorów spędzonych na rozmyślaniach o tym, co nieosiągalne, nieobecne, tracone. W tym czasie prowadził z sobą rozmowy o czymś wilgotnym, ciemnym, ale też mniej podniosłym – o duszy, jak by to powiedziano. Jakby Tomasz powiedział na pewno, jeżeli chciałby mówić w ten właśnie sposób. Ale on w pełni nie doceniał jeszcze umiejętności notowania i pożytków, jakie przynosiło mu w klęsce. Poznawał dopiero ten sposób egzorcyzmu i zażegnywania.

Notował i trwał w tym odruchu, dopóki nie zmorzył go sen.

Mówiła, że piekło jest tym, czego boi się najbardziej. Ale wiedział, że najbardziej bała się samotności i studiami nad jej fenomenem rozpraszał nudę wtedy jeszcze dość lekkich wieczorów. Były to studia niedbałe i niemające żadnego wpływu na przyszłość, tak samo jak studia nad lękiem, depresją i kondycją ludzką, podejmowane przez Tomasza w tym samym mniej więcej czasie. Szybko mogła być zapomniana ich śmieszna aura, lecz zostały – zamiast wspomnień – notatki. Po każdym powrocie do domu Tomasz rozważał niebezpieczeństwo pragnień, które przywiodły go do tego miejsca, gdzie kobiety wcale nie musiało być, a skoro była,

to nie ze względu na niego. W końcu poznali się w chwili, gdy Dagmara wybierała film dla mężczyzny, z którym mieszkała, Adama. Chciała bardzo, żeby to Adam zobaczył tych rodziców, którzy, jak opowiadała, kopiały psychicznie swoje wrażliwe dzieci, nie bacząc na konsekwencje. Ponieważ Tomasz znał to dobrze z autopsji, dlatego tylko kiwał głową i milczał. To była wersja piekła popularna i ogólnie dostępna – jeśli nikt nie ma nic przeciwko, warto pokazać, jak wyglądały szczegóły. Ale o nich byłoby raczej w historii dla rozwydrzonych intelektualnie neurotyków, którzy pławią się w psychologizowaniu faktów i dorabianiu do nich mętnych teorii. Dlatego nie. Idźmy dalej.

Tomasz spotykał się z fałszowaniem prostych gestów co krok, dlatego nie chciał podążać pospolitym tropem, śledząc w myślach poczynania Dagmary. Zafundował sobie inne podejście, bardziej stromą ścianę, po której wzruszenia nie ściekały jak ciężkie łzy wymieszane z tuszem Max Factor. Jak co roku wygrywała marka, oferująca wieczność, urodę na czasie i komfort, który dawał się zauważyć, ale nigdy nie zaistniał na stałe.

– Piekło jest tym, czego boję się rzeczywiście najbardziej – mówiła.

Ale czy mówić o rzeczywistości w tym kontekście było najrozsądniej – oto pytanie, któremu Tomasz żadną miarą nie potrafił się oprzeć.

– Piekłem jest gra wyobraźni na temat tego, co ze mnie będzie na starość.

Pomyślał, że zmarszczki i próżność, ale to przecież pozostaje zawsze. I nagle w wyobraźni zobaczył inne wersje *petit ménage é trois*, równie nieodpowiednie dla jego zdolności i uczuć. Z zamyslenia wyrwało go zdanie, że jest dzieckiem wyjątkowo udanym. Jakby chodziło o przemyślaną adopcję. To jednak zostało powiedziane później i dlatego nie może być ważne przy ustalaniu szczegółów sytuacji obecnej: mężczyzna naprzeciw piekła, o którym nie ma pojęcia, kobieta naprzeciw, wedle słów jej samej, dziecka. Lecz przejdźmy do sedna: widzimy ich teraz w kawiarni, spotykają się nie po raz pierwszy. Ona wcześniej zadzwoniła do niego, on przyjął jej zaproszenie. Umówili się w mrokach „Harrendy”. Teraz siedzą na wyciągnięcie ręki, cienie w świetle pło-

nącego kominka. Jego ręka coraz bliżej jej ciała, jej spojrzenie jakby mniej już niewinne – i zaczyna się gdzieś ta melodia, wymykanie się z pułapki czasu. A wiek był to bardzo konkretny, znany dobrze, dwudziesty pierwszy. Ulicami ożywionej Warszawy na spacerzy najzwyczajniej chodzili: Jerzy Pilch, Manuela Gretkowska, Joanna Mueller oraz Błażej Dzikowski, Maria Janion i Jolanta Brach-Czaina. Anonimowe kobiety z agresją dbających o należyty im seks drapieżników odsłaniały brzuchy, niejedna nosiła tatuaż albo kolczyk wkłuty w język lub pępek. Prawie każda strzygła włosy łonowe. W świecie uczuć dominował styl luźny, na ulicach raczej biel i Arkadius.

– Czy my mamy romans? – Dagmara zadała to ładnie skrojone pytanie w chwilę po tym, jak Tomasz dotknął jej ust kawalczykiem doskonałego sera wbitego na wykałaczkę i obwiodł powoli te usta. Nie duże, ale seksowne. Łakome.

Zlizwała pleśniowy smak, czując miękką, spierzchniętą powierzchnię skóry na wargach.

– Czy my mamy romans? – powtórzyła, jakby chcąc go upewnić, że słyszał właśnie to, co powinien usłyszeć. Tak chciała – i był w tym też żart z jego uczuć.

– Na romans to raczej za trudne – odpowiedział, patrząc prosto w kontaktowe szkła, tego dnia chyba intensywniej zielone. – Nie, to za trudne na romans. – A w myślach dodał jej imię. – Poza tym, wiesz... – nie skończył, czując, że to może nieważne, co powie.

Tyle myśli przy tym, rozłożystych, jakby każda była gałęzią lub pnączem, jakby każda była ścieżką, co prowadzi w nieznanym kierunku. Myśli. Uczucia i myśli. I jakby każda mówiła na temat nieistniejącego romansu, lecz co innego. Tyle skojarzeń, tyle klisz, tyle fabuł, schematów. Historia literatury i sztuki w najpierwotniejszej postaci, u źródła. Ona, tym razem starsza, przez co mająca więcej do stracenia i ukrycia; on, mieszkający z nią kruchy i zagubiony mężczyzna oraz Tomasz – w tej sytuacji szukający najuczciwszego wyjścia. Mimo endorfin w komórkach, mimo uderzającej do mózgu fenyletyloaminy. Na tych ostrych,

utrudniających kojarzenie faktów dopalaczach, na wewnętrznej, krótkotrwałej chemii o działaniu całkowicie mułącym.

– Czy my...? – myśl w zawieszeniu, którego nie zapomina się ani nie wybacza.

Pytanie, a czasem jedno tylko słowo, może być jak szczelina. Rozwarta szczelina. Tomasz cieszyłby się, że coś przez nią widać, że ma nareszcie część tej kobiety. Zagadkową. Niepodobną do niczego znanego. Ale nie rozumiał, że to właśnie widzi, i pytanie, które ją rozśmieszało, dla niego było jak ciężka przeszkoda. Z ziemi i wysokiego ognia. Dowiedz się – Tomasz słyszał głos w głębi siebie – że choroba jest spowiedzią z nieznanych grzechów, popełnionych przez niespokojne ciało tak dawno, że zatarła się już pamięć o tym. Jednak w tobie, wśród myśli i uczuć żyje cała ta niepokojąca historia, choroba przeżywa rozkwit, swój zmierzch, swój upadek – i wiesz o tym tyle co nic. A lubi się to powtarzać – i powtarza. Pomyśl o tym i zapamiętaj – mówił głos, ale Tomasz nie słuchał, wpatrzony.

Można było odnieść wrażenie, że ze ścian małej knajpki, w której spotykali się w tamtym czasie, ściekał szron srebrnoszary, iskrzący. Zimne, spękane cegły i zimne, wypolerowane blaty chłodziły czoła i łokcie, a papierosowy dym unosił się na tyle wolno, że pozwalali oszukać się czułym odruchom i skonstrastowanym z nimi szorstkim gestom – bardziej przecież napiętym i nie zawsze jasnym w intencjach – na tyle, by łudzić się, nadrabiając miną. Przychodzili w to miejsce często jako jedyni goście i dziś nikt już nie musi pamiętać, że kiedyś na Krakowskim Przedmieściu był „Kuchcik”. W jednej z pospiesznych notatek opis przedzierania się Tomasza przez baśniową, więc straszną gęstwinię. Jakby poranionymi do krwi palcami darł ziemię i ogień, jakby w Dagmarze była ta ziemia i ogień, a każda próba dostania się do tego, co w tej kobiecie głęboko ukryte, musiała skończyć się jeszcze większymi ranami. Od ziemi i ognia. W „Kuchciku”.

Nadszedł osiemnasty lutego, dzień po urodzinach Adama. Tomasz zadzwonił, nie wiedząc, że to ta data. O czym rozmawiał

z Dagmarą? Na przykład o rudej sofie kupionej przy okazji urodzin zagubionego mężczyzny, któremu trzeba opieki i czułości – mówiła ona – jak dziecku. Ale nawet, gdyby Tomasz wiedział o tym, nie mówiłby nic – nie wypadało. W końcu to on był unieczniony. W milczeniu stwarzał pozory doskonałości. Zamierał i zmartwychwstawał. Nie dając po sobie poznać. Tymczasem rozweselona Dagmara mówiła beztrąsko i szybko, jak gdyby to ona dzwoniła:

– Urodziłam się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, a ty? Żartujesz? Myślałam, że jesteś starszy.

– Rozczarowana?

– Nie, tylko wydałeś się taki... mądry...

– Mądry i interesujący – Tomasz zaśmiał się głośno w słuchawkę, poruszony oczywistością zabiegów zwanych potocznie kokieteryą i uwodzeniem. Seksualna inwencja, co po angielsku (ten język był jej bardzo bliski) brzmiałoby bardziej profesjonalnie – a więc *sexual invention*, o której nie każdy ma choćby szcątkowe pojęcie, okazała się wyrafinowana, lecz prosta – i może to wydawało się w niej tak obiecujące. Jaka szkoda, że wtedy jeszcze nie było w tym uczuciowym melanzu, jakiego doświadczał Tomasz, tej pewności, którą daje zazdrość: widzenie ostrzejsze niż wzrok. Ale nawet ten wzrok nie daje rady przebić się przez noc, jaka zapada po słowach kochanej osoby, jeśli nie rozumiemy, co chciała powiedzieć i jeśli nie mamy gwarancji ani pewności, że to kiedykolwiek pojmiemy. Dlatego wyniszcza tak trwale nie ta, która przychodzi po zmierzchu, lecz ta, która przychodzi nieoczekiwanie – noc w nas, działająca bezbłądnie, jak bezlitośna, okrutna pułapka.

– Śnię żółto i fioletowo. W pracy mam zeszyt do zapisywania snów. Chciałabym w tych kolorach urządzić całe mieszkanie. Tylko ta ruda sofa... – Tomasz słuchał tej paplaniny i myślał, czy potrafiłaby oszukiwać świadomie. Chciał, jak każdy, znać wszystko, natychmiast – ale nie to, co jest najbardziej godne znania. Natomiast ona wiedziała, tak jak kobiety wiedzą, o co pytać, i pytała swobodnie, od razu.

– Palisz? A jakie? Nie masz problemu z nałogiem? No wiesz, czy nie masz przypadkiem problemu alkoholowego? – Pytania

pourazowe, reminiscencje z nieudanego małżeństwa. Głupota i meskineria ludzka są bez granic, jeśli chodzi o wyczuwanie cudzej niepewności podszytej strzępami rozpacz. Tomasz musiał powstrzymać się w tym momencie, by nie wejść na grunt rozważań odbiegających od sedna i wątku. Wystarczyło mu raz jeszcze wspomnieć Nemezis, jej raz po raz wracający z antycznych zaświatów profil.

– Nie, nie mam nałogów. Palę różnie: camele, gauloisesy.

– Dzwonisz może w jakiejś konkretnej sprawie?

– A jaka to sprawa miałaby być w tym momencie konkretna?

Co znaczy „mądry”? – zastanawiał się jeszcze kilka razy. Czy to ktoś, kto między bodźcem a reakcją pozwala sobie, jeśli nic go nie goni, na dwusekundowy namysł?

ROZDZIAŁ III

Miłość to kilka ekstaz i nieprzeliczone ilości obrazów...

Czysta kartka była małym lusterkiem, w które Tomasz patrzył, by obejrzeć sobie śmierć przy robocie. Z jej ościeniem, w ataku. Bez złudzeń. Jaka biedna! Z tymi jej pazurami, którymi co dzień wodzi po każdej twarzy, z tym jej uśmiechem zawodowca, znanego w branży i powszechnie nielubianego. Czysta kartka była dla niego świadectwem istnienia przerwy pomiędzy dwoma myślami, być może o jednej kobiecie, będącej po części też w innych, być może o wielu kobietach, będących w całości w tej jednej. Pustka pomiędzy myślami to miejsce na medytację. Albo ekstazę. Kartka i medytacja – ekstaza i udręczające wspomnienie – którego ślad zapisany zostanie wspomnieniem Tomasa. Bo mówił i zapamiętał, a potem też zanotował:

– Nie chciałem zepsuć ci dobrej passy. Ale wiesz dobrze, że potrzebujesz spotykać się ze mną. Jesteś, jak każda z twojej rasy, tajemnicza i wtajemniczająca. Ale pamiętaj, że czasem i tajemnicy brakuje najzwyczajszego sensu. – Niepokój wśród drobnych ukąszeń, bolesnych zadrapań na duszy. Gryzienie własnej pamięci jak pięści, do krwi – to też znalazło się w tej sekwencji wydarzeń. Po której nie musi nastąpić wcale lepsza i wyjaśniająca, a zresztą: dla kogo i po co lepsza? I co to w ogóle znaczy? – Tak myślał Tomasz, patrząc na linię sukienki, na niedbały ruch dłoni wzdłuż talii. Na moment przed błyskiem i cięciem, które może tylko on zobaczył. Skrzypiały koła dorożek, koń parskał przez rozdęte chrapy. Spacerowali po Starym Mieście, po pracy.

– Mówisz o mnie czasem, jak gdybym należała do ciebie, a ja nie należę do ciebie i nawet cię przecież nie kocham – powtarzała Dagmara wśród dwuznacznych spojrzeń, nie chcąc tracić – było widać – szansy, gdyby jednak inne opcje zawiodły. Tomasz myślał, że wie, o co chodzi, bo studiował te zachowania latami.

– Kocham innego mężczyznę – powiedziała, kiedy usiedli w lokalu, nad parującą herbatą w filiżankach.

– I chcesz spędzić z nim resztę życia? – nie potrafił powstrzymać sarkazmu.

– Niedawno to sobie uświadomiłam – słowa w zdenerwowaniu, w zmęczeniu, spowodowane nieoczekiwanym listem, słowa w szoku, najprzytomniejsze z przytomnych. A Tomasz? Całkiem dzielnie jak na tak niekorzystną sytuację. Całkiem znośnie. Potem jeszcze tematy swobodne, trochę *I Cing* – oboje wróżyli, kiedy pojawiał się problem – trochę, że *mimo wszystko pasujemy do siebie jak dwa puzzle*. (A jednak – pomyślał Tomasz.) Dagmara chciała być bardzo stanowcza.

– Lubię cię, ale... przecież wiesz...

– Już. Spokojnie. Przecież nic się takiego nie stało. *I Cing* mówił coś o młodzieńczej głupocie.

– Ale...

Ciemna przestrzeń skostniałego pod ziemią lodowca. Cisza, w której gasną melodie i pojedyncze nuty. Pochłaniająca dźwięki, pożerająca czas oraz ludzi. Wokół mahoniowego stolika w pubie na Starym Mieście. W „Red Bullu”, po zmierzchu. Doświadczenie, którego nie można powtórzyć. W drodze powrotnej, na Rynku, obok miniaturowej fontanny z syrenką, pierwszy raz to francuskie: *tendresse**. Wzruszenie Dagmary, która postanowiła nic nie pokazać po sobie. Zachwył nad słowem. *Tendresse*. Motyw wrócił w kolejnym liście.

Niedługo po tym spotkaniu Dagmara musiała jechać w interesach do Lizbony. Nie tyle musiała, co chciała. Mógł za nią jechać ktoś inny, ale pewna była, że ta podróż dobrze jej zrobi. Lizbona od początku jawiła się jej jak olśniewająca wizja senna,

* „*Tendresse*. Wolę to słowo niż polskie czułość. Kiedy ścisza w gardle dlatego, że istota, na którą patrzę jest tak bardzo krucha, ranliwa, śmiertelna, wtedy *tendresse*.” Czesław Miłosz, *Nieobjęta ziemia*, Instytut Literacki, Paryż 1984, s. 101.

naszkicowana dokładnie na tle szaro srebrnego nieba, obraz, któremu promienie słońca od świtu po zmierzchu dodawały nie-spotykanego nigdzie indziej blasku. Postanowiła w wolnej chwili odwiedzić lizbońskie muzeum, w którego zbiorach, mówił jej o tym Tomasz, znajdował się obraz Boscha *Kuszenie św. Antoniego*. Ale Lizbona nie dawała oswoić się łatwo, nie było w tym mieście niczego, o czym Dagmara słyszała. Nawet piękne żółte tramwaje nie wyglądały w rzeczywistości baśniowo i Dagmara zrozumiała nagle, że łudziła się co do podróży.

Wieczorem po spotkaniu w firmie poszła pospacerować nad Tag, a kiedy wróciła do hotelu, przed recepcją natknęła się na wesołą, pstrokato ubraną parę.

– Ma pani ogień? – zagadnął ją młody brunet obejmujący śliczną nastolatkę i ignorujący lodowate spojrzenie ochrony.

– Paolo, nie zaczepiaj ludzi – miała próbować ratować sytuację. Dagmara podała im ogień i uśmiechnęła się.

– Nie jesteście stąd – powiedziała. – Jesteście z Włoch, prawda?

– *Si signora, from Italia* – zachichotał Paolo. – Ty też jesteś z Włoch, co, Francesca? – przytulił dziewczynę mocniej i pocałował.

– Daj spokój – Francesca wyglądała na zakłopotaną, tym bardziej, że Paolo zwrócił się nagle całym sobą w kierunku ironicznie patrzącej Dagmary.

– Posłuchaj – Paolo zwrócił się do Dagmary – wytłumacz mi, jak to jest. Od kiedy przestałem ćpać, dla niej – wskazał głową Francescę – nie było nocy, żeby nie śniło mi się ćpanie. A kiedy śniło mi się ćpanie, czułem się jak ostatni, bo wiedziałem, że w rzeczywistości dawno już nie zaćpałem. Było więc coraz gorzej, jeszcze gorzej niż kiedy naprawdę ćpałem... Wytłumacz, dlaczego tak jest? Dlaczego to, kurwa, tak jest?

– Jesteście uroczy, ale muszę iść spać – powiedziała Dagmara, którą zirytowała natarczywość nastolatka. – Na dzisiaj mam dosyć wrażeń, bawcie się dobrze, kochani, pa!

– A my uciekamy! – krzyknął za odchodzącą Dagmarą Paolo. – Uciekamy i uciekniemy. – Dagmara szła wolno, licząc, że tym razem zaśnie szybko, bez proszków.

– A my uciekaaaamy! – darł się jeszcze Paolo, jakby w słowie „uciekać” zawierało się życie nie tylko jego i tej ślicznie

uśmiechającej się małej, lecz także świata, w którym znaleźli się bez swojej zgody wszyscy.

W pokoiku siadła na brzegu łóżka, zdjęła buty, zapaliła lampkę. Jej praca. Jakby płynęła w jej żyłach i tkwiła w komórkach mięśni i w ścięgnach, oplatając ją pajęczyną i nie pozostawiając złudzenia, że kiedykolwiek uwolni się od niej, od bezsensownego wysiłku. Tak jak nie można uwolnić się od przymusu posiadania ścięgien i mięśni, i żył. Skrępowana.

– Przy tobie jestem taka spokojna – powiedziała w myślach do Tomasza. – Nie wiem, jak ty to robisz?

– Z miłością – odpowiedział samym ruchem warg, bezgłośnie.

– *Con amore?* – zażartowała, leżąc już z zamkniętymi oczami.

– Tak – usłyszała z daleka, jak echo. – Tak właśnie, *signora*. Tak.

Rano portier Hotelu „Kaina Mondo” miał niewyraźną minę, a kiedy spytała go, co się stało, najpierw milczał, a potem rzekł głosem cichym, pękniętym:

– Niestety... Tragedia... Ci dwoje... Ci z wczoraj, wie pani... Wypadek... Wyszli szybko, pogoniłem ich, hałasowali... Ciężarówka... Tacy młodzi... Tragedia... Tak...

Tego dnia, kiedy Dagmara była w Lizbonie, w śnie Tomasza pojawił się pająk:

– Tak czy tak, ona jest tu obecna – powiedział. – Wyczuwamy ją obaj, prawda? Ty byś wolał, żeby ona była tu ciałem, ale ja wolę, kiedy jest tylko duchem.

– A dlaczego tak wolisz, cwaniaku?

– Bo wystarczy mi to, co już wiem, żeby mieć pewność, że nie będziesz jej miał. Chyba żeby – zachichotał przykro – chyba żeby zawalił się Kreml... Albo w gruzy poszedł cały Manhattan... Tylko wtedy – zapiszczał. – Rozumiesz? – Tomasz pomyślał, że zaraz rozgniecie to włochate paskudztwo, ale powstrzymał się, a raczej poczuł, coś w nim go powstrzymało, to coś, co panowało nad snem.

– A tak w ogóle – wyszeptał po chwili pająk – chciałbyś ją teraz zobaczyć?

– Tak.

Dusznna sala, stroboskopowe błyski. W rogu ona, siedząca z pełną szklanką w dłoni. Z oczami utkwionymi w drugim rogu, gdzie trzech mężczyzn jakby unoszących się w pajęczej sieci, bardzo dużej i elastycznej. Nagle zobaczył, że Dagmara coś łyknęła, jeden z siedzących krzyknął, a z tłumu wyszedł krótko ostrzyżony mężczyzna. Miał na sobie luźną koszulę...

– Wystarczy – pajak przerwał tę oniryczną transmisję. – Reszty dowiesz się może innym razem, teraz śpij w swoim śnie o snach. Do zobaczenia, chłopczyku.

Rano Tomasz był nieprzytomny i bolały go wszystkie mięśnie. To może wtedy zamajaczyła w jego głowie myśl, że stwarzanie siebie odbywa się w poetyce snu, że inaczej każdy byłby niezmienny. Musimy spać, zanotował, aby móc zmienić się niepostrzeżenie. Ale kto zmienia nas we śnie, kto przemawia do nas przez czas i kobietę, którą najczęściej śnimy? Rozśmieszyło go to, co zapisał. Odłożył pióro, schował kartkę, milczał.

ROZDZIAŁ IV

Dzień w dzień smutne perwersje, noc w noc krzyk wewnątrz; bezgłośnie...

Było mu jednak czasem wszystko jedno. To naturalne jak oddech, mówił sobie, naturalne jak bicie serca, jak niezaangażowani zmarli, wszyscy ci, których nosimy w pamięci. Nie pomijał w te dni zblazowania i akcentów ironii we wszystkim, nie pomijał i wtedy naprawdę stawał się obojętny. Ranki bywały ożywczyste, a popołudnia mulące; i myślał, że ból bywa też czasem wykwintny i można przeżywać radość, jak pojawienie się kogoś, kto zniknął z oczu znienacka; a między jednym i drugim: praca i codzienne spotkania.

– Nie możemy spotykać się tak często... – mówiła wtedy bez przekonania Dagmara.

– Dobrze – odpowiadał Tomasz i wiedział, że zaraz usłyszy:

– Ale ja chcę... potrzebuję...

Cóż za urocza niepewność, to znaczy: gra niepewności.

A gdyby wyciągnąć rękę i pod palcami poczuć te kocie mięśnie i ścięgna, te kocie kostki – jak we śnie o innej kobiecie, głośkanej właśnie w takim momencie. Dagmara pobudzała niepewność i mnożyła przejawy zmieszania, płacząc się w okazywaniu troski – choć dobrze opanowała tę sztukę.

– Uważaj!... Albo nie, nie uważaj. – Przejawy ambiwalencji w emocjach, obnażenia w słowach. Jakby spadł śnieg nieoczekiwany, pomyłony. Bo spadł. Tomasz wsłuchiwał się wtedy w tak zwane przeboje. Nietrwały rozejm z rzeczywistością, co kilkanaście minut zamieszki, rozruchy, wzajemne oskarżenia oraz – nieistotne, że z jej strony nieme – prowokacje. Spadł śnieg i ukrył, co było do ukrycia. W szklistym powietrzu utrwalone oddechy, różnice, wspomnienia. Jak to o ich innych rozmowach. Na przykład:

– W jakim celu mamy się spotykać?

– A nie może być tak bez celu?
– Ale możesz się rozczarować, ja do poduszki nie zawsze czytuję klasyków...

– Do diabła z tym! Z klasykami i wszelką inną lekturą!

Opowiadał mi pewien znajomy – tłumaczył się później Tomasz, nie zdradzając, że to jest jego historia – jak nagle poddał się irracjonalności. Wróżby z *I Cingu*, runy, tarot – całe dni przeżywane jak zmierzchy, w trybie – tak to nazywał – jaźni okaleczonej. Na autopilocie, zgłuszony. Jak bardzo bał się i pilnował, by nikt w nim tego nie dostrzegł. A to działo się wtedy cały czas, dwa stany: dzienny i nocny. Wyostrzenie każdego zmysłu, wrażliwość jak u osaczonego zwierzęcia, niezmierna ostrożność w rozmowie, w dotyku, w gestach. Skupienie jak u atakującego tygrysa. I jeszcze to, że w jego życiu zaroilo się w tym czasie od kobiet, lubieżnych, niespokojnych i jakby wyczekujących. Dwa stany, dwie jaźnie, dwa nakładające się na siebie światy. Dwie drogi do tej samej porażki – to wytłumaczalne – lecz skąd te nagłe i nieplanowane znajomości? Chodził rozbity, nikogo prócz niej nie miał ochoty spotykać. Akcenty ironii we wszystkim – w miejscu łączącym te nieprzystające realia. I to, że myślał wciąż trybem nocnym, ściszym i nieprzyjaznym. Zauważył, że w niej też to jest. Ale u niej wyglądało naturalniej. Widział to, gdy prosiła go o szczególną dyskrecję, gdy rozmowa dotyczyła tego, z którym mieszkała i żyła – Adama. Bo on, wiesz, *on by z tego, co nas łączy, nic nie zrozumiał*. Potrafiła uśmiechać się przy tym tak czule, jakby nie miała bielizny, jakby była naga i całkowicie bezbronna. Całkowicie niepoczytalna. W ironii. Trudność z wyrażeniem własnej prawdy zaczynała się nieoczekiwanie już tutaj.

Pająk karmiony krwią schizofrenika zaczyna tkąć swoje sieci w szalonej, nieprzewidzianej formie – przeczytał Tomasz, przypominając sobie swoją, nie był pewien jak ma to nazwać, halucynację. Czym pająk różni się od nienasyconego, który przemyka blisko ścian, tak blisko, jakby chciał wtopić się w ich brudną szarość? Czym różni się od kobiety, żyjącej wciąż zachciankami? Czym

różni się od każdego, kto zdycha wśród niespełnienia? Nie wiedział, jak opowiedzieć o tym Dagmarze.

– Obietnice wiecznego, uczuciowego zaangażowania – doszliśmy do tego wbrew przekonaniom i woli, przy pomocy wyciągów ze statystyki, empirii oraz psychologii – na dłuższą metę są bez znaczenia. Każde pismo dla pań zna i oferuje te prawdy.

Pajak karmiony krwią schizofrenika umiera. Tomasz w myślach pozwalał mu na to, nie sądził, że uratuje pajaka. Do okrucieństwa skłaniała go introspekcja, prosta technika naturalnego obserwowania siebie w każdej sytuacji. I chociaż Tomasz też woląby lubić świat – mimo że, jak słyszał nie tylko od księży, ten oddany jest we władanie diabła, który będąc udziałnym i samowładnym księciem, nie stara się o uczynienie znośniejszym całego dostępnego i niedostępnego, satanicznego piękna – nie był pewien, czy to rzeczywiście podejście najmniej mylące. Co zrobić, jeśli innego nie ma? Skazać się na pomyłki, kluczenie i fałsz? Notować wszystko – pomyślał – notować to tak, jak jest.

– Czy wiesz, jak przestać? – Tomasz nie wiedział, skąd pojawiło się w nim to pytanie – Nic nie jest na swoim miejscu i to ci się podoba: perwersja – słowa same układały się w zdania. – A wychodzi się z takich obrazów przy pomocy formuły tak prostej, że magowie północy i południa krzywią się z jawnym niesmakiem. Może ich śladem podąży cichy wąż, jak współnik i delikatny powiernik, podąży, by znaleźć w każdym z nich to miejsce, którego nie wolno kąsać i które musi ukąsić. Gęste strużki lepkiej wydzieliny, ciekące o każdej porze. Po ustach, po palcach, do stóp. Ten ból to kolejna z perwersji. Niezapomnianych.

– A jeśli on nie zrozumie? – spytał jeszcze Dagmarę, mówiącą coś o Adamie.

– To go rzucę – odpowiedź pozbawiona natchnienia i błysku.

– Znowu? – pytanie, które wyrwało się z okaleczonej jaźni. Pytanie z tamtej strony, po której znają się wszyscy od dawna. Albo tak tylko odczuwał to Tomasz. Bo dla Dagmary była to może nowość. Skandal – myśl ta bawiła Tomasza – jak bywa w narracjach błyskawicznych, bo trzeciorzędnych, może wybuchnąć później, kiedy wyda się, że ktoś to wszystko udawał. I z tajemnicy robi się w ten sposób uraza. Płynąca jak szeleszczące godziny,

dzień w dzień, pośród radosnych omamień. Czynionych czasem przy pomocy ciała, o wiele częściej bez niego. Noc w noc krzyki wewnątrz; bezgłośnie. O tym nikt nie wie, o tym nie mówi się wcale. Trwanie w napięciu i uniesieniu, jakie wywołane zostaje przez uczucie, jest całkowitym zamknięciem w teraźniejszości – i jako takie może być tylko torturą. Przetrwanie umożliwia to, że żyje się nie chwilą obecną, a wspomnieniem albo oczekiwaniem. Można powiedzieć o tym, wyręczając badaczy i znawców, że chroni to przed doświadczeniem na granicy szaleństwa i uzależnienia, przed wpadnięciem w schizofreniczne sieci. Choć czasem... Ma to przeinaczony i niejasny związek ze znaną przez Tomasza kartką. Na niej napisano, że szydrczy demiurg, kaleczący opuchnięte tętnice świata omotanego siecią, chce widzieć, jak krew spływa na jego poczerniałe na rogach kartki i pragnie, żeby świat stał się od tego bledszy. Dalej o tym, że zło wprowadzane w czyn błyskawicznie to jego ulubiona zabawka. Że to tylko narzędzie. Metamorfozy. Lub śmierci.

Świt był zamglony, wietrzny. Dramatyczne krakanie wron rozchodziło się w powietrzu jak przez szkło z wbudowanym echem. Na dworze rozpanoszyło się zimno, było pusto i wyzwajająco. Etapy miłości są następujące: oczarowanie, docenienie, przyzwyczajenie – punkt krytyczny – oczekiwanie, rozczarowanie – punkt krytyczny, reorientacja percepcyjna – weryfikacja. Tomaszowi przyszła na myśl historia z kotem, narysowanym na tekturowej podstawce pod piwo, kiedy tylko o niego poprosiła:

– Narysuj mi kota.

– Oczywiście. – I zaraz miał koci uśmiech, jakby trafił tu prosto z *Alicji*, wąs potrojony, zadziorny, trzy kreski i kilka kroperek na pyszczku, pachnącym whiskasem lub rybą. Jedno oko zmrużone, a w drugim atramentowa źrenica. Majstersztyk jak na te warunki: kawiarnia, stoliczek tak wąski, aż nie było gdzie postawić szklanki. W popielniczce białe, cienkie filtry. I popiół.

Ale to w dniu opowieści przybierało inne odcienie i nie miał już tej pewności, że było naprawdę warto. Kot zdechł rozerwany

z tekturką, chwilowe zaspokojenie nie mogło zmienić niczego tak bardzo, by ożył i zaczął się łąsić, mruzcąc i stroszyć przegowany ogon. Pozostał zwierzęciem miejskim, narodził się jako duch własny i stał się – w co wierzył Tomasz – gatunkiem żyjącym pokątnie. Co nie znaczy, że nieistniejącym w ogóle.

– Istniejącym? – Dagmara pytała jak dziecko, mrużąc oczy i uśmiechając się słodko.

– Nie mówią o tym fizjologi, a i bestiaria traktują ten temat zdawkowo. Wiadomo tylko, że bliżej mu do przestrzeni lunarnych, bliżej do mocy piekielnych i czarnoksiężskich, niż wielu innym stworzeniom – i ten tutaj zapewne nie jest żadnym wyjątkiem. On także, powtarzam, nie żyje.

– Nadużył dóbr tego świata?

– Nie dane mu było pożyc.

– A słynne dziewięć żywotów?

– Święte cyfry znaczą jedynie wieczność, obcość, i nieprzy-stawalność do materii istnienia. Także rozmaite demony przybierają kocią postać, gdy chcą znajdować się w rzeczywistości człowieka.

– Hodowałam dwa. Potem trzy.

– Wiem, dlatego ten był zbyteczny. Narysowany bez zastanowienia, na pewno bez wielkomagicznych intencji.

Dagmara powiedziałaaby swoje: *Con amore*.

Spotkanie z kotem, istotą na wskroś demoniczną, było niekorzystną wróżbą i dziwne, że nikt tego nie spostrzegł. Tomasz nie mógł nie wspomnieć o przypadkach zbliżonych w wymowie i do tego podobnych. Narysowany w samotności smok, który wzbił się i stał niewidzialny. Inne wesołe obrazki: zwierzątek i małych duchów. Kreślone na marginesach migawki ich nagłych ożywień i natychmiastowych ucieczek.

Gdyby to nie starczało za charakterystykę postaci – myślał Tomasz – wspomnieć można o jej krótkich włosach i mojej dżinsowej kurtce, wywróconej czerwoną kratą na wierzch. Powie się też o nawykach. Ale niejedno przemilczy. Dla proporcji wśród śmiertelnej zabawy.

Gdybyś chciał wiedzieć, jak urządzony jest świat, wspomnij kabalistyczną historię opuszczonego człowieka, który prosił o tę wiedzę anioły. Zobaczył on w natchnionym widzeniu puste niebo i ziemię usianą sidłami, niezliczoną ilość okrutnych zapadni i pilnujące interesu diabły. Zdania niejednoznaczne – zanotował Tomasz – miłe są uszom ludzi myślących, niepozbawionych smaku. Oni wiele chwytają w lot. Dla nich warto pokusić się o przedstawienie nieprawdopodobnych emocji, wykwintnych pułapek i widzianych bez przerażenia historii – myślał Tomasz i sam śmiał się z tej myśli. Potem schylał się nad zeszytem i pisał.

– To wszystko dzieje się tam, w tej materii? Te emocje i to rozedrganie?

– No właśnie. Ale i to, że miłość pojawia się znowu, nagle, okrutna. Jakby składała się z wielu urojeń, wielu nieśmiałych śmierci, zniszczeń robiących swoje. Kochankowie zapadają się w siebie i nikną. Nie można wściekać się na sytuację, czy też pragnąć ją zniszczyć, gdyż nie wiadomo na pewno, czy miłość tym razem wyszła z najintymniejszej części opustoszałego i zmrożonego, jak to bywa, serca, czy wydobyto ją z zewnątrz, ze świata, czego nikt już się nie spodziewał. Gdzieś trwała latami, uspiona, zakłeta, i można już było uwierzyć, że ostatecznie umarła, niedościgniona w patosie i niema, bo język jej został porażony. Lecz przyszła. I trzeba jej takiej uwierzyć. Bo może to głos przeznaczenia, tej gorszej wersji przypadku – pisał Tomasz i sam śmiał się z patosu.

– Co wtedy? – zapytała Dagmara, gdy opowiadał to później.

– Noszona długo w środku bez ostrzeżenia wybuchła – powiedział na głos, a w myślach dodał jeszcze i to, co przemilczał. Rozlała się po komórkach, przeszła jak prąd żywe tkanki. I teraz trzeba ją przyjąć, a co najgorsze, też żywić. Pozwalać, żeby stawała się coraz większa, dzień po dniu, zapewniając niewybredne tortury, stałą łączność z własnymi niedoskonałościami. Oto natura ukryta, lecz znana: *devorans et devorata*. Kobieta pożerająca i pożerana, mężczyzna jako jej cień i granica. Na temat dalszych wydarzeń powstały grube tomy w połyskliwych

oprawach, kredowy papier, obrazki, cała kultura komiksu i natychmiastowych doznań, kultura tak gorączkowa, jak hasło na najnowszym billboardzie. Autorką hasła – pomyślał Tomasz – mogła być przecież Dagmara. To w końcu jej praca, pieniądze. Jej zniechęcony świat, z którego nie potrafiła uciec. Nie chciała. I przedstawiała to tak od początku. Tracąc przy tym na moment swój uśmiech.

– Uprzedzała lojalnie, że jednak? – zastanawiał się leżąc w łóżku. – Uprzedzała, lecz co mi z tego – odpowiadał sam sobie, z grymasem.

Schematy były, uświadamiał to sobie boleśnie, coraz bardziej i śmieszniej umowne.

Zapisz to po całości wierszem – ironizował Tomasz – a potem powtarzaj w pamięci, tak żeby publiczność okazała swoje przywiązanie i wróciła na fotel tuż przed następnym odcinkiem, wbijając oczy w ekran. Pojmujesz? To dobrze. A teraz wróć i opowiedz, co z nią, z tą kobietą, z Dagmarą. Czy dalej tak często płacze?

– Tak, to emocje, emocje. W końcu miała nieprosty dylemat, którego nie planowała i który jej wcale nie bawił. Dwóch mężczyzn, dwa niespełnione marzenia. I jeszcze mąż, z którym była w separacji, a którego nie potrafiła zapomnieć. Dziennikarz telewizyjny. Alkoholik. Rozrywkowy facet. Przez niego bała się chodzić Nowym Światem i Chmielną. Przez niego omijała kawiarnie, za którymi dawniej przepadała. Wszędzie by mogła zapomnieć, lecz wybrała sesje terapeutyczne. Na nich spowiadała się z przerażenia. Wychodziła spuchnięta od łez, prawie czysta. Chciała dzwonić. Chciała bardzo, żeby Tomasz był w domu. Żeby spotkał się z nią. Tak jak zawsze.

ROZDZIAŁ V

Dzieło stanowi wspomnienie każdej miłości przeszłej...

– Dlatego tutaj jesteśmy – pajak patrzył na Tomasza z ironią – wyniesieni nad miasto. Ty w starym, wytartym fotelu, ja zawieszony pod lampą. Opowiadamy przeszłe i nierozstrzygnięte zdarzenia, przygody, od których na pewno nie uda ci się osiwieć. Zbieramy przypadki do dzieła, patrzymy z wielką uwagą: niektóre z wyblakłych wspomnień dotyczą nie nas już na pewno i mogą być jeszcze wróżbą, jak z małych chińskich ciasteczek, lub talią ezoterycznych kart rozłożonych w niewiarygodny układ, lecz prędzej – Tomaszowi wydało się, że pajak wysyczał to zdanie – będą już dla nas tym tylko, co zamknięte, skończone i puste. Ponieważ wygodniej jest zrobić to właśnie tak. A ty co? Wciąż mówisz o niej. Czy warto?

– Nie mam w pamięci nikogo, kogo bym mógł z nią porównać.

– Tylko dlatego? Więc dobrze, rób sobie dalej ten zestaw, ten katalog niedokończonych listów, ten spis sfalszowanych wspomnień, ten dokument zbytecznych gestów... Czy nie widzisz, że trzeba zapomnieć? W końcu nie było was; ani ciebie, ani tym bardziej jej.

– Może masz rację, ale... Przecież wiesz, że nie przestanę tego robić.

– A dla kogo?

– Dla... tylko pomyśl, cwaniaku – formy zdań utrwalonych w pamięci.

– Też mi – i jeszcze inne prychnięcia, złośliwe uśmiechy.

A kobieta z tych zbyt bliskich scen pływała właśnie w basenie żabką. Parskała wodą, śmiała się, nieświadoma – tylko tacy widzą czasem naokoło radość. Do twarzy było jej w gumowym czepku, tylko z ciałem nie dało się już nic zrobić, z tą trzydziestką bliżej smutnej czterdziestki.

– Jeżeli tak, to dlaczego wspomnienia? – spytał pająk, niszcząc obraz pływającej Dagmary.

– Dla łatwości przeinaczania ich w sobie. Dlatego, by łatwiej pamiętać niemożliwość przeżywania szczęścia, połączoną ze wstrętem na myśl o jego (nie rechoch) ziemskiej niedoskonałości. Jest w tym też zazdrość o nieznaną codzienność miłosną. Byłby z tego romantyczny thriller, lecz ktoś bawi się zdecydowanie za dobrze. Może ty?

– Niech ci będzie. Ale powiedz mi lepiej, jak w tym wszystkim towarzyszy wam miasto?

– To jest naprawdę ciekawe. Bo miasto jest nieobecne, może nawet trochę podrobione. Więcej w nim z planszy przeznaczonej na billboard i wielkiego sprzedajnego targu, niż z ulic i wysokościowców, zaułków i kamieniczek. Nawet światło pada tak, jak złamane przez wodę odbicie. Niejasno. W mieście wyczuwa się fałsz – i to wszystko. Dlatego o nim – tak mało.

– A wydawało ci się przecież kiedyś, że dobrze poznałeś to miejsce.

– I to jest w tym najciekawsze – mówił Tomasz i sam był zdziwiony. – Że nie potrzeba mi było tła z krajobrazów, tła z baśni, że wystarczyło te kilka budynków i ulic, zamkniętych w dominium szarości, w zgniliznie fałszywych kolorów, niedokładnej zieleni, zdradliwej czerwieni i żółci, przywodzącej na myśl nieuleczalną i wycieńczającą chorobę. Ale kto z zakochanych tak patrzy? – kończył wywód i śmiał się – sam z siebie.

Noc leżała pod drzwiami jak pies cały czarny, olbrzymi rottweiler, gotowy zagryźć dla przyjemności, na hasło. Za szybą latały małe, obrzydliwe muchy i trzeba było zamykać okna, ponieważ wpuszczone do środka obsiadały ciało i niedostrzegalnie kąsały, a potem trzeba było drapać się prawie do krwi. W ten sposób – pomyślał Tomasz – też często widzimy, jak grany jest spektakl materii, jak odsłaniane są trzewia i otwierane wnętrza. To wiosna porysowana, obrzmiała, lecz w swoim obrzmieniu tak sucha, że Tomasz często spoglądał do góry, jakby czekał

na burzę po zmierzchu. Dagmara, wyobrażał sobie, leży wyczerpana rzeczywistością i sobą, o której zaczęła dowiadywać się wreszcie, kim jest. Palce jej wąskiej dłoni ułożonej między udami, wykonują koliste ruchy – nie chciał przeszkadzać tej chwili, nie wyciągał zbyt pochopnych wniosków. Zabawiał się uchylaniem zasłony, podglądaniem w wyobraźni jej świata. Bez skojarzeń złowrogich i pustych – bo nie wiedział, co dzieje się w niej naprawdę. Nauczony odczuwać obojętność, nie radził sobie z sytuacją. A Dagmara zaraz wstanie – na brzeczyk – wsunie stopy w mięciutkie papucie, podejdzie do drzwi, by otworzyć i powie na powitanie:

– Zrobiłam to sobie już sześć razy, ale dalej bardzo cię pożadam... Nienawidzę się, nienawidzę...

– Przestań – powiedział to bardzo szybko.

– Adam pojechał nad morze i... nie wiem... może wrócić dość późno... lub rano... I nie chciałabym tego z tobą robić... Nie chciałabym...

– Już chciałaś. Przecież każdy to widzi, jak bardzo.

Dagmara chlupała, tuliła się do poduszki, kiwała ciałem jak w chorobie sieroczej. Scena była patetyczna nieznośnie. Po przebraniu się w granatową koszulkę tak drastycznie przypominała ciałem, jak dusi ją własna nagość, jak krępuje – tak że z ciała też już chciałaby uciec – i wyjść poza, wśród subtelnej natury pozostać. Tomasz czekał, gdy nadejdzie ten moment.

Ale znowu przekręcanie i skrót. Gdzie telefon od zadowolonego z wyjazdu Adama, gdzie wzruszający esemes znad morza? Gdzie kolacja we dwoje, z Tomaszem, przy świecach tak dyskretnie rozmieszczonych na stole? Nic o kotach łąjących po meblach? Ileż szczegółów do przedstawienia wnikliwym i poszukującym nienachalnego uroku. Kolorystyka jak przy *frutti di mare*, tym razem jednak niezaserwowanych.

Tomasz mówił do siebie po cichu. Twoje brzydkie, seksowne usteczka, to w połowie dojrzałe brzoskwinie, a w połowie nienasycone zwierzęta. Stąd skojarzenie z południem i kuchnią dla degustatorów. Tomasz być może przypominał coś sobie, ale za bardzo zapatrzony był w pokój, gdzie siedział tak blisko jej ciała, skulonego pod cienką pościelą.

– W połowie jak brzoskwinie dojrzałe i ciepłe, a w połowie agresywne zwierzęta...

– Co mówiłeś?

– Nic ważnego. Że smaczne.

– Dziękuję.

Pewne chwile nie dają uwiecznić się inaczej, jak w wyobrażonym akcie.

Była w niej delikatność, po której zostaje rana – zanotował. Cierpiała, to więcej niż pewne, jej ponad trzydziestoletnie ciało przepowiadało nie tylko zakończenie tej historii wśród niepokoju i zmarszczek, lecz także rozstrzygnięcie podobnych, wśród tak zwanych kobiecych łez. Najwięcej może działo się w jej głosie, kokieteryjnie miękkim, dzięki któremu mogła zarabiać dodatkowe pieniądze, używając go w reklamówkach, gdzie zachęcała, kusiała.

– Przekreślasz moje uczucia gestem całkowicie nieufnym – słyszała to nie raz, nie dwa, wiele razy; nudziło ją. – Czemu to robisz? – Nie znała głępszego pytania.

– Nie wiem. Naprawdę. A co?

– Wycierasz się o świat i od tego puchniesz. Kiedy ostatnio patrzyłaś na siebie w lustrze, tak uczciwie? Kiedy ostatnio zdałaś sobie sprawę z istnienia...

– Wystarczy! – Dagmara starała się, by brzmiało to jak najostrzej.

Była w niej sama rozpacz i dlatego łatwo mu było ją zrozumieć. Ona także mogłaby powiedzieć:

– Mogłabym płakać sto lat i nie przestać.

Nietrudno być nieszczęśliwym, odczuwając wyraźniej wszechobecność widm, zjaw i duchów, niż ludzi, kiedy tak do nas bezsensownie gadają, poklepują po plecach, namawiają, nie wiadomo do czego i po co. Lecz jeśli jest się wyłącznie wśród widm, to co wtedy? Trzeba zbierać i te okrutne fragmenty, składać je i doszlifowywać.

- Czy były w niej strach i zmęczenie?
- Prawie wyłącznie te stany.

Na sądzie ostatecznym nikt nie powinien ocaleć – przynajmniej takie są założenia. Czy Dagmara wystąpi w tej scenie w sukience, którą miała na sobie niedawno? Czy rozpoznany zostanie jej uśmiech i dłoń, zaciśnięte kurczowo, z paznokciami wbitymi do krwi? Czy będzie mieć włosy blond czy czerwone? Niby drobiazg, ale może się przyśnić.

Było w niej niespełnienie i okrucieństwo. Biegunowo: rozpuściła i piękno.

– Moją tajemnicą, o czym nie wiesz, jest moje wyuzdanie – pouczała go wierząc, że nie zrozumie, bo tak byłoby, jak to dopowiedziała w myślach, lepiej dla wszystkich. – W moim wyuzdaniu nie umiem powstrzymać ciała. Rozumiesz?

– Twoją tajemnicą jest wyuzdanie – Tomasz zapamiętał to jednak; jako jeden z nielicznych. Uśmiechał się smutno, widząc wszystko, co miało być przed nim zakryte, a także to, co istniało tylko wśród cieni. – Teraz znam twoją tajemnicę, więc pozwól, że wyjawię ci swoją. Nawet w najgorszym psychicznym rozbiciu, w dole, w otchłani, w ostatnim kręgu kurewskiego, ludzkiego piekła – jestem silniejszy niż ty i on razem wzięci. Wiem, że nigdy w to nie uwierzysz, a jednak, proszę cię, nie ignoruj tego.

W domu, daleko od niej, kiedy pogasły światła, rozmyślał nad lekcją jej ciała, jej tajemnicą. Powoli otwierał dłonie, ułożone sztywno na pościeli, zdrewniałe. Rozluźniał mięśnie, wolno łapał oddech. Widział, jak przed snem kurczy się i roztapia. Wsłuchiwał się w głosy miasta, wsłuchiwał się w głosy, głosy... Potem – zmęczony – płakał.

ROZDZIAŁ VI

Ten chart miał oczy jak kochanka po stosunku – Skąd wiesz? – Bo mia- łam...

Spacerowa wiosna zbierała się już w sobie, pobladła jeszcze gdzieniegdzie od chłodu, ale już napuchnięta zawiązkami życia – Tomasz szykował się do następnej fazy, liczył jak zwykle na więcej niż obiecywał świat, ponieważ wiedział, że tylko licząc na więcej, wedle tutejszych, diabelskich rachunków, dostanie swoje minimum. W takich warunkach notował na kartkach fragmenty o lęku Dagmary, nieznośnym lęku, jakiego sam nie zaznawał nigdy.

– Lęk przed życiem w niespełnieniu, przed brakiem uczuć, sukcesów, przed starością i jej objawami. Jej stały lęk i niepokój zażegnane przez niego tak łatwo.

– A Adam? – Ten portret mógł być naszkicowany tak lekko, aż niedokładnie.

– Jakby go nie było. Godziny przy komputerze, godziny przy przesłuchiwaniu płyt. A jednak taki był jej potrzebny. – Tomasz widział go aż za dobrze, niepewnego jeszcze bardziej niż ona, stłamszonego przez nią i przez strach. Adam? Zawsze nienaganie ubrany – z gustem, mówiła ona – zawsze w trendowych ciuchach, umiejętnie dobranych. Czapeczki, koszulki, spodenki. – Kilka lat młodszy od niej facet, z którym można pokazać się wszędzie.

– A ona? – W tym miejscu Tomasz zamyślił się i posmutniał.

– Niepokój i powtarzanie: *mnie nie ma, mnie nie ma, nie ma mnie, nie ma* – jak mantra, jak chory film o neurozie, z elementami tylko dla widzów dorosłych. Nic do śmiechu. W powietrzu jasnym, wieczorem, w samochodzie, pod jego domem, gdzie *przjechała odetchnąć*. Siedzieli i trzymał jej dłonie, spłoszone, za-

szczute zwierzęta. Cała istniała w zaszczutej, spłoszonej nieświadomości – stąd wyraziste ślady bólu na zmęczonej twarzy. Uporczywe wracanie do dzieciństwa, trzymanie się wspomnień ze szczególnym uwzględnieniem tych najbardziej raniących, tak zwana zwyczajna rodzina, od lat umierający ojciec, cotygodniowe wizyty z tym samym scenariuszem, z rolami do odegrania: złej córki i matki, zdruzgotanej przez mozolne życie przy chorym, pośród zapachu śmierci, z jej śladami już w przedpokoju i na poduszce. Cały rok, także teraz; od zawsze. Oto ta zebrani-
na wśród niedorozwiniętych liści – myślał Tomasz, słuchając zwierzeń Dagmary – jałowość obrzmiała, początki gnilnego stosu, który barwami ognia zapłonie w porze jesieni. Tego roku czuł to z dnia na dzień wyraźniej. Przedstawić fermentację w kosmicznym obiegu żywiołów, to byłoby może najlepsze – notował w pamięci Tomasz. – Ale do tego trzeba jaźni czulej jak taśma filmowa, większego też może obycia i nieskończonej pewności. Tak, jak z tym chartem, o którym Dagmara powiedziała dokładnie to, co należało powiedzieć.

– Obraz ten mógł mną zawładnąć, jeżeli nie zostałby nazwany. – Statystyki potwierdzają sugestię, mówiącą dobitnie o tym, że jest może tylko nadzieja i – dla wybranych – pociecha.

– Kategoria pocieszenia nie znalazła do tej pory swojego miejsca w filozofii wieczystej. A przecież byłaby warta więcej nawet niż kategorie kary, zasługi i nagrody.

Wśród naiwności tej pory miasto zaludniają pasje kochanków. Ich wzajemne ciągoty, szczególnie te nocne i niewyrażone, domagają się uzewnętrznienia. Ale nic o tym w dialogach, które polegały (zapisał) na jałowym czarowaniu brakiem fizjologii, przechodzącym w teorie o całkowitym odcieleśnieniu i eteryczności.

Płć tego psa nieznana.

Także piekło zdawało się czekać na nich. Behemot, Belzebub i Belial planowali już, w którym kręgu umieszczą tą listę grzechów. Czy tam gdzie Paola i Francescę? Czy gorzej, wśród innych, z ziemskiego punktu widzenia zagadkowych tortur. Tak,

najwyraźniej czekali. Na ich spotkanie, pierwsze i nie ostatnie. Ta otchłań, jej żywe wnętrze, miała już plany na przyszłość, także na wieczór, także na smutny poranek: dzwoneczek budzika, pobudka, melancholijne spojrzenia rzucane na niepozbierane rzeczy, na cicho wyblakłe – po przejściu przez korytarze nocy – przedmioty domowego użytku, na świat. Jeżeli taka melancholia jest rzeczywiście możliwa, to nie należy wątpić, że trudno uciec od niej nawet wtedy, a może wtedy szczególnie, kiedy pomaga w tym sympatyczna nowinka, coś *sexy and trendy*, coś między neurasteniczną przyjaźnią a pożądaniem, co nie przeszkadza wcale, że w końcu, po niewesołych przejściach, nowinka okaże się ledwie ciepłym, lecz pożegnalnym w gruncie rzeczy gestem, tańszym niż martini pite solo w matowej chromatyce wieczoru. A wszystko to oczywiście jest zamiast. A może też obok.

– Dziękuję za rękawiczki, są śliczne – mruczący głos w telefonie po tym, jak na jej biurku wylądowała paczuszka. – Czy my się jeszcze spotkamy?

– A chcielibyśmy?

– Na pewno...

– Więc dobrze. Lecz nie nazywaj mnie już przyjacielem. – W ten sposób zabawa trwa: Tomasz tak lekko da sobie, Dagmara nie pozostanie mu dłużna. – Naprawdę, nie mów tak o mnie więcej...

– Dlaczego? – Dagmara chciała w tej chwili dowiedzieć się o Tomaszu wszystkiego.

– Bo nie mam przyjaciół. – To prawda. Jak i to także, że cierpiąc wyobrażał sobie, chociaż bez precyzyjnych szczegółów, jak po ich ostatnim spotkaniu, pełna poczucia winy, robiła Adamowi laskę, delikatnie, z wyczuciem, z miłością – bo tak było jej najwygodniej, bo to upraszczało sprawę i zwalniało ją z obowiązku tłumaczeń. Tomasz wierzył, że tak to wygląda. Dlatego, pomyślał ze smutkiem, tak liczą się anonimowi darczyńcy, bezimienni, bo na takie pozycje przeszli, gdy nie było już nic do zrobienia. Gdy nie było już nic do dodania, pozostała jeszcze taka opcja: całkowite wymazanie z pamięci, wynaturzenie, degrengolada i rozkład. A pamięć? – zastanawiał się Tomasz. – Ona już sobie tak działa. Komizm nieporadnego wyznania trzeba hamować ostro, nie zważając na to, co kusi, jak aura chwilowo wspólnych westchnień

i szeptów. Ulatniająca się bezpowrotnie, zabiera i radość i rozpacz – i nie ma co komentować. Więc po co to komentować?

– Bo jesteś? – zapytał głos w jego głowie.

– Bo może chwilowo jestem.

Może to tylko zmarli (Tomasz często myślał o śmierci i zmarłych) odmawiali im tak potrzebnego wsparcia, a oni nie godzili się na to – wśród złudzeń dalszych, tłumaczonych coraz bardziej pokrętnie pragnęli mocniej i mocniej, pragnęli nie wiedząc, że duchy im nie pomogą. Między wszystkimi tajemnicze związki, układy współzależności, granica z muślinu i tiulu, granica z ziarenek piasku. On, jego zmarli, jego kobieta. Ona, jej żywi, jej mężczyzna.

Tomasz notował dla siebie i tylko po części – dla niej.

Na dole pod domem Tomasza, śpiewali ci od Jezusa. Piękni i czysti w swoim niezrozumiałym dla przechodniów szczęściu. Kilka oazowych dziewcząt podrygiwało, wyrzucając do góry ręce, a przebywający z nimi dla towarzystwa chłopak nosił tablicę, na której było coś o miłości i Bogu. Na ławkach obok ci od szatana zdychali z przedawkowania albo niszczeni na głodzie, zwinięci jak nadpalone liście, jak okorowane rośliny, zszarzałe, przytrute, ośliżłe. Przeżuci, połknięci, strawieni. Chmielna, „Pod Kaktusami”. To tutaj – myślał Tomasz – spotyka się światek snobów, artystów i dziennikarzy, z jej byłym mężem i jego nowymi flamami. Z pisarzami i pisarkami, szukającymi zabawy i podniet. Tomasz chodził tędy rano i wieczorem. Miał czas pomyśleć o tych, którzy stanowią tutejszą faunę i florę, ale przypominał sobie także inne historie. Na przykład, że kiedyś Dagmara przyjechała znienacka i zadzwoniła, czy nie wyszedłby na papierosa. Tomasz wyszedł i zobaczył półtrupa.

– Nie istnieję. Gdzie są ci ludzie, których tyle lat znałam? – powiedziała. – Boję się pójść na koncert Tricky’ego, boję się iść gdziekolwiek, chodzić Chmielną, żeby go nie spotkać

Tomasz słuchał.

– Ufam tylko Adamowi, bo jest słaby i nie może mnie skrzywdzić. – Wyrzuciła to z siebie, a Tomasz odpowiedział kilkoma nie-

potrzebnymi frazesami jedynie po to, by wyciągnąć ją na świat z tej czeluści, w której utknęła znowu tak niewyobrażalnie głęboko.

– Ludzie zakochują się w samoocenie innych – powiedziała, opanowana, na koniec.

– Powiedz, jak to się stanie – zażartował Tomasz, nie rozumiejąc, jak mogła zapaść się nagle tak mocno, skoro w niedalekiej przeszłości odniosła kilka znaczących sukcesów. Kupiła samochód, wraz z firmą wygrała ważny, wielomilionowy przetarg. Byłby to dla niej tylko wstęp do spektakularnej klęski? Tak silnie ścisnęła mu rękę na pożegnanie. Ale zaraz zaśmiała się krótko, świadoma – już po – wyrazistości tego w istocie błagalnego gestu. W jej oczach zobaczył czułość, jak przy patrzeniu na ulubioną maskotkę, która przynosi niedoceniane, ale potrzebne szczęście. W nagrodę pieszczoty głosem, spojrzeniem. Wyrachowane, na dobrą sprawę, mimowolnie, tyle że to nie pociecha. A jeśli tak właśnie było? – pytał Tomasz, ale dobrze pamiętał, że wtedy zaakceptował tę rolę. Siebie w tej roli. Ostatnia scena – jeśli już o teatrze mowa – drastyczna. W lochu albo mieszkaniu podobnym do lochu znajdował się mężczyzna przykuty do ściany za ręce. On stał, a kat wbijał mu w dłonie wielkie błyszczące gwoździe i opowiadał, jak bardzo teraz będzie bolało. I nic nie bolało. Tym przykutym i torturowanym mężczyzną był Tomasz. Patrzył na to z dystansu, jakby wyszedł z siebie i widział, jak nie on cierpi. Ale to były jego rany. Jego krew zakrzepła, jego głos wewnątrz, mówiący o jego bólu. Żadnego bólu przy tym, żadnej prawdziwej krwi, żadnego strachu w obrazie, z którego wypreparował te zdania. Twarzy skazanego na ten fantazmat grozy nie widział. Narzędzia stwarzały nastrój misterium i średnio-wieczną aurę. Nie pamiętał dobrze, ale katem chyba też był on. Stosowne czynności wykonywał z niezrównaną, bardzo ludzką, chciałoby się powiedzieć, wprawą. W ten prosty sposób sen demontował fakty. Nie dość jednak, jak na te realia, skutecznie.

Pamiętał...

Pamiętam kształt i charakter zapisków *I Remember* Joe Brinarda, oraz *Je me souviens* Georges'a Pereca.

Pamiętam taką zabawę, polegającą na układaniu wspomnień w zdania o prostym początku: *pamiętam, że...* lub też: *Pamiętam, jak...* albo zwyczajnie: *pamiętam...* – w takim stylu. Oto moja zabawa dla ciebie, Dagmaro, Alicjo, Justyno.

Pamiętam, jak trzymałaś mnie delikatnie za krocze w dwadzieścia minut po tym, jak jemu pękła w tobie guma, i twoją minę, kiedy dotarło do ciebie, co robisz.

Pamiętam, jak bardzo nie chciałaś, żeby w Tesco sprzedawczynie zobaczyły nas razem i jak zrozumiałem, że nie chcesz, bo widziały cię już z nim kilka razy; twój uśmiech był rozbrajający.

Pamiętam, jak nie zdjęłaś butów, była chyba wigilia, a tobie spieszyło się do niego i nie miałaś mi już nic do powiedzenia tego wieczoru; twój pośpiech sprawił mi przykrość, z czego na pewno zdałaś sobie sprawę.

Pamiętam, jak tamta wigilia bolała, gdy wyszłaś, udając, że niczego nie widzisz; zostałem w pustym mieszkaniu i miałem wieczór na wyobrażanie sobie, co robicie we dwoje.

Pamiętam Johna Portera śpiewającego *One out of two* na płycie *Incarnation*.

Pamiętam, jak chciałem powiedzieć ci, że znam cię lepiej niż ktokolwiek, że znam cię dokładniej niż którykolwiek z twoich kilkudziesięciu kochanków, bo w przeciwieństwie do nich ja wiedziałem od razu, kim jesteś: *najfantastyczniejszą suką, jaką znalazłem*; i nie wziąłem pod uwagę tego, że ty znasz siebie równie dobrze; to mój błąd i wiem o tym teraz.

Pamiętam, jak po niedzieli spędzonej wspólnie w Kazimierzu nad Wisłą chciałem wytrzeć nim po prostu podłogę, i że ciebie to tak oburzyło, że przez chwilę nie wiedziałem w ogóle: po co ten wyjazd razem, po co ta cała wycieczka.

Pamiętam, jak przeziębiałaś się nagle i uparłaś, żeby mimo to odwiedzić mnie do domu.

Pamiętam, jak on zranił cię kłamstwem, o czym mi powiedział, zaznaczając od razu, że i tak nie odejdziesz od niego.

Pamiętam, jak mnie przed sobą ostrzegałaś, bawiąc się tym i pewnością, że i tak nie odejdę od ciebie.

Pamiętam, że mogłem cię zniszczyć, lecz nie zrobiłem ci nic (bo kochałem); nie podobało ci się, że to wiem (podobalo ci się, że kochałem).

Pamiętam, że jednostronna, nieodwzajemniona miłość boli, ale nie czuję już prawie nic i nie wiem, jak to wytłumaczyć; może kłamie, a może jest już za późno.

Pamiętam, jak zaczęłaś mi mówić, że już raz go zdradziłaś.

Pamiętam, że w końcu nie powiedziałaś mi, jak to było z tą twoją pierwszą zdradą.

Pamiętam, że on o niczym nie wiedział i nie wie.

Pamiętam, jak czasem jeszcze zdarza mi się pragnąć twojej bliskości, całej ciebie; i chciałbym, żebyś o tym nie zapomniała nigdy, skoro nie ma cię teraz *na zawsze*, skoro ty już, świadomie, wybrałaś.

Pamiętam, że nazywałaś go swoją *polisą na życie*, z tą jego nieporadnością, z tym jego rozchybotaniem, słabością.

Pamiętam, że byłem od niego – jak mówiłaś – *lepszy*.

Pamiętam, że nie wybaczyłby ci, gdyby dowiedział się o nas *wszystkiego*.

Pamiętam, że boisz się samotności.

Pamiętam, że przy mnie nie bałaś się niczego i nigdzie.

Pamiętam, że *niczego mi nie obiecywałaś*; to bardzo wygodna formułka.

Pamiętam, że ty, zawsze tak empatyczna, nie chciałaś widzieć mojego zranienia; nie żałę się, nie o to tu chodzi.

Pamiętam, jak po zakupach w Tesco krzyczałaś na mnie, żebym nie pakował rzeczy do zbyt wielu toreb, bo ty tak nie robisz i on mógłby *spozrzec się, spozrzec*, że nie byłaś na tych zakupach, jak mu wmawiałaś, sama.

Pamiętam, jak dzwoniłaś do niego z Tesco, żeby spytać, jaką wędlinę masz kupić mu na kolację; stałem obok i gapiłem się na warzywa, jabłka, melony, banany, na ludzi, którzy nie zdawali sobie sprawy z mojej i twojej sytuacji; byłem tam wtedy z tobą,

ale nie jestem już tego taki pewny; być może byłem tam sam pośród warzyw, ludzi i wędlin – a ty byłaś na tej waszej kolacji, podawałaś mu pieczywo i masło; trudno byłoby to teraz ustalić; *brak argumentów*, została ta głupia śmieszność.

Pamiętam, że jak każda kobieta czułaś się dowartościowana, że masz dwóch mężczyzn dla siebie; na twoje *kokieteryjne rozkazy*.

Pamiętam, że zastanawiałem się, czy byłaś kiedyś w analogicznej sytuacji jak ja: zakochana, bezbronna z miłości, niepotrafiąca odejść, zmuszona do wysłuchiwania pieśni i poematów miłosnych *dla kogoś innego niż ty*.

Pamiętam, że fascynowała cię (może tak tylko mówiłaś) moja siła i energia; i że czułaś się też trochę *zagrożona*, ponieważ nie znałaś wcześniej podobnych do mnie mężczyzn.

Pamiętam, jak bywałaś zrozpaczona i niepewna siebie.

Pamiętam, jak powtarzałaś: *mnie nie ma, mnie nie ma, nie ma mnie, nie ma*.

Pamiętam, jak osuszałem twoje łzy wierzchem dłoni.

Pamiętam, jak trzymałem cię za rękę, a ty nie chciałaś, żebym całował ślady na twoich palcach, drobne zgrubienia po chorobie skóry.

Pamiętam wewnątrz twojego samochodu.

Pamiętam, jak wtulałaś twarz w mój płaszcz.

Pamiętam, jak patrzyli ludzie, widząc nas w samochodzie.

Pamiętam, jak nie chciałaś powiedzieć mi, że mnie kochasz.

Pamiętam, że nigdy niczego ci nie odmawiałem.

Pamiętam, że nie tak było, jak było, ale tak, jak zapamiętałem, że było.

Pamiętam, że ty wolisz mieć rację, ponieważ to cię uspokaja.

Pamiętam prezenty dla ciebie i prezenty dla mnie.

ROZDZIAŁ VII

Miał złą twarz – Jak to? – Nośłeś kiedyś w oczach diabła?

Wielkie zaiste są skutki czasu niebezpieczeństwa. Tyle chińska wyrocznia, pytana przez Tomasza o zdanie. *Należy trzymać się własnej, wrodzonej skłonności do dobra.* Doskonała i wyczuwająca na koszmara absorpcja wyroków Nemezis, doskonale wchłanianie mądrości, jakby to szeptał sam diabeł. Noszony w błękitnych oczach, w spojrzeniu, jak przy wycenianiu kosztów – Tomasz bawił się interpretacjami wtedy, gdy ranki pojawiały się nieoczekiwanie, bo po nocy wypełnionej wieloznacznymi i zniechęcającymi obrazami nie było nic do stwierdzenia, nic do przyjęcia na chłodno.

– Ale skąd diabeł? – pytała Dagmara, kiedy spotkali się znowu.

– Oczywiście – żartował Tomasz – ze zrozumienia istoty wszechrzeczy. Z drzewa poznania złego i dobrego, z mądrości, z nieustającego myślenia... Wystarczy? – uśmiechnął się ironicznie. – Wystarczy, o ile będzie się pamiętać, że zrozumienie istoty nietrwałości może ustrzec przed schodzeniem na boczne tory bezużytecznych dążeń i że dzięki stosowaniu tej wiedzy umysł w życiu może pięknie dojrzewać.

– By zostać użytym w reklamie?

– Cynizm nie może tu pomóc. Ale rozumiem frustrację, gniew, żal, całą podłość, która została upchnięta...

– Gdzie?

– W jednej twarzy, w źrenicach, które za wiele widziały. W takich oczach mieszka niewyraźne, takie oczy noszą w sobie zło – tego nie mówił już żartem.

A jednak wróżba była dokładna i pięknie trafiona, tak, że warto z niej było szybko skorzystać, by odnaleźć spokój. Byle tylko nie zapomnieć, że szatan zawsze idzie trop w trop za czło-

wiekim i ten wtedy może go nieco przechytryć, jeśli sam puści się po diabelskich śladach.

Co na to Tomasz? Wstawał o świcie, puszczał cicho Daviesa i nie wiedzieć czemu zaczynał rozmyślać o transcendentálnych i odbiegających od jego codzienności sprawach. Nigdy wcześniej nie był zamieszany w metafizykę, teraz też wolał nie być – a jednak. Chyba miał w tym swój udział diabeł. Może to jemu zawdzięczał przypadki emocjonalnych zapaści. Ironizował, kiedy tak o tym myślał. Ale nie czuł się dobrze.

Wyciągała go z tych stanów lektura prasy kobiecej, listy od czytelniczki na przykład w „Cosmopolitan”: *Mój facet miał świra na punkcie mojej bielizny i przymierzył kiedyś moje koronkowe majteczki. Spacerował po pokoju, oglądając się w lustrze i kręcąc tyłkiem. Następnego wieczora zapytał, czy może je jeszcze raz założyć. Zrozumiałam, że naprawdę o nim niewiele wiem.* Odpoczywał przy takiej lekturze.

Skaleczony, zablokowany.

Wtedy wiedziałem już – zanotował – w jaki sposób zacząć tę opowiadankę, której bohaterowie tracili się od stuleci, na wzór literackich postaci. Ale nosiłem też w sobie to, czego nazwać nie potrafiłem. Mówili mi o tym inni, miałem wszystko wypisane na twarzy. Wtedy jeszcze nie w każdym momencie, ale tylko od czasu do czasu.

– Co by było, gdyby ktoś ci powiedział: chcę żyć z tobą, chcę być z tobą, jadać z tobą śniadania, obiady, kolacje, chcę spać z tobą i chcę kochać się z tobą, jeździć z tobą, i chodzić, robić wszystko to razem. Co ty na to?

– Mam wybrać?

– No właśnie.

Kilka minut po drugiej Tomasz odebrał dramatyczny telefon. Komisariat na Kruczej i zgłoszenie kradzieży. Samochód Dąmąry wpadł w oko złodziejom. Ale czy przypominać teraz – zanotował – jak to było z tą nocną historią? Że dzwoniła z tym do Tomasza, żeby Adam mógł się tej nocy wyspać. Że liczyła na prawo do mówienia o wszystkim i wiedziała, że przy Tomaszu nie

usłyszysz: *marudzisz*. Że nie wiedziała, jak bardzo może to być dla niego ważne i że skojarzy się z wierszem, z kilkoma wersami. – *I dobiegł mnie twój głos. Nie mów, że tak nie było, że wcale nic nie mówiłaś. Musiałaś szepnąć coś.* – Wrywki z obcej liryki, wciąż pamiętanej. – *Wpierw ty powiedz, co ci się zdawało, że słyszysz.* – Ten schemat, jaki oczywisty. – *...i nie tylko głos, lecz jakby słowo jakieś usłyszałem w ciszy. Co to było za słowo? Moje imię?* – I najstraszniejsza końcówka, świadcząca o braku uczuć: – *Mogłam coś w tym rodzaju pomyśleć – nie głośno.* – *W każdym razie – to mówi on – jestem z powrotem.**

– Ale dlaczego dzwoniła?

– Ukradli jej stary samochód.

– A co to ma do wyboru, o którym rozmawialiśmy wcześniej?

Następny dzień i spotkanie przy winie i desce serów. Rozmowa o niemożliwości straty, o *satori***, a nawet podwójnym *satori*. W pierwszym stadium zrozumienie faktu, że niemożliwa jest w tej sytuacji strata, w drugim – pewność, że strata także nic tu nie zmieni.

W półmroku:

– Ty naprawdę nic ode mnie nie chcesz.

– Bliżej ciebie być psychicznie nie mogę.

– I ja...

– Co czujesz?

– Bliskość. Nadzieję. – Jakby zamiast słów przez powietrze przechodziły noże, a ciało było uwrażliwione na wszystko, napięte.

* Fragment wiersza Roberta Frosta *Telefon* w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

** *Satori* (jap.) – głębokie oświecenie; przebudzenie i uświadomienie sobie prawdy, prowadzące do całkowitej przemiany wewnętrznej tego, kto doświadczył wglądu w istotę rzeczy. W *Drodze zen* Eugen Herrigel pisze o *satori* przeżywanym przez adepta zen: *Jest to zachwycające: czego wypatrywał na próżno, teraz objawia mu się w pełnym świetle. Rozumie już przejrzystość całe poprzednie uwikłanie i może widzieć całe drzewo w odłupanej drzazdze. Łuski opadają mu z oczu. Czuje się całkowicie wyzwolony. Jest to moment krótki, jak błysk światła, ale jego wpływ jest dalekosiężny.* (tłum. Michał Fostowicz-Zahorski).

To wtedy zapytała o romans. W pamięci Tomasza była to chwila dwuznaczna, niespójna z tak wielu powodów, że dało wyróżnić się zaledwie najistotniejsze: ci ludzie, to miejsce, ta aura. W pierwszym odruchu myśl piękna, że oto świat go przyjmuje łagodnie i zniewalająco, jak gdyby czymś sobie zasłużył. Gdzieś głębiej: przecucia, złowrogie domysły. Świadomość gry tak widocznej w jej ruchach żarliwie fałszywych.

Być może i to było błędem.

Należało zlekceważyć niedogodność lub znieczulić się całkowicie.

To były – już wtedy Tomasz miał pewność – chwile i doświadczenia najciekawsze.

Był to czas żądzы czystej i nieuleczalnej, na pograniczu magii związanej z prostymi słowami: euro, dolar, a wcześniej także frankiem i marką. Zręczne zabiegi po to, by udostępnić szczęście, to, co zazwyczaj chciałoby się mieć w zasięgu ręki. Tomasz korzystał. Lub nie zwracał uwagi. Nie on tu wybierał, ale melancholia. I kiedy w końcu uzyskał to, czego myślał, że pragnie, nie było to żadną pociechą, nie było w tym nic ze spełnienia. Lecz pomagało na chwilę. I łagodziło w znużeniu. Ujawniało stan własny Tomasza, związany z postępami w milczeniu – bo przy Dagmarze musiał nauczyć się także ciszy. Melancholijny nastrój nie mógł Tomaszowi przeszkodzić w doprowadzeniu do końca tych uczuć, które go wyžerały. Dla których nie znajdował już w sobie przestrzeni – a ich przybywało i rosły.

– Jaki miałaś dziś dzień? – proste pytanie. A samopoczucie nie proste.

– Nie mogę powiedzieć, że dobry.

– Dlaczego?

– Znasz powiedzenie *chercher la femme*?

– Coś przez kobietę? – Tomasz myślał o skomplikowanych układach towarzyskich, o frakcjach, podchodach, pułapkach zastawianych na prostolinijnych i naiwnych w firmie, gdzie duże pieniądze przypadały w udziale nielicznym. Wiedział, że umie

być sprytna i domyślał się jej talentu do gier. Ale firma bywa okrutną matką, która łatwo zapomina o obowiązkach wobec swoich dzieci. Jego pytanie miało za wiele podtekstów, by mógł liczyć na wyczerpującą odpowiedź. A ona wypowiedziała słowo rozstrzygające:

– Tak.

Kiedy Tomasz powiedział, że zna ludzi z jej branży i że spróbuje pomóc, jeśli będzie trzeba, usłyszał kokieteryjne, wesołe:

– Chyba wyjdę za ciebie za mąż. – Na co mógł nie odpowiadać, znając powód, dla którego tak mówi. Adam nie wiedział o lękach, które trwały w niej, przyczajone. Lecz czy zrobiłby coś gdyby wiedział? Czy potrafiłby pomóc Dagmarze?

– Nie będę oponował – rzucił Tomasz dla symetrii. W żartach.

– Uważaj, o czym marzysz, bo jeszcze ci się spełni.

Źródłem tych komplikacji była nowa kochanka prezesa, oddająca mu się w czasie przerwy lub wywołująca go *mailem* na tak zwany *quick* w toalecie. W wielu działach plotkowano o tym, grzebiąc się w cichej farsie jak w śmieciach. Miała na imię Karina. On miał żonę, kasę i dziecko. Co przeważa, zastanawiali się wszyscy. Dla Dagmary było to zagrożenie, bo „ta suka” miała chrapkę na miejsce, bardzo dobre i zdecydowanie intratne.

Kończyliśmy rozmawiać – przypomniał sobie Tomasz już później – czując, że coś się zmieniło, szczęśliwi i podekscytowani. W ciele drżało od wybuchów emocji, a na zewnątrz nic nie było widoczne. Wejść w cudze życie nie jest łatwo, notował, nawet na moment. Zaistnieć w życiu zbiorowości, to jeszcze trudniejsze. Dlatego nie może być to – zapisał u dołu kartki – mój autentyczny pamiętnik, a tylko galeria szeptów. Jedynie ogrody formy, muzeum widm i przypuszczeń, stworzonych w tych wspólnych godzinach...

Od tamtej pory Dagmara poczuła się rozdwojona, a przerażenie towarzyszyło jej nie tylko we śnie i pracy. Uwiło sobie w niej gniazdko tuż obok niechcianych uczuć, spoczywało tam nieruchomo, ale był to bezruch śpiącego i zwiniętego w kłębek

węza, który w każdej chwili mógł zacząć syczeć, poruszony i zirygowany. Nawiedzało ją nieprzyjemne uczucie, że nurza się w coś toksycznym i że to coś prowokuje ją do wyzwalań z martwoty, a jednocześnie urąga jej i z niej szydzi. Zaczęła myśleć, że ma więcej niż jedną twarz, więcej niż jeden umysł, więcej niż jedną duszę. Patrzyła na koty łąjące po jej mieszkaniu i gdyby to mogło coś zmienić, najchętniej rozpruła im brzuchy, wyjęła wnętrzności i zaczęła wróżyć, byle tylko dowiedzieć się prawdy o przyszłości. Zainwestowała w związek z Adamem całą siebie, a teraz pojawiła się możliwość wyboru. W tamtym okresie zniknął nagle natłok spraw niepojętych, przybyło natomiast problemów w sferze i rzeczywistości widzialnej, jakby dążenie do homeostazy obowiązywało we wszystkich punktach wszechświata. Dwaj mężczyźni mieli w tym udział, więc dwa życia byłyby tutaj na miejscu.

– Nie zostawię go, on sobie nie poradzi – stała śpiewka na spotkaniach z Tomaszem. Widoczne niedobory szczerości, przez co seanse atrakcyjniejsze, bo pozbawione kiczu i komunau. Ale to były jej prawdziwe słowa. Mimo zdrad, uników, fałszerstw.

To wtedy Tomasz po raz pierwszy pomyślał, że jego dusza wciąż kluczy w zaświatach jak Odyseusz. A może to Odyseusz kluczył w poszukiwaniu swojej duszy, czyli Penelopy. A inne kobiety były nieudanymi przymiarkami mężczyzny do zajęcia ciałem miejsca w tej duszy, która jest tylko dla niego. Od tamtej pory zajmował się tym wielokrotnie. Tomasz myślał o mitycznych herosach – i ich poszukiwaniach kobiety, duszy, *animy*. Spotkania tych mężczyzn z kobietami, z których każda jest potencjalnie duszą, *animą* – tą właśnie, *jedyną* – wiele spotkań, a po każdym żal, tęsknota i rozpacz, ponieważ to jeszcze nie ta. W tej drodze zetknięcia ze światem potworów, czeluści i ran. Nauka sprytu, nabywanie mądrości. To mogła być krótka lekcja o strachu przed niezaspokojeniem i brakiem. Pantofelek nie dla tej księżniczki – zaśmiał się w duchu Tomasz – źle wybrana do pocałunku żabka.

Udzielała też innych lekcji. Pozornie cynicznych, w istocie może tylko zabawnych. Wyglądała przy tym na obojętną. Na przykład wtedy, gdy zapytała znienacka:

– Wiesz, kiedy jest czułość?

Bawiły ją obserwacje zachowań prowokowanych.

– Kiedy?

Tomasza ciekawiło, co wymyśli dla niego tym razem.

– Kiedy trzyma się delikatnie za włosy i tak mocno, tak zdecydowanie rżnie.

Tomasz zadrżał. Dla zniszczenia w sobie potem tego obrazu wiele nocy, wiele godzin układania go w swojej pamięci tak, by nie ranił. Składania go w kostkę jak ubrania. Zamykanie oczu, otwieranie już w innym wymiarze. Ona mówiła o tym, co było jej osobistym, całkowicie intymnym doświadczeniem, a Tomasz pragnął zobaczyć twarz tego, który ściągał na siebie wzrok jej proustowskiej, więc szalonej pamięci. Jego grymas w tamtej delikatności. Jego palce na jej zaczerwienionym karku. By połączyć to z jej skowyczeniem. Stworzyć obraz niezapomnianej bliskości.

Na jednym z pierwszych spotkań, kiedy wszystko można było jeszcze przerwać, patrząc w refleksy światła na filiżance z kawą, mówiła:

– Ale ja nie jestem silna. Pamiętaj.

Dagmara miała twarz, i spojrzenie poza gniewem, poza litością dla samej siebie, może nawet, chociaż to raczej nieprawdopodobne, poza wyrachowaniem. Wiedziała już, czego nie chce, ale wolała tego nie zdradzać.

– Rozumiem to dobrze, bo znam cię. Czekałem, by móc to powiedzieć.

Tomasz naprawdę czekał. Obserwował to przypadkowe i nie-nawistne miasto, Warszawę, jakby patrzył na azjatycki drzeworyt. Na oniryczny, lecz wyostrzony do granic wizji obrazek, gdzie zmyślnie poumieszczano zwierzęta. *Shunga*. To właśnie tak się nazywa. Podobno na tych arcydziełach sprośności i wyuzdania zwyczaj umieszczania podobizn rozmaitych zwierząt wskazywać miał na przygodność i nieobliczalność seksu, na jego animalną podstawę i na obłąd, który człowiek chciał wyrugować ze swojego świata, więc nazwał go zwierzęcością i kazał mu trwać, byle obok. I to powraca – z rozkoszą, jej opętaniem i wpływem, aby

już nikt nie mógł skłamać wśród nocnych lub dziennych ukąszeń, pocałunków, zadrapań. Z Warszawą tamtego czasu kojarzył równie drastyczne obrazy. Zwierzęta obsiadły ulice, całe skwery pełne były żmij, wilków, sępów, kocic i zółwi. Bawiło go porównanie z *shunga*, gdzie jednak więcej precyzji i mniej niedoskonałości w rysunku. Bawił się tak, jak bawiło się nienasycone miasto, gotowe wchłonąć i zasymilować każdą perwersję, byle jej wygląd był ryzykowny. Nad ziemią, nisko, szedł zapach. Cielność mężczyzn, przede wszystkim jednak kobiet i dziewcząt, grymasy wszystkich tych twarzy martwych jak od samozaspokojenia. Przy tym ten przezroczysty opar, wirujący w powietrzu cierpki pył. A tu para, jak wykadrowana do zdjęcia, znów filiżanki, pudełka po papierosach i celofanowe nitki, wiszące na brzegu popielniczki, złociste, pozaginane. W skurczach, rozkurczach, konwulsjach – od żaru – jak ścięgni albo pożyłkowane mięśnie.

– W tym świecie doszło do przekłamań – ta myśl niepokoiła Tomasza. – Tylko z nawyku dzieje się coś jeszcze.

I niech się dzieje. Wystarczy bez uległości zwrócić się w tę stronę, gdzie nie widać nic, gdzie zdarzyć się może więcej. To dziś dość popularne hasło, podstawa dla wielu natchnionych wymysłów copywriterów, ich praca. Teraz taniej. Dla ciebie. W promocji. Standard kłamstw i psychicznych wymuszeń. Żeby to wszystko uchwycić na żywca i z dobrym pomysłem, trzeba by jedną ręką notować, drugą pstrykać błyskawiczne fotki, uchem łowić każdy zgrzyt uliczny, no i – jak powiedział poeta – potrzebny jest węch. Węch, czyli czujność we wszystkim. Bo bez tego wyjdzie schemat, nic więcej. A tego Tomasz wołał w swoich notatkach unikać.

– A ona?

– Ona musiała być nieprawdziwie piękna. Nie dla wszystkich równie atrakcyjna, a przez nielicznych wręcz uznana za brzydką. Jeśli wzbudzała – to tylko miłość szaloną. Jest to reguła niezmienna, kiedy w grę wchodzi taka kobieta. Obłąd w patrzeniu na ciało, w przeczuciu wynikłym ze zmysłów.

Dagmara nawet nie przeczuwała...

ROZDZIAŁ VIII

Przeszłość – myślał – jest wielką porażką, a ona była taka jak zawsze...

W swoim przeznaczeniu Tomasz mógł nie dopatrywać się przepowiedni, a jednak, gdyby był ostrożniejszy, nie lekceważyłby możliwości stwarzanych przez fanaberie czasu, o którym wiadomo to tylko, że nie da się go opowiedzieć.

Są w pamięci doświadczenia fatalne – myślał – które łamią ustalone schematy, niszczą granice i przekraczają miary. A zostaje po nich jedynie szklisty obraz na dnie oka, w źrenicy – i nikt nie zna jego skrytej przyczyny. Dwójce ludzi, którzy biorą w nich udział, wydaje się, że się kochają i że to usprawiedliwia notoryczne kłamstwa. Godząc się na codzienne przykrości, liczą na zapomnienie, którego nawet po śmierci może wcale nie być. W upadku, przez chwilę, nie pragną – i to biorą za największą nagrodę.

– Któregoś dnia nieuchronnie budzą się w tym upadku i patrzą. Dotykają spojrzeniem przedmiotów, odtwarzają kształt świata zastany i barwy, odmawiają bezgłośnie litanię; w tej sekundzie mają wszystko we wszystkim. Jej lęki i jego powagę, ich dotyk, pieszczotę i rozkosz. Jakby rzeczy prześwitywały przez rzeczy, ludzie przez ludzi, a całość jakby śniła sama siebie dokładnie, wśród nieznaczących rozszczępień materii. W jej błyskach.

– Tego można się naprawdę przestraszyć.

– O tym można nie przestawać myśleć.

– Jak o przeszłości zamkniętej w kole powrotów i klęsk.

Widywali się wtedy często, kontakt był obsesyjny. Adam nie miał pojęcia, jak wiele razy Dagmara zapominała o nim. Jego rozpacz przyjmowała formę naburmuszonych mruknięć, przytulnych skomleń i westchnień, którymi ona zaczynała gardzić, o czym mówiła na przemian – to skrycie, to całkiem otwarcie. Kie-

dy tamci rozmawiali, Tomasz słyszał: *timbre* głosu, jego drzenie, napięcie, niepokój. Zależało mu, by być jak najbliżej. Pytał:

– A więc zna on to najdotkliwsze uczucie, kiedy żyje się poniżej możliwości?

Wtedy jej gorzki sprzeciw wypełzał na światło dzienne. Mówiła:

– Ja znam także tę przykrość niszczenia. Po małżeństwie jeszcze jestem jak chora. Wyczerpana, strawiona przez smutek, w trakcie terapii, na prochach.

– Nie znam tych stanów, więc nie wiem, czemu sobie fundujecie te jazdy – mówił tak, żeby znalazł się haczyk, którym mógłby skaleczyć jej próżność. Skutkowało i słyszał na swój temat prawdy, których sam nie wymyśliłby nigdy. Nieczuły, daleki od rzeczywistości. Nieautentyczny i próżny. Jakby jej słowa zatoczyły koło i spadły. Słowa-ptaki wypuszczone na żer. Bo ciężar rzeczywistego świata był już ciężarem klęsk przeszłych, tej otchłani, którą można przeczuwać, bądź doświadczyć w dowolnym momencie. Jeśli język nie jest tylko zwodniczy – notował – także prawda wyrażona nie będzie przypadkową koincydencją, fałszywką, migotliwym i nieuchronnym banałem. Po wewnętrznej stronie ciała, w głębi, słowo zmaga się nieustannie.

To działo się za sprawą śródmięskiej aury. Wydostawali się zniej po wielu otarciach psychiki, zagubieni w jej naprędce stwarzanych labiryntach. To działo się w nich nieświadomie, w zakamarkach dusz; liczba ich niezliczona.

Powietrze drżało przed burzą; wiatr z północy roznosił papiery po ulicy, wpadał w rękawy koszul, owijał spódnice wokół ud i pośladków. Dzień się nie kończył. Pary zajęte pogłębianiem własnego nieistnienia, pogrążone w trawiącej ich związki neurozie, siedziały przy kawiarnianych stolikach, na schodach, murkach, jak dzikie koty, jak muchy. Tomaszowi wydało się, że mogliby, gdyby tego pragnęli, obserwować schyłek Europy w jednym z jej najciekawszych historycznie i psychologicznie zakątków. Obserwować zderzenie traumy Wschodu i Zachodu, słuchając dialogów podglądanych ludzi. Coraz mniej zrozumiących, jakby tkwią-

cych na granicy monologu i solipsyzmu. Było to wciągające jak choroba psychiczna, jak skakanie z kry na krę, na głębinie. Był to czas na doskonalenie czujności i nieufności spotęgowanej złą wiarą.

– Boję się czasem otwarcia, wolę być półotwarta – mówiła lekko wstawiona Dagmara, dzwoniąc od koleżanki. – Nie chcę powtarzać tego, co stało się już w moim życiu, nie wytrzymałabym drugiej takiej historii.

– Nie wiemy – mówią do siebie mężczyźni gotowi zająć się na poważnie tą kwestią – ile wytrzyma kobieta, nie mamy danych i skali. Kobiety milczały o tym przez stulecia, dopiero teraz przestają.

– Tym razem to coś głębokiego, o czym może nie ma sensu tak mówić – Tomasz próbował wyjść poza kontekst, aby skłonić ją do dalszych zwierzeń. Trzymał słuchawkę przy uchu, słysząc jej łkanie i czułość, fala za falą, na przemian. Dzwoniła dlatego, że był, a nie dlatego, że myślała o nim. Mężczyźni – pomyślał ze smutkiem – najczęściej nie znają tych różnic lub ignorują je celowo.

– Cały czas nie ma tego we mnie – kłamała po pijanemu. – Pożądania, rozumiesz?

– Nie będę tego zwalczał, ja to po prostu ominę i kiedy zostanie to z tyłu, będzie można tylko śmiać się ze wspomnień.

Jak niekorzystnie prezentują się uczucia, nad którymi łatwo jest zapanować. Przestroga dla emocjonalnie schłodzonych, beznamiętnych, nawet jeśli pozornie. Bo jak taki człowiek wygląda? Tomasz długo nie był skłonny uwierzyć, w końcu jednak przyznał słuszność teorii, wedle której spokój i opanowanie kochanka dowodzą, iż nie dorósł on do wymogów miłości i nie zasługuje na względy.

Nawet jeżeli zdycha na tle wybitnie ożywionego miasta.

– Opuszczę cię, bo nie zniosę, jeśli ciągle będziesz mnie poprawiać, wytykać mi niedoskonałość, bawić się moimi upadkami.

– Nie boję się tego, bo tak nie jest, nie martwi mnie niedoskonałość, której mam w sobie pod dostatkiem.

– Nie umiałbyś mnie oszczędzić, popatrz na to w ten sposób.

– Nie umiem oszczędzić siebie, więc widzę to wszystko inaczej.

Sposoby patrzenia mężczyzn, kobieca spostrzegawczość.

Odnosił wrażenie, że jej strach topnieje, nie pytała już „po co?”, „dlaczego?”, otwierała przed nim świat swoich odczuć, zaskakiwała go w tych dniach jej konkretność. Ubrana w zachęcające sukienki, pieszcząca każdy przedmiot jak ciało. Albo to tylko Tomasz tak widział, było w tym jego złudzenie, błędna podpowiedź wolnego i majaczącego ducha. Nieustępliwy głód dwudziestokilkuletniego ciała, wyczerpujący jak przymusowy bezdech.

– Dotyczy, co ciekawe, tego – mówiła o niepewności – że mogłoby nam wcale nie wyjść, gdybyśmy ze sobą byli. Oczywiście uważam to za niepoważne, nie myślę przecież o tobie jako o tobie, ale tak, dla zabawy, rozważam.

I rzeczywiście, musiało ją w tym coś bawić, bo zaczynała patrzeć z uśmiechem, którego on nie dostrzegał: z tryumfem, ciepło, ale też z drobną złośliwością ujętą w króciutkie zmarszczki w kącikach ust oraz oczu. Poniekąd kłamała, poniekąd było jej wszystko jedno. Chodziło więcej lub mniej o rozrywkę, gdy nie mogło być przy niej tamtego: jej mężczyzny – jak o nim, kiedy jej przyszedł na myśl, mówiła. Wsłuchiwać się w to było doświadczeniem jedynym w swoim rodzaju.

Co złe – już się wydarzyło. Tego Tomasz był pewien. Jak również tego, że nie ma w tym nic specjalnego, bo koszmar wydarza się nieustannie. Skazany na gigantyczne skróty, w jednej myśli ujmował śmierć i rozstanie, miłość i pełnię znużenia. A powinno mi to zajmować – zanotował na kartce wieczorem – co najmniej kilkadziesiąt lat i wiele niespożytych sił lub innych, które uważałem za takie: niewyczerpane i piękne. Pod tym słońcem, na tej ziemi – inaczej. Stąd pewnie to przejście z dialogów soczystych na styl rozmawiania modułami. Zaczęła Dagmara:

- Trudno. Tak jest najlepiej i tak musi zostać.
- Nie ma w tym nic specjalnego – odpowiadał.
- A czego się spodziewałeś?
- Tego. Dlatego: trudno.

I tak dalej. Można zapaść od tego na nieznaną chorobę, bliską szaleństwu przez zamęt i halucynacje. Można zacząć rozmawiać z owadami, krążącymi po pustej podłodze, po ścianie, po szybie.

Można zacząć rozpytywać wśród widm, realniejszych i bogatszych w życie, gdy na moment stają przed oczami, niby ślepy, lecz jasnowidzący wieszczek, legendarny hermafrodyta Tejrezjasz. Przychodziły gdzieś stamtąd, z daleka. Czasami Tomasz odczuwał, że ma ich pełno w mieszkaniu, prawie potykał się o nie, nie wiedział jak ich uniknąć. Nie przejmowały się nim i choć rozmawiały cicho, to jednak tak, żeby słyszał.

Padalo – powrócił do myśli o Dagmarze – pytanie, czy to uczucie ma sens?

– ...ma sens... – rozlegało się w innym wymiarze.

– Czy tak już zostanie? – Spicie było przewidywane i brane pod uwagę.

– ...zostanie... – Owady i widma odpowiadały jednak zbyt monotonicznie, by dawało się przyjąć ich szeleszczącą wewnątrz głowy mowę. Brzmiały jak zduszone echo i Tomasz nie miał siły odpowiadać. Patrzył na lśniące odnóża, czułki, wgapiał się w twory umysłu jak w maski. Nie było w tym nic z oczekiwania ani nic z sentymentalnej udręki.

Po pierwsze żadnych prawdziwych opinii o ciele – zanotował Tomasz na marginesie książki, dzienników włoskiego pisarza, na które trafił przypadkiem – jedynie superlatywy, a i te nie w nadmiarze, ostrożnie. Po drugie żadnych delikatnych zwierzeń, nie wystawiać się na pośmiewisko, tylko drażnić i prowokować, umieć włączyć sprawy płci do dyskusji. Po trzecie subtelne oszustwa, zapobieganie szczerości. Trzeba zająć się przemilczanym, dopaść je i okiełznać, wraz z drobnomieszczańskim światkiem spraw jednoznacznie plugawych. Bo ich erotyczny potencjał wyzbyty jest finezyjnego łącznika z perwersją, bo nie ma w nich ani zaspokojonej kobiety, ani pewnego w sprawach łóżkowych mężczyzny. Zazwyczaj sztuka zмага się z ukazaniem prawdziwej i niesfałszowanej rzeczywistości, jednak celem przedstawień erotycznych jest nierzeczywistość. Więc zgódźmy się – pisał dalej – że nie wyłącznie ze względu na efekt tu i teraz przeniesiemy się na terytorium ułudy. Obrazy przepływającego świata

to stan umysłu bądź ducha, a to, że istnieją burdele jest ustępstwem na rzecz fizjologii. Niech będzie to sprawa natchnienia i niezgody na naśladownictwo, zaufanie do wirtuozerii i maestrii osobistego stylu.

– Zajmuje mnie to, czego nie wiem, co przeczuję i czego mi stale odmawiasz.

– Zajmuje cię seks – Dagmara uśmiechnęła się ironicznie. – Zajmuje cię egocentryzm, trochę narcyzm i własna paranoja. A ja jestem nieuleczalnym fantazmatem – niefrasobliwie i szczerze ujęte.

Czy miłość może być tak wyrachowana? – notował dalej przy lekturze dzienników intymnych wybitnego włoskiego autora. – Kiedy rozmawialiśmy o uczuciach pewnego znanego pisarza, jego sentymentalnej porażce, śmiała się. A mogliśmy rozmawiać w ten sposób o artystach w ogóle, bo w każdym – skaza, zatajone ślady po traumie. Albo błąd w genotypie, po tak zwanych przodkach.

Zapamiętał, jak tłumaczyła mu swoją fascynację tym niezwykłym pisarzem.

– Nie potrafię sobie wyobrazić czułości w jego wykonaniu. Nie potrafię zobaczyć, jak mówi to, co napisał. Pewnie do kogoś tak mówił, to rzecz więcej niż pewna, przecież miał tę swoją kobietę. Ale ja – powtórzyła, z wahaniem, precyzyjnie dobierając słowa – nie potrafię sobie tego wyobrazić. Czy wtedy znikła maniera, czy podwyższał ton i przestawał cedzić słowa? – wyobrażała go sobie w skupieniu. – Ciekawe, czy szeptał, czy krzyczał? Nie mam pojęcia. Zagadka.

Chciałoby się rzec: wróćmy na ziemię. Tyle że ziemia może tu równie dobrze oznaczać zaświaty, co przestwór z obcej bajki o niezrozumiałej puencie.

– Jeżeli istnieją odstępstwa i miłość potrafi uleczyć, to trzeba z pokorą przyznać, że nikt nie potrafi kochać wystarczająco mocno.

– Tak myślisz?

– Jeśli przyjąć pewne założenia, nie pojawi się inny wniosek.

Kto może, wypędza złego – dopisał na końcu – i ten łączy się z podobnymi, skazanymi na anonimowość.

– *Next steps?*

– Może zadzwonię, może nie zadzwonię... Może ty zadzwonisz, może nie zadzwonisz...

W każdej rozmowie z Dagmarą – notował po spotkaniu Tomasz – było miejsce dla stworzenia otoczki, nasycenia zdań niepewnością i wygrania na tym wszystkich uczuć. W tej zabawie pełnej podtekstów Dagmara była mistrzynią.

– *Next steps?* – kpiła sobie z Tomasza.

W naszych codziennych kontaktach była przeważnie przemoc – łagodna i przez skuteczność dotkliwa – zanotował Tomasz. – Co zrobić, gdy nieosiągalnym biegunem staje się nagle dusza. Co zrobić, skoro ta dusza tak błądzi? Dusza mężczyzny, cała w jego nieukojonej miłości. Od początku będąca jak gdyby w stanie śmierci, bo przeciwieństwem braku uczuć jest ona. A w chwili śmierci – notował – taka dusza pozna ogrom cierpienia, podobnego do mdłości człowieka, który pragnął wtajemniczyć się w życie. Najpierw włóczy się po manowcach, jak zapewnia sam Plutarch. Potem nuży się tym, wpada w smutek, jakieś drogi prowadzą ją w ciemność, a z niej wiodą najpewniej donikąd; potem nagle u kresu popada w stan paniki i drżenia, i ciszy; aż na koniec odnajduje zdumienie, skoro tylko rozpozna, gdzie jest. Nie ma więc odpowiedzi na kwestie, które brzmią powierzchownie i gorzko. To drugie mógłbym – zapisywał – zrozumieć, ale pierwsze... I tak kroki czynione przeze mnie – zaśmiał się cicho do siebie – nie nabierają rozpędu. Tylko spokój i kontemplacja, zalecane trochę także przez *I Cing*, te na razie nie ostateczne środki, ta gotowość do skoku, napięcie i rozluźnienie, obserwowanie miesięcy – to wszystko.

Żyjąc w zgodzie z prawami nieba i ziemi jest się bez winy i fałszu. Tyle wyrocznia, której Tomasz znowu zapytał o zdanie. Tyle wyrocznia, w której ani słowa o życiu według reguł czeluści i ognia. A woda – zaśmiał się Tomasz raz jeszcze, już pod prysznicem – a woda to wszystko omywa. Wyplukuje. Sprząta. Kapie z nosa i ścieka, jak po raperskiej bródce zdezaktualizowanego co nieco diabła. On mógł być moderatorem rozmów.

– Jestem już taka stara.

Ale jak jest naprawdę stara?

– Wiek jest ważny dla zabytków i wina.

Jak to przenieść poza płaszczyznę ciała?

– No to ja jestem zabytkiem.

Czy tak jak metafizyka?

– Raczej luksusem i zbytkiem. Ale o tym – na poważnie – sza!

Dusza nigdy nie jest wygnana przez ciało i chociaż mówić o tym nie wypada, nie mamy wyjścia – to fakt bez wystającej mu zza pleców ironii. Ale która kobieta myśli o tym, szczególnie po nocy pełnej niespokojnych i brudnych snów, gdy jej mężczyzna nie stanowi dla niej kogoś, kim mogłaby zająć się na poważnie. A Tomasz w tym czasie myślał, poznawał schematy istnienia, dosięgł wyżyn teorii i nie mógł jej szybko przekazać. Gubiliśmy się – zanotował – w tak zwanych partycypacjach. Wykonywałem ruch dłonią, dając gestem tym do zrozumienia, że w tym drzewie na pewno *to* też jest, w tej wodzie odbija się na dnie, w tej chwili przepływa przez ciebie i gdzieś poza tobą gaśnie – by zaraz rozświetliła cię strata. *To*, czyli dusza, której bliżej do Arystotelesa, z jego konceptem uwięzionego w niej ciała, niż do natchnienia Lurii, wskazującego na motyw winy i niedoskonałości. A oszołomienie – Tomasz śmiał z tej konstatacji – i tak przychodziło na zmysły zazwyczaj z uroku skrawka materii. Błękitna sukienka. Z dekoltem. Jak motyl.

Na takich kobietach mężczyźni przez całe życie ćwiczą się w niecierpliwym szaleństwie. Dlatego – Tomasz poskrobał się w głowę i zaczął pisać dalej – skoro ich rola w uczuciu jest właśnie taka, zdarza się im usłyszeć przytoczoną bez cynizmu opinię:

– Wszystko, co robisz ze mną, szczególnie w natchnionym seksie, rób zawsze dwa razy wolniej, tak będzie i dłużej, i lepiej. – Nieważne, że to żartobliwe, powiedziane bez specjalnej okazji. Tomasz lubił i takie wspomnienia. Kiedy wracał ze spotkania z Dagmarą przypominało mu się, jak drażniła ją jego ironia.

– Złego słowa nie powiem nigdy na tak zwaną prasę kobiecą – przekomarzał się z jej gazetowym feminizmem. – Bo, na przykład, gdyby nie takie *Cosmo*, to do dzisiaj wiele pań nie umiało by zrobić laski bezboleśnie i bezpruderyjnie. Że kosmetyków nie wspomnę. I zapomnę o liczeniu kalorii.

– To nie *fair*.

– Wiem dobrze. Masz rację: nie *fair*. To jest *very sophisticated*. Kobieco. Powinno ci się podobać.

Animusem można drażnić animę na tysiące wymyślnych sposobów – ale o tym Dagmara wiedziała, więc wolała inne formy dialogu.

To mogło być zamiast rozmowy o pracy i jej konsekwencjach. Tamto nudne, o tamtym się milczy. Rachunki przechodzą przez głowę, pustosząc ją maksymalnie. A wraz z rachunkami dokładny, parszywy i niekontrolowany obieg wszystkiego, co warte, by to pospiesznie ukraść albo nawet, by dla tego zabić. O tym stałe rubryki w czasopismach, duże zdjęcia, zapłakane twarze, obcy smutek nie do opanowania, obca rozpacz nie do zapamiętania. Że kobieta w ciąży, świadoma, nie poroni nad stronami gazety, gdzie jest o pedofilii, narkomanii i wielu głupawych śmierciach – to jest cud niesłychanie powszedni. Że udaje się jej przy kolacji przeżyć, kiedy spiker opowiada jak światu minął kolejny dzień od stworzenia lub gdy nadaje przed snem jeszcze późniejszy, wieczorny serwis informacyjny w telewizji – to coś więcej, to już jest nienormalne. W takim razie spójrzmy w oczy tej pani, która lekko pcha wózek ze śpiącym, ciastowatym i lśniącem bobasem, zapytajmy, co dotarło dziś do niej. Niech opowie, jak sobie z tym radzi. Nic, co ludzkie, nie potrafi być czyste. Dla załagodzenia tylko myśl każdego wraca do wczesnego momentu, gdzie obraz może nagle wyglądać, jak tutaj. Matka budzi się wyzbyta siły, niską ławę przyozdabia butelka, prosi „nalej”, ale dziecko wychodzi, będzie w szkole dziś recytować wiersz. Gęsia skórka od biegu przez cienie i dopiero na słońcu spokojniej. A w jej myślach też cierpko, jej ojciec, spacer wokół budynku, powolny. Dalej iść już nie można, a zatem niech będą, niech zostaną na przecięciu te myśli. Niech się przetną te obrazy w locie: jedno dziecko i drugie – samotne.

Jak dobrze odczuwa ten żywioł niepozbawiony swoistego ładu, kto zabrać się musi za pamięć, gdy nie ma pod ręką pamiątek, a są przy nim wciąż i do końca jedynie te wredne zagadki. Miłość i ekskrementy – oto i cała prawda o ludziach i ich zachowaniu.

Tomasz podziwiał w Dagmarze jej biegłość w kuglarskich sztuczkach i zręczność w ucieczce od uczuć. Jednak był też sceptyczny jak rzadko i nie dawał się przyzwyczaić do smutku. Być może ratował go dystans, który to ona stwarzała.

ROZDZIAŁ IX

Znajdowane między kolekcjami, stronami wykładów, w traktatach – obce notatki o duszy, jej pozach i zwyrodnieniu...

„Pełne skreśleń, jakby ten, kto je pisał, nie był do końca pewien i ostatecznie zgadzał się tylko na to, że nie osiągnie upragnionego efektu. Pełne uwag na marginesach albo wrzuconych pomiędzy dwa proste zdania – takie kartki znajdowali kolejno: pani doktor – wśród notatek z wykładu, kolekcjoner – w starodrukach i traktatach odnajdywanych i kupowanych na aukcji, mężczyźni – w ulubionych oślizłych gazetach. Zawsze ta sama czcionka, krótki tytuł i kilkadziesiąt linijek nie od razu dla wszystkich zrozumiałych. Czasem cytaty wplątany w fabułę, czasem widać, że precyzyjny kolaż. Na jednej z aukcji ktoś rozpuścił plotkę, że autorem jest na pewno diabeł. Trochę śmiechu było przy tej okazji. Kiedy indziej zapowiadano Księgę, jakby z niej ponoć kartki przetrwały – te właśnie. Był również jeden ezoterysta skłonny przypisać matowym zapiskom moc wielkomagiczną. Także rozum zaznaje upadków, wyczerpany bogactwami jawy, przytłoczony wszechświatami nocy, kiedy krew wsącza się w biel poduszki, ciekąc po palcach miłości niczym śluz prosto z pochwy po udach. W lato torsów wystawionych na wabia. Dochodziły niekiedy słuchy, że bywały i zdania nieskładne, odklejone od innych i szyte ciemnym ścięciem obłądu, wskroś ciszy. Tak było i nikt nie panował nad tym. Kiedy jednak ten i ów dostrzegł pieczęć, szczątki laku skruszone i zblakłe, zaprzestano rozpowiadać o tym. A gdy ten, co najwytrwalej węszył, stracił oczy w absurdalnym wypadku, przez głów kilka przemknęła myśl prosta i nie wracał już nikt do tych kwestii. Ale plotka nie przestała krążyć, wciąż jątrzyła niektóre umysły. Jakby komuś zależało na tym,

żeby jednak myślano w ten sposób. Tajemnica zapadała się w otchłań ciekawości i nie mogła się z niej wydostać. Ale komu zależało na kłamstwie? Kto był tajnym sponsorem fałszerstwa? Także autor niniejszej ulotki przyznaje, że nie wie i że nie chce wdawać się w rozważania jałowe. O nich w tekstach autorów pośrednio zamieszanych w wywiadowczą działalność, w manuskryptach nadpalonych na rogach, w palimpsestach do końca niejasnych. Tu, na jednej z niepozornych kartek, zapis jakby wyciągnięty wprost z piekła. Najpierw o tym, że przypisano go autorowi słownika o zaginionym pleminiu. Później o tym, że to jedyny tekst filozofującego markiza, w którym był on o krok od liryzmu. W końcu dialog poświęcony natchnieniu:

– Czyżby piekło było bliżej człowieka, niż myślisz?

– Ale powiedz, czy też nosisz je w sobie? Czy nie daje ci w nocy odetchnąć?

– To dla ciebie też koniec, więc ciesz się. Od tej pory będziesz musiał iść dalej beze mnie. Moje imię zapomnisz.

– Nie ustalono definitywnie autorstwa.”

Tomasz skończył czytać ulotkę znalezioną w skrzynce. Popatrzył na swoje notatki, jeszcze raz rzucił okiem na tekst...

ROZDZIAŁ X

„Płodzić w pięknie” to wyniszczać się – o tym Platon zapomniał napisać...

Pewnym stanom nie należy odbierać chorobliwej i złowrogiej aury. Pozbawione szaleńczych bogactw nastroje nie ulecą się nagle, będą tylko jak wyzbyte soków, jak sterylne i martwe narzędzia. Tak to widzi antropologia: nie odbiera się miłości tego, co w niej gnębi i niszczy, choroby, gdyż zostaną z niej same osłabłe, napędzane jałowym powiewem czegoś na wzór okrucieństwa, okruchy porażonej natury. Rzeczy nie są inne niż się wydają, ale nie są też takie same. Tomasz nie zapominał, że nic nie zostało przez niego w tym czasie wymyślone, bo wszystko odnalazł w przeszłości. Niczego – mówił – nie stworzyłem, a tylko odkryłem na dalekich planach. Na planie dzieciństwa, w źle pamiętanej młodości. Także ty jesteś stamtąd – dodawał – patrząc w oczy siedzącej naprzeciw, zamyślonej i nieobecnej Dagmary. Kryje się za tym – mówił także – historia jakiegoś uczucia, ale czy my o tym wiemy? Śmierć kryje się w życiu niczym ciało w duszy... Ale to inny wątek tego samego znaleziska.

– Przekraczamy granice – szeptała Dagmara do siebie – kuszeni tym, co bezkresne, po to jedynie, by natknąć się na kolejną granicę, a rezultatem jest wyłącznie ból.

– A więc co nas kusi?

– Sen.

– Tylko sen?

Odpowiedź nie może trafić do tego, kto zadał pytanie. Odpowiedź nie trafia nigdy, bo pytającego już nie ma. Był w chwili pytania, to prawda, ale ta chwila minęła i teraz kto inny w niewiedzy oczekuje na nic. Zatem patrzmy na wydobywający się z tła wdzięczny uśmiech Tomasza, którego dręczyły we śnie mary i odrażająca wręcz rozkosz. Jak mówiła niebieskooka Irena, bo-

haterka francuskiego filmu, są takie rzeczy nieblahe, dotyczące kobiecego świata, które zrozumieć może jedynie druga kobieta. Ludzie-koty, to o nich ten film. Mężczyzna prawie nigdy nie może mówić na temat kobiety, też prawda, ponieważ ona znajduje się tam, gdzie zaczyna się jego własna ciemność. Stale część naszej jaźni jest po stronie bezmiernej i wrogiej, tym łączy nas z sobą i czasem niezdojta wciąż rzeczywistość. Tak możemy uzyskać zaprzeczenie dla wszelkich solipsystycznych teorii. Resztę z nich porozrywa miłość, dajmy jej trochę czasu – notował Tomasz to, o czym wcześniej rozmawiał z Dagmarą.

– Czasami ufam ci bardziej niż sobie – mówiła i to był komplement, tyle że nie cieszył. Tomasz milczał i patrzył, a potem próbował tłumaczyć:

– A ja mogę na to wyłącznie odpowiedzieć przypomnieniem dialogu: *Dlaczego nie nosisz butów?* – *Nie ufam butom.* – *Dlaczego nie posiadasz konia?* – *Bo jemu też nie zaufałbym nigdy.**

Patrzemy – zanotował już po tej rozmowie – patrzemy jak stoją obłoki, jak łzy płyną w głębi, jak nagle objawia się coś poza smutkiem. Nie widzą nas przy tym ludzie, nie słyszą. Patrzemy na siebie, jakbyśmy stali z boku i słuchali obcych, którzy mówią:

– Niekiedy jestem wymarły, opustoszały i bierny, i właśnie wtedy najczęściej mam sporo złowrogich przeczuc, przebić przez skórę myśli – głębokich, takich, które trzeba odczuć. Obrazy, jakie wychodzą z tej niedomkniętej szczeliny, nie dają się zamknąć w system.

– Pięknie wyglądasz, tak leżąc.

Otwieram cię tym, jak ostrygę.

– Przy tobie jest mi tak dobrze, przy tobie naprawdę jestem.

Mieć kilka iluzji w zanadrzu, zbawiennych i pocieszających, to czasem przyjemne i miłe.

Dagmara przymykała oczy, Tomasz otulał ją kurtką – nie mogli już łudzić się bardziej. Znużenie dopadało oboje. Jak zwierzę wylęgłe ze zmięzchu. Przegryzało tętnice i piło. Odchodziło i wracało za moment.

* Klaus Kinski w filmie Wernera Herzoga *Cobra Verde*.

- Nie wiem, po co dzwonię. Będę u ciebie po pracy.
- Bądź – rzucił Tomasz – czekam.

Godzina minęła niespodziewanie szybko. Może wtedy zaistniała w Tomaszu potrzeba, by powiedzieć otwarcie:

- Cztery lata, kochanie, nie więcej, potem sama ocenisz, zobaczysz. Zrobisz, co zechcesz, jak zawsze. Ja poczekam, bo wiem, co się zdarzy – miał przed oczami ich przyszłość. Nie wątpił, że będą ze sobą i zgadzał się jeszcze poczekać.

Te rozważania na marginesie spraw codziennych – notował ze smutkiem Tomasz – jak to zazwyczaj bywa z tym, co nie do końca utracone w czasie, nie mogły być przez Dagmarę traktowane poważnie. Próbował jej wytłumaczyć, jak to jest z ewolucją:

- Rośliny także oddychają całą powierzchnią, więc dlaczego nie porównujemy się do nich – chyba że w ciężkiej chorobie, gdy dopadnie nas wewnętrzna duszność. Duch człowieczy jest więc duchem zwierzęcym, to prawda, ale gdzie są dowody, gdzie teksty? Chcesz tekstów, dowodów, przykładów? Niech będzie. Niektóre gatunki rozwiązały ten problem w ten sposób, że ich samce wchodzą całkiem w samice, lokują się między tkankami i wiodą pasożytniczy tryb życia. U pąkli z rodzaju *Trypetesa*, zagnieżdżających się w muszlach mięczaków, małe samce to już tylko gonady, umieszczone w samicach na stałe.

- Muszę ci wierzyć? – uśmiechnęła się niewyraźnie.
- Nie musisz. Możesz o tym nie myśleć.

Jeszcze straszliwszy przykład zwyrodnienia natury samczej, zapisał już po spotkaniu, to gatunek szcztetnicy z morskiego, niewielkiego typu *Bonellia*. Tu samiec po wnikięciu do środka samicy ożywia się i zaczyna wędrówkę jelitem, aż w końcu zajmuje pozycję najlepszą, przy jajowodach – i tam trwa, aż umrze, będąc do tego czasu dawcą. Plemników, niczego więcej. Zwycięstwo w tym ekosystemie odnosi nie wojowniczość, lecz trwanie i zręczna czepliwość, na którą czekają samice. Czy jest w ewolucji postęp, czy może cofamy się chyłkiem?

W trakcie tamtego spotkania Dagmara spytała także:

- A potem? Tomasz, co będzie potem?
- Potem spytam – odpowiedział – czym jest dla ciebie miłość?
- To dawanie sobie wciąż bezpieczeństwa. A poza tym...
- Co poza tym?
- Miłość dla mnie jest zawsze bez sztuczek.

Trochę więcej niż trzydzieści lat – Tomasz patrzył na ruchy Dagmary i myślał. – Ile przed nią otwartych przestworzy, ile spojrzeń w jej oczy i dekolt. A w jej kroczu niespożyta energia, którą musi hamować i dusić. To dlatego woli czasem być sama, kłaść się wolno na rozgrzanej narzucie, tulić w udach jej szorstkość, do bólu. Aż pieczenie przywróci ją światu. To dlatego czasem dotknie przedmiotu, jakby miała go zaraz pochłoniąć. Obserwacje są wręcz drobniawcze, czynione z ukrycia, latami. Mógłbym o tych manipulacjach, o fałszywkach, mógłbym o nich bez końca, lecz po co? Każdy wierzy w to tylko, co stworzy. Lub – co znajdzie w pamięci, jak ducha. Mógłbym o tym. Ale przecież nie tutaj.

Kawałki duszy – Tomasz znowu usłyszał ten nieznamy głos – pochodzą być może z ciała i trzeba je stamtąd wyciągać, jak szkło spośród mięsa i krwi.

– Mów o sobie, jak znosiłeś te dni? – usłyszał.

– Byłem o krok, niedaleko – odpowiedział w myślach. – Byłem na innych warunkach. Spotykałem się z nieistniejącym, zapadałem się we wszechobecne... Więcej o tym? Nie wiem, czy można powiedzieć coś więcej? Zaszedłem naprawdę daleko w nieufności do samego siebie.

Stan odrętwienia, w jaki popadł Tomasz, przypominał narcozę, z jej ignorowaniem bólu i wyczuleniem na stany dalekie od zwyczajności: ukłucia, nacięcia, zranienia, tyle że bezbolesne. Tomasz kojarzył, słyszał i mówił, odpowiadał na zadane pytania, tyle że nie miał pojęcia, z kim rozmawia i dlaczego tak.

– Deklamujesz, nie trafiając w sedno. Oszczędzasz tamtego siebie.

– A kto by się nie oszczędzał?

– To ty, kiedy zacząłeś pisać, powiesiłeś nad biurkiem kartkę: „Tu się nie oszukuje”.

– Czasem myślę, że Mefistofeles był po prostu bardzo piękną kobietą.

– Nie zmieniaj tematu, mój Fauście.

– Nie zmieniam. Mnożę słowa i zdania, łączę przeszłość i przyszłość. Wiesz dobrze.

– To cię także nie usprawiedliwia.

– Pamiętam. Jak i o tym, że nie będzie inaczej. Kim jesteś? Pajakiem? Kimś innym?

– Nie dopytuj się. Może kiedyś się dowiesz.

– A ty nie myl mnie więcej z Faustem. Skojarzenia mogą być nieprzydatne, kiedy stawką jest coś więcej niż symbol. – Szepty, głosy, szepty. Obce słowa, zdania.

Deklamować o wiecznej miłości – zanotował po tym dziwnym zdarzeniu – i w trakcie deklamacji słyszeć własną przesadę, ponieważ jest tylko ta ludzka – biedna i straszna – miłość. Za którą odpowiada diabeł – wyklęty rozzwieracz, rozczepiacz. Także to może być rekonstrukcją, niczym więcej, choć stać nas na dużo w fantazjach. Połączyć historię prywatną z obrazem powszechnego szaleństwa, to artyzm albo błaha sztuczka. Czytelnicy ocenią to sami według własnych psychicznych uzdolnień. Każdy czyta o sobie i sobie.

– I ja też ci życzę, abyś nie był przeklęty. Jednak wybierać musisz wedle własnego uznania.

– Po tym rozpoznajemy się wszędzie. – Tamte głosy, szepty.

A Dagmara dławi się, dławi, wpycha głębiej to swoje rozdarcie, niepodobne do rozdarcia Tomasza, gdy odczuwa je w każdej komórce. Już chce krzyknąć – i dlatego gaśnie, milknie nagle, naumyślnie, znika. Jeszcze przed nią balkonowa scena, a jej pamięć nie uwalnia się łatwo, więc gdy stworzy przez przypadek nastrój, nie jest taka, jak chciałaby wyglądać. Zaraz pójdzie, spojrzy w lustro z uwagą i językiem przemknie szybko po ustach. Trochę szminki, trochę pudru i różu, jeszcze kreski i pośpiech, znów pośpiech. Całe życie w nieznośnym napięciu, bieg przez miłość, przez jawę i noc. Tak bez końca, do emerytury.

Wrażenie Dagmary, jej pewność, że było już dosyć na temat ekstrawagancji i czas już na psyche mężczyzny, zbadanie jej i diagnozę. Wrażenie i natychmiastowe przejście w dziedzinę pragnienia: rozpruć misia i obejrzyć trociny, zdewastować i podziwiać ruiny, zadomowić się w głowie mężczyzny i móc stamtąd obserwować siebie. Wedle nowej i modnej praktyki: „miłość, zabawa i ja”. Po namyśle nad jego uśmiechem, niebezpiecznym i zachęcającym. Nawet dobrze jej z tym, co Tomasz przyznawał, niczym widz bezstronny i nadzwyczaj uważny, nawet z gustem wybrała dla siebie ten styl młodzieżowy, dwuznaczny. Z elementami tradycji, z szacunkiem dla tego, co przeszłe i powracające cyklicznie, jak muzyka i moda sprzed lat. A że Tomasz cierpi? Oboje zgodzili się na to. I to, że on źle z tym wygląda, nie jest dla niej duchową pożywką.

– Nadużywam cię – przyznała. Wyłącznie raz.

– Nadużywaj – on zakończył rozmowę.

Wyobraźmy sobie natychmiast – zanotował – co to mogło dla niej wtedy znaczyć. Nawet Owidiusz w początkach swoich *Metamorfóz* nie mówi o tym zjawisku. Tylko tyle, że bogowie wstępują na Drogę Mleczną, zmierzając oczywiście gdzie indziej, na olimpijskie wyżyny, do komnat z potężnych obłoków.

Z głową pełną lodowatej krwi Tomasz zapominał o swoim stanie. Grzęznąć nie po raz pierwszy w niepowściągliwej myśli, że zamieniłby każdą taką rozmowę w żalną komedię i że kiedyś na pewno to zrobi. Ale popełnił błąd w kalkulacjach. Liczył, że wiele odzyska i wyznania wróć z dotykem.

– Co ci jest? – zapytała ukradkiem.

– To naprawdę nieważne, kochanie.

Kręte ścieżki – zanotował z przykrością – moje ścieżki dla tym szybszej ucieczki przed niesmakiem i pragnieniem wchłonięcia. Męska duma, niechęć do rezygnacji. Mówię więcej niż chciałbym, ale już wolę nie milczeć. Drobnym portret nienasyconego, jego przyzwyczajen i zdradliwych spojrzeń. Tak rzucała się we mnie część ciemna, strona ostra i jak ogień paląca. Z głębi ziemi dobywały się wrzaski, które we mnie miały nocą echo. Prze-

chodziłeś kiedyś cały przez czyściec? Wydobywać się z grobu co rano, wchodzić w miłość, by zapadać się bardziej. Przechodziłeś kiedyś nocą przez piekło?

– Jesteś jak nieskończoność – notatki robione w pamięci – i dlatego zmuszasz mnie do tworzenia. Ale grozisz mi także otchłanią – i dlatego czasem pragnę cię zniszczyć.

Zanim ona pozna siebie w tej roli – niespodzianka za niespodzianką. Z defensywy i w miłosnej kontrze, od stuleci, tysiącleci tak samo. Przekupstwo, składanie podarków, może książka o rozwoju wewnętrznym, może drobiazg do ozdoby salonu. Czasem list zanoszony do pracy, oddawany urokliwej portierce. W liście furia sprowadzona do żartów. Naturalnie, że nie każdy to wiedział. Nie obyło się bez komplikacji. Nie pomogły talizmany i wróżby. Dokonywać się miała przemiana. Przejście kręgu, zanurzenie się głębiej. Wraz ze światem, który ciążył ku wojnie. Inny wątek, równie przykry, wrześnieowy.

II

...ale potem zmuszeni byli mówić językiem niepewnym

*zbitki słów choroby? zbitki pajków?
bo jak pajęczywość to muszą wyjść pająki*

*i my, kiedyś tam. w jakiejś nocy. jakby nedorzecznie
włożeni. na przeciwko.*

Bartłomiej Majzel

ROZDZIAŁ XI

Każdy poznaje szczątki, żywi się fragmentami...

Poprosiła, żeby dbał o jej grób, kiedy umrze. (Długo nie chciała powiedzieć, przeczuwając groteskowość tej prośby.) On chciał, by zapamiętała dobrze, że może prosić, o co tylko zechce. (On także był śmieszny w tej chwili.) Kolejna odpowiedź *I Cing* doskonale z tym harmonizowała. Heksagram ósmy pouczał o trzymaniu się razem. *Trzymanie się razem jest czymś radosnym, oznacza wzajemną pomoc, a niżsi są poddani i posłuszni wyższym.* Do tego jak zwykle dodatek: *Zbadaj wyrocznie jeszcze raz, czy twoim jest dostojęństwo, pewność i wytrwałość.* Trzy grosze leżały na biurku przy książce, zeszyście, ołówku. Ze zdjęcia na ścianie spoglądała na Tomasza twarz pisarza, który nie oszukiwał. Thomas Bernhard w wiedeńskiej kawiarni – tyle głosił podpis na pocztówce. W luźnym związku z pocztówką Tomasz pomyślał, że jeśli prawdą jest także, że zmarnowane życie bywa udziałem każdego, to powstaje pytanie, czemu na twarzach ludzi starych i doświadczonych nie ma wyrazu obłędu, masakry i rozćwiartowania? Skąd ten głęboki spokój? Czemu ci ludzie nie mają ust wykrzywionych jak po zgnieceniu, półżywych? Gdzie jest Grünewald, ich malarz, który pokazałby im, jak wyglądają naprawdę? Jedyną oczywistością jest to, że umarli gniją. Tyle tych jadów w ciele, tyle tych czystych toksyn. Stąd racja po stronie Heraklita, bo trupy należy wyrzucać szybciej niż gnój. Każdy dzień kończy się tak czy tak na wariackiej szamotaninie z natchnieniem, na tworzeniu ikony tak wzniosłej, że jeśli tylko zechcesz wczuć się w to dzieło, ono wzbije się z tobą w przestworza...

Zadzwoił telefon. Dagmara. Po rozmowie zanotował dla siebie:

– Masz głos, jakbyś wyszedł z wody...

– Mam głos, jakbym przeszedł przez raj. A raj jest jak morze łagodne, przyjmujące z pokorą, bez różnic, to wszystko, co mu zechcesz dać – w odpowiedzi chciał być tak dokładny, by zobaczyć tę scenę. – Jednak wolę, kiedy ty mówisz nie o mnie.

– *Néti néti** radosne? – zażartowała.

– *Néti néti* ponure i gorzkie.

Tylko dzisiaj i w cywilizacji zachodniej można poddać ocenie stan pustki, stan nie tego w zjednoczeniu z nie tamtym. Ale też tylko tutaj pewne jest, że zapomnieć mogą jedynie wybrańcy, którzy już pili z Lety. Kto jeszcze do otchłani nie dotarł, jest skazany, by pamiętać i cierpieć. Nie każda rana kończy się w takich warunkach litością. Zostawmy ją – prosił Tomasz – jak dokument sturturerowanej wyobraźni.

W tym drugim (partnerze, partnerce) objawia się nam – zanotował – to najbardziej dojmujące i straszliwe kalectwo naszej duszy – i nikogo więcej. Kogo kochasz albo twierdzisz, że kochasz, ten jest tylko widzialnym aspektem twojej własnej ułomności wewnętrznej. Stąd pragnienie wypełnienia tej jamy, zasklepienia niewidzialnej wyrwy. Reszta to wyłącznie ciągi bezsensownych i przypadkowych upokorzeń. Dni liche. W tamtym czasie wchodziłem do domów, obserwowałem i przyjaciół, i życie. Nie nauczyłem się trwać w jednym miejscu. Takie mogło być czyjokolwiek istnienie. Próbowałem i nie udało się – wielu mogłoby tak o sobie powiedzieć. Żadnej myśli na tyle kolczastej, żeby dało się o nią zahaczyć i pisanie i rzeczywistość. Przeżywane jak wstrząs i rozdarcie.

Także literatura ma swoich Caravaggiów, popełniających w natchnieniu błąd za błędem** i błędem kończących, aż powsta-

* *Néti néti* – w tradycji buddyjskiej: „nie to i nie tamto”; tutaj: sposób ujmowania tego, co niewyraźalne.

** O Caravagiu znawcy malarstwa powiadają, że piękno jego arcydzieł wzięło się z sumy błędów, jakie popełnił, malując. *Błąd za błędem* to jeden ze sposobów pracy nad oświeceniem w buddyzmie. Według Shunryu Suzu-

nie arcydzieło gatunku i ktoś znajdzie w nim przyszłość dla siebie. Suma błędów malarskich, gramatyczne pomyłki w pisaniu, dają efekt w postaci nowego, które można przyswoić lub zganić. Błąd za błędem to technika wschodnia, wedle której doskonałość to także nieustanne mylenie się w słowach, raz za razem, konsekwentnie, do końca. Spokój spływa na wytrwale błędzących, odkąd wiedzą, że w tym też jest i tao, i zen. Błąd za błędem A w pomyłce – szczęśliwa pomyłka – zanotował Tomasz i wtedy odezwał się pajak:

– Kiedy tak mówisz, wprowadzasz przymus dla samego siebie?

– Chcę odnaleźć małe niebo – odpowiedział w myślach Tomasz – blisko świetlistych włókien kwiatu lotosu, za którym nie czai się czysty mrok.

Potem notował dalej. To nie jest naprędce konstruowany schemat – notował – to raczej coś z pogranicza. Cisza na małej przestrzeni. Dążenie do wygaszenia pragnień. Teoretycznie idzie o to i nikt nie dostrzega nic więcej. Pospiesznie tworzone warunki dla samorealizacji to właśnie jest rola przymusów. Wprowadza się ciężkie rygory, przechodzi na stronę porządku, w niewielkim wymiarze odmienia i dobro i całe zło. Mistrzowie znajdują się szybko, im bardziej fałszywi, tym szybciej. Dagmara знаła ich dobrze, szydziła głośno z ich nauk. Na przykład, kiedy jechała na swoją psychoterapię:

– Wychwalali przede mną cierpienie, wyjaśniali, że jest nagromadzoną radością. Zapewniali, że wkrótce odczuję, że to tylko tęsknota i ból tak mnie drażnią i że nie będzie w tym dla mnie pociechy, a jednak uleczy mnie to. Co za mętlik. Powiedziałam, że nie wierzę w nic, a już najmniej w te ich głupie teorie. Każdą jedną zżera pewnie choroba, rodzaj trądu dla fałszywych idei. Źle się czuję. Masz tabletkę albo coś na ból głowy? To poproszę.

Szlachetne mądrości płodzą najkoszmarniejsze szaleństwa. Śmiech można wtedy nazwać rodzajem zgubnej tęsknoty, a płacz to nienaturalne w formie, lecz zgodne z tą logiką marzenie. Tomasz, kiedy patrzył tak na nią, gdy już wyszła od terapeutki,

kiego, autora *Umystu zen, umystu początkującego*, technika popełniania w życiu błędów za błędem też może prowadzić do oświecenia.

miał jeszcze i to do stwierdzenia, że jest piękna i że takiej jej pragnie. Żeby jednak nie wyjść na, jak mówiła, „rozgotowany makaron”, powiedział z dziecięcą bez troską:

– Ilekroć spostrzegam kobietę, mam szczerą ochotę zakrzyknąć: „Jakie to funkcjonalne!” i „Cóż za porażająca praktyczność!”.

– Nie bądź bęcwał, chociaż ty, tak cię proszę – z jakim można to powiedzieć urokiem nikt nie wiedział tego lepiej od niej. – Dzisiaj znowu było w kółko to samo. Moja matka, mój ojciec, mój facet. Moje nerwy ledwo to wytrzymują. Chyba dam sobie spokój z terapią.

A jednak chodziła tam dalej. Bez ambicji, że odkryje przyczynę i pozbędzie się źródła choroby. Chodziła też trochę dla mody. Ale o tym nie rozmawiali. Przenicować ludzkie myśli, dobrać się do ich przegniłego wnętrza, ukazać je i uwiecznić z całym przepychem rozkładu – o tym również mógł myśleć Tomasz, kiedy czekał na nią na ulicy. W dzielnicy, gdzie co kilka minut obce auto stawało tuż przy nim i widział, że jest wyłącznie obiektem – taksowanym nachalnie, z rozmysłem. Stare kurwy krążyły w pobliżu. Bez majątek, z pomarszczonymi udami. Zaczynał już czuć i już widzieć, co one dla niego mają. Odrazę, ciekawość, przemoc.

Mgła trzymała się dolin, dzielnic – mówił Tomasz – jak platynowej spermy i silikonowych marzeń. Mgle towarzyszył grzech, stary wąż, zdolny trzymać się tego, co najniższe, tego co depresyjne w umyśle, a jeśli chodzi o miasto – nabrzeży. Samotne spełnienie, nawet obserwowane przez kogoś, to jak śmiertelny kryzys, otarcie się o granicę. Jeżeli widzimy – pomyślał Tomasz – miłość jako ucieczkę przed śmiercią, nie wolno nam przecież zapomnieć, że jest to po prostu środek, jedyny i niedoskonały, by doświadczyć małej cierpkiej śmierci – w umyśle.

– Tyle już sobie zawdzięczamy. – Konkluzja o niewymiernej wartości, zresztą niedokończona. Oto Dagmara sięga ręką niżej, wkłada dłoń w szybko rozpięte spodnie i patrzy w oczy siedzącego obok niej Tomasza. Za szybą auta nie widać nikogo, o tej porze ulica na rubieżach miasta może być wyłącznym świadkiem,

tylko ona i skupiony na współodczuwaniu mężczyzna, chwilowo ze spierzchniętymi wargami. Zastygły w pragnieniu przejścia na inne poziomy percepcji, tak, żeby móc być w tym miejscu, skąd wyczuł drastycznie jej zapach. Jak krew na powierzchni dotychczas nieużywanej rzeczy. I trzeba mu tego spojrzenia, w którym wyczyta jej prawdę. Bo ona mu tego nie powie:

– Poczucie wzajemnej wdzięczności nie może być niczym wielkim, szczególnie to po udanym, spełnionym byciu miłosnym. Nie trzeba wcale dociekać, co znaczy w ogóle ta wdzięczność i jakże dalece jest szczerą, prawdziwą i wyjątkową. Wystarczy zatrzymać się tutaj, gdzie zatrzymuje się uśmiech. Gdzie słowo być może pada, lecz niekoniecznie poufne.

Bywała w tym koronkowa, bywała zachwycająca. Tomasz już przywykł do myśli, że robiła to jedynie dla siebie. Już pojął, że jego w tym nie ma i każde kolejne spotkanie, na którym ona się pieści, jest arią samotnej kobiety. Być może jej zemstą na obu. Być może jej zemstą na jednym. Miłość na pewno swobodnie dorówna w tej scenie śmierci. Jej wykonanie jest bliskie wręcz artystycznej perfekcji. Wirtuozerski onanizm na oczach poruszonego mężczyzny, patrzenie w atropinowe, rozlane pragnieniem źrenice. Do *plateau* w boucherowskiej pozie. I gubię się – zanotował w nocy – gdy mam to opowiadać robakom toczącym w przyszłości ciała wytrwałych kochanków. To wtedy – zanotował jeszcze – mężczyzna zapłakał po raz pierwszy do wewnątrz, chociaż sam o tym jeszcze nie wiedział, bo chwila ta wydawała się piękna. Tu też był zdecydowanie najbliższej uczucia romantycznego, dlatego pragnął – w żartach – ust jednym dla wszystkich wspaniałych kobiet – bo tak mógłby je pocałować za jednym zamachem wszystkie. Dawał w to miejsce całego ducha i całą gorączkę, o jakiej nigdy nie mógł marzyć, będąc dalekim od takich wzlotów. Lub może – uściślił – za blisko. Ale gdzie była ona, niesyta i niedosiężna? Czy rozpłomieniała się jeszcze, dręcząc skamieniałego?

– Opowiedz mi o zwierzętach. – Jej głos wraca cicho, z podziemi.

– Najbardziej elegancką i unikatową choreografię, towarzyszącą kontaktom płciowym, obserwujemy u przedsiębiorczych i wyrafinowanych ważek. Także jętki mogą budzić podziw naturalnie doskonałą techniką, dzięki której połączona para rusza się

pod dyktando samca. – Zbyt zmęczona już była, żeby słuchać uważnie, wyczerpana i zasypiająca, z powiekami przymkniętymi na chwilę. Z głową na jego kolanach, ciepłą wilgocią na palcach.

Jeszcze jedno takie obce miejsce, rozprażone niemiłosiernie, wypalone bezlitosnym o tej porze słońcem, zostawione jak ślad w ziemi od ciała szamocącej się pod gwałcicielem kobiety, jak ciemna pręga na szybie, w którą ptak bił ostrym dziobem, jeszcze jedno z tych miejsc, które pamięć naznaczyła i na zawsze przekłęta.

– Opuszczają cię mężczyźni, kochana – powiedział któregoś dnia Tomasz. – Ci tak zwani prawdziwi. Pozostają tylko faceci, nadający się raczej na żony.

– To nieprawda i on nie jest „żoną”. Nie masz prawa tak mówić. Nic nie wiesz.

– Wydelikacyny, supernowoczesny mężczyzna? Czy naprawdę warto zostać dzisiaj kimś takim?

W takich chwilach – zastanawiał się później – ważne jest doświadczenie. Ile razy zobaczyłeś to sam, ile razy byłeś przy tym i mogłeś dotknąć, poczuć i usłyszeć, jak krew draży kanał w zamierającej aorticie, i jak przebija się do niewiadomego. Z ciemności w jasność, przez ciemność. Z ciemności przestronnych, a mimo to klaustrofobicznych, na przykład z ciemności sądowych korytarzy, w jasność, może nawet i trochę ograniczoną, a jednak w jasność – nie depresyjną, miękką – tak przecież każdemu potrzebną. Czego chcesz od niej więcej? – to pytanie padło nieraz w myślach – przecież masz ją niemalże w całości. Chodziło mu o to „niemalże”. Bo jasność nie była dla niego. Dla niewyćwiczonych w ubóstwie byłoby to nie do zniesienia. Miał już wtedy jednak inne plany.

– Gdyby nie to, że pogłębiam wiedzę i zaznaję oto uroków czyścica, chciałbym przedstawić ci bez estetyzmu, czym jest to, o czym boisz się nawet słuchać. Oto miłość, która może wykończyć...

– Już to miałam, dziękuję. Wystarczy. – Dreszcz płomienny od stóp do głów może przeszyć. Płonący w tyle głowy jak żagiew.

Jak drut, który topi się wolno i tysiącem stopni Celsjusza przecieka w głąb serca, do pajęczych nitek duszy tkanej przy współudziale Nemezis. Trochę później Tomasz zrelacjonował to zajście, dodając niezliczone dowody na poparcie wielce praktycznej teorii. Może uda się takim sposobem zaspokoić wymagania współczesne i dołożyć coś do złej psychologii, która robi dziś z ludzi kadłubki.

– Uzdrowiłyby cię medytacje, chociaż twierdzisz, że nie jesteś chory.

– Wolę patrzeć na miasto, tę narośl. Medytacją może być także pisanie. Ludzkie ciało to drogocenny pojazd, o czym dawno wiedziano na Wschodzie. Ale kto mógł przypuścić, że kiedyś ciała kobiet najpiękniejszych w kanonie będą znane firmom ubezpieczeniowym, które płacą za nos i za łydkę. Droгоценność ma różne wymiary. Ten dzisiejszy nie wygląda poważnie dla tych, co nie widzą tragedii w kształcie palca lub wielkości pośladków. Żadna chwila nie posiada podstawy, a każdy akt w oderwaniu – jest niczym. Dlatego w cierpieniu istnieją trzy sposoby, by wyzwolić się trwale: brama pustki, brama braku właściwości i – dla nas – brama braku ślubowań. Sieć karmicznych, parszywych powiązań, to nas trzyma. Stosują się do niej pojęcia istnienia i nieistnienia. Czasem ktoś, jak my teraz, znajdzie się poza nimi. Ale o tym na wykładzie z fizyki. Na wykładzie z nieporuszonych zmysłów. Z pięciu strun widzialnych i jednej, której czasem można w sobie doświadczyć.

ROZDZIAŁ XII

Czuwający mają świat wspólny, śpiący są odwrócenii do swoich światów osobnych...

Mistrz Szeng-jen powiedział: „Spaczone poglądy to cztery poglądy postawione na głowie: postrzeganie cierpienia jako szczęścia, nieczystości jako czystości, nietrwałości jako trwałości i tego, co nie jest jaźnią jako jaźni.” I dalej: „Należy pozwolić, aby stabilna klarowność umysłu w naturalny sposób uśmierzyła nasze rozgorączkowanie.” Świetlisty Budda, pozornie ciężki jak kamień, migocze nad głową Szeng-jena w obłoku błękitnej aury. Włókna czasu rozwarstwiają się w absolutnej ciszy jak babie lato, którego nie sposób w całości utrzymać na dłoni. W atmosferze ciepłego zmierzchu Tomasz przedstawiał sobie zamierzchłe wypadki, nie umiejąc wybrać ani jednego, który byłby dziś taki, jak chciał. Odmalowywał upiory i widma, oddawał ich złudne oblicza. Półludzi i półzwierzęta ukazywał jak przez szybę akwarium. W tych dokumentach chce – pisał – uwolnić dusze niektórych (na wszystkich mi nie zależy), wyzwolić od traum i przywidzeń, szczególnie związanych z miłością. Możemy zobaczyć te dusze radosne i doskonałe, gdy są zjednoczone ze światem w całości i nasyceniu. Nareszcie, to był nasz cel, takie wolne.

– Lody w pucharku czy w wafli? – pytał ją na spacerze. – Te z bitą śmietaną czy bez?

– Niech będzie, że *tiramisu*.

Szum wylęknionych skrzydeł – zanotował – nieznanne dzikie zwierzęta. Myśl o naturze ludzkiej, podatnej na programowanie. Suche spazmy jak prąd tuż pod skórą, bez żadnych emocji, z niczego. Dotkliwe słońce na szczycie bezchmurnego nieba. Wspomnienia. Wypominają sobie zdruzgotanie i upokorzenia, wypominają sobie wspólnie przeżyte lata.

Tomasz widział ich, jak nie rozmawiają, lecz wyją. Adam znów leżał w wannie i płakał:

– Nie krzycz na mnie, Dagmara, proszę. Nie nadaję się do niczego.

– Nie krzyczę, w ogóle nie krzyczę. To rzeczywistość jest tak niewygodna, że wybuchła wewnątrz ciebie skowyt.

– Nie rozumiesz, że ja jestem już trupem?

Potem kruche minuty pocieszeń, nie za długo, bo już czas iść do pracy. Adam nie, on zostaje, siada przed komputerem półnagi, będzie strzelać, zabijać i niszczyć. Teraz rządzi, jest panem, potrafi. Ona myśli już, jak wynagrodzić mu ten wredny, nielitościwy poranek. Będzie kochać go dzisiaj ustami. Po spotkaniu, po załatwieniu sprawunków. Bo umówiona jest – Tomasz to wiedział – ze mną. Ze mną pojedzie kupować i płacić. Słuchać o tym, czym jest zło przywiązania. Rozpoznawać się w przypowieściach, czuć, że zmiana może zaistnieć nagle. Jakby umysł przebiegały gatunki tak drapieżne, że nie można ich podejść. Nie jesteśmy więc podpisani – zanotował z westchnieniem na koniec – pod wieloma naszymi gestami. Wszechpotężne są chaos i nicość. I dzielimy je z całym wszechświatem. Marzeniami nie dzielimy się z nikim. Lepiej milczeć też o tym, co groźne. Te recepty, sposoby prastare na rosnącą pod sercem nienawiść. A gdyby posunąć się w tym szaleństwie dalej, trzeba by zacząć od enumeracji: co kupiła i na jakim stoisku, ile dała za mięso, za papier. Potem metki i napisy na nich, żeby ubrać świat w to, co noszone... Więc spisywać, spisywać, spisywać...

ROZDZIAŁ XIII

Przeklęte sztuczki, wybiegi, nieufność – w sekwencji przeczuć na przemian z zachwytem i rozkojarzeniem...

Osuszyć tęsknoty ciała, zanurzone w śluzach, odzyskać nad ciałem pozór władzy i panowania. Wyzbyć się całej wilgoci, przepływającej przez ciało, tej nosicielki choroby, przez którą objawia się miłość. Zapomnieć o resztkach płynności co koroduje najmocniej i nie pozostawia śladów, zbierając po drodze wszystko. Jej zapach, jej smak, jej spojrzenie, drobiazgi rosnące w pamięci Tomasa – a każdy mogący porazić, zniweczyć najmisterniejszy plan.

– Często tak przy niej miałeś? – pytał nieznany głos.

– Dziękuję, że o to pytasz – Tomasz próbował żartować.

Sposoby, jakich Tomasz chwycił się, żeby ocaleć, fałsz i subtelność rozważań, fałsz podsuwanych wyjaśnień, techniki stwarzania siebie na chwilę, a potem na stałe – a kiedy to wszystko zawiodło, kolejne z nią tajne spotkanie. Nie rozmawiał o tym z Dagmarą, a jednak to przy niej zaczął tak myśleć. Dostrzegać w przedmiotach znaki, a w znakach czający się rozpad. Heksagram dwudziesty trzeci. *Nie zawsze łaska przychodzi. Nie zawsze człowiek szlachetny powstrzyma nieuniknione.* Nie zawsze konieczne są słowa, a wiedza unosi się lekko w przestworzach na falach czasu i trafia niekiedy tam właśnie, gdzie była oczekiwana – daleko, po tysiącletniach. Dagmara też o tym wiedziała, obracała te obrazy w myślach. Pojęła to wcześniej niż Tomasz, dlatego, że wcześniej był Krzysztof, a jeszcze wcześniej wyznawca buddyzmu i można by podać tu listę trzydziestu, czterdziestu facetów, o których co nieco wiedziała. Wstydziała się tego przed sobą, mówiła po alkoholu, bolała ją pamięć co najmniej połowy z tych głupich przygód. Wolałaby o nich nie myśleć, lecz czasem

wracały do niej we śnie bezlitosnym o spermie lejącej się na nią kubłami.

– Drażniła ją własna nieufność i ciągle pragnienie wybiegów?

– Już nie wspominała o sztuczkach, bawiła się w maskowanie.

Niszczyła najistotniejsze, a potem wciąż żałowała. Bała się, że zostawia widoczne ślimacze tropy, oślizłą nitkę na ziemi, nie całkiem wysychającą. Błada i półprzezroczystą strużkę jej pożądania. Czasami patrzyła za siebie, szukała jej w miejscach z przeszłości. Udawał, że nic nie pojmuje, ale wiedzieli oboje. Udawać, że nic nie udajesz lub tylko udawać udawanie – to może być nawet przyjemne, jeżeli nie trwa za długo. Aż nagle, któregoś wieczora ujrzała siebie tak właśnie: pochyla się nad Adamem, całuje go lekko za uchem i daje mu siebie bez uczuć, z przemocą wyrzuca na zewnątrz tę rozpacz na widok ich związku, a on wlewa w nią cały strach. I było tak, jakby siedziała w fotelu, na którym on kiedyś siedział, i było jak gdyby patrzyła na siebie, na swoje plecy. Widziała, jak rusza się na nim, widziała, jak on na nią patrzy; milczała, jak te samice z gatunków bezjęzykowych. Byli jak wieloszczety, *Odontosyllis enopla*, kopulujące w oparach ognistej luminescencji. W zatokach nad oceanem można podziwiać ten spektakl. Podobny do tego tutaj. Ona też zataczała kręgi, uderzając jaskrawym światłem, podobnym do stroboskopów, o silnej fosforyzacji. Wyobrażała sobie, że widzi ich wtedy Tomasz. Wyobrażała sobie, że uczy tych mężczyzn przechodzić przez obcą samotność w niedostrzegalnych płomieniach. W środku wielkiego miasta i na granicy ciemności. Na sofie rudej jak krew. Na niepozornym tle.

Nadeszły lepkie, wiosenne dni. Ptaki kołujące nad miastem wyszukiwały na dachach kawałka przestrzeni na gniazdo. Szczęśliwa pamięć gatunku niepodobnego do nas, wymuszająca prostotę i przewidywalność zachowań. Szczęśliwa, gdy na nią patrzymy, co wcale nie znaczy, że zawsze. I w tym też – zanotował Tomasz – trafiliśmy na wątek godny lat studiów. Niewiele jest o nich wiadomo, bo ich czas jeszcze nie nadszedł. Obecnie gubimy się w innych domysłach i przewidywaniach, co trzeba wziąć

pod uwagę, gdy chcemy nie zgubić się w nauce, a tylko skorzystać z dobrodziejstw, którymi nas z hukiem zalewa. Choć sztuka potrafi dać więcej, jeżeli potrafi się patrzeć. Wsłuchiwać się w nią i przeżywać.

– Powiedziałeś, że jeśli całą przeszłość nosimy zaszyfrowaną w genach, to mamy tam też całą rozpacz i całą radość ludzkości?

– Rozpacz jest oczywiście więcej, nagromadzonej od wieków, nie mamy więc czemu się dziwić, niejedno to przecież tłumaczy. Także melancholików, którzy choć dobrze wiedzą, kogo i kiedy stracili, nie mają pojęcia, jak wiele i co utracili na zawsze: i to jest sam rdzeń ich utraty. Być może nie wiedzą dlatego, że strata jest z innych wymiarów, wpleciona w ich kod genetyczny, wpisana w podwójną heliksę.

To, co widziane z dystansu, jest dla nas wyłącznie brutalne, z bliska zdumiewa prostotą i niepozornością rozwiązań. Można w ten sposób zmienić myślenie o ludziach i świecie, gdy rosną nam w głowach jak obrządek, by rozbić zastale teorie. Tomasz dostrzegł to, patrząc z balkonu na małe, ruchome figurki. Ale była w tym także pomyłka, od której rozpoczął wspomnienia: przyjęcie postaci cynika przyłapanego na płaczu.

– Tak było?

– Wyłącznie, docenił to, we śnie. A ten według znawców jest wiernym, ale lustrzanym odbiciem. Stąd płacz ten kojarzy się śmiesznie: z litością i trwogą *katharsis*.

– A wina niezawiniona?

– Odczuwam jej stałą obecność.

Czy miał to odczucie także opisany przez Ibn 'Arabiego mężczyzna, przed którym otworzyły się wrota ogrodu niezwykłych uniesień? Oto historia człowieka, wsłuchującego się w miłość, historia przemiany wewnętrznej, gdy kochał i żył tym uczuciem. Jego ciało zaczęło się nagle rozplýwać i topnieć, aż w końcu zmieniło się w strużkę bezwonnej i lekkiej wody. I znikło pod ziemią tak nagle, jak gdyby wróciło do siebie, jak gdyby nie mogło inaczej, bo musiało wieść żywot wspomnienia. Obecny przy tym przyjaciel niewymieniony z imienia wskazał na tajną istotę miłości i zakochania. Oto, powiada mędrzec, przypadek wprost nadzwyczajny, utrata konkretnej formy na rzecz o wiele subtelniejszej. Tak zakochany

wraca do stanu pierwotnej natury, do wody jako substancji, będącej narodzinami. Z tej opowieści wynika, że ten, kto przeżywa miłość, jest bytem ożywczym i ożywiający, jak woda z jej ruchem do wewnątrz, jak fala z jej wspięciem i żądzą. Ten temat wykorzystano na słynnym, klasycznym już drzeworycie, gdzie z wielką pewnością Hokusai zamierzył się na potęgę niewyrażalnych odczuć. Od niego wyjść można zawsze, by wprawić w ruch wyobraźnię. Ukoić nieukozone i zasnąć plecami do świata.

Miał wrażenie, że to już nie jest pisanie, lecz wzorcowo przeprowadzana kaźń. Brał udział w tej egzekucji, lecz myślami pozostawał od dawna poza nią. Te notatki na temat zjawy, w której kiedyś rozpoznawał siebie, brał i oglądał uważnie, odczytując i poznając swój śmiech.

– Amputacja bez znieczulenia? – pytał głos, kiedy Tomasz był sam.

– Prześladowają mnie – odpowiadał w myślach – te obrazy: Utamaro i Frederic Leighton. *Kochankowie* i *Flaming June*. Prześladowają mnie także zapachy. Ciemny *Angel*, na skórze. Prześladowuje mnie czasem jej głos... Ale nie ten, który słyszę w sobie...

– I jak sobie z tym radzisz na co dzień?

– Postanowiłem nie okazywać wzruszenia, kiedy nagle przypomni mi świat. I zabrałem się za to bez wiary, nie ufając nikomu w ogóle, no a sobie tylko zwykłe minimum. Nie zwiastując szczęśliwych finałów, nie trudząc się tkwieniem w nadziei.

Z wypuszczonym niedbale na biodro czarnym paskiem od stringów, z biodrówkami na *svadhistanie*, czakrze mocy i potencjałów Erosa, wyglądała na jedną z wybranych, które niosą między mężczyzn swój czar. Tak dziś łatwiej mi mówić do ciebie – zanotował wyjątkowo intymnie – niż do tamtej z dalekich obrazów, wyszywanych niejedną ekstazą na tle marnym, bezgranicznie ponurym; do tamtej, którą byłeś dla mnie... Zabarwiał to słowną magią, uznaną za niedoskonałą.

– Mówisz do nieobecnych, bo tylko oni istnieją?

– Nie wierzysz? Po prostu zaczekaj. Nie miesiąc, to rok albo dłużej.

Na stronie następczej, wydartej, opowiadał o kolejnych wcieleniach.

– Czy jesteś moim przyjacielem? – pytała. – Czy chciałbyś przyjaźnić się ze mną?

– Nie mam przyjaciół. Mówiłem. Wystrzegam się ludzi i darów.

– Nie banalizujmy tego. Rozumiesz? Nie zrobisz mi krzywdy? Naprawdę?

– Ciebie kręci to intelektualnie, no proszę, a ja czasem naiwnie myślałem...

– Jestem już w takim wieku, że wołałabym coś konkretnego...

– Dobrze, ale co masz na myśli?

Na to nigdy nie odpowiedziała wprost, jakby chciała bawić się dwuznacznością. Tak samo jak drobnym kosmykiem, raz blond, a raz całkiem czerwonym. Leżąc w łóżku albo dzwoniąc z pracy. Umawiając się, bądź wyczekując, co powie. Ale często zaczynała to sama.

– Kiedy się zobaczymy? Kiedy pójdziemy do kina? – zmieniała się w trakcie tych rozmów, jak gdyby coś przez nią mówiło. To, co powiedziała o wspólnym wyjściu na *Tańcząc w ciemnościach*, skojarzył z fragmentem wiersza dla niej wsuniętego w list. W nim strofa o Björk, która tańczy, o dłoni i delikatnej pieści, o wielu spokojnych dotknięciach. A między wersami skryta – choroba? Namietność? Czulość? Czy skojarzenie jest słuszne? Dziwna, niespokojna noc, którą przeżył, nie podała mu wielu wyjaśnień, powiększyła wewnętrzne rozbicie. Księżyc w pełni poruszał wodami i niepokój rozpływał się w ciele. Niczym bąbel, jak od oparzenia, rosła w nim nowa myśl o pragnieniu. W krwawych strzępach, rozczwiartowana. Wymieszana z nieznanym uczuciem. Z niesmakiem na widok jej piękna, drżącego pod ciężarem nadziei. Z niesmakiem na myśl o sobie – tak poruszonym.

Noc dobra, łaskawe ciemności. Prawie cisza, tylko od czasu do czasu samochód. Asonans „spi-drzwi”, tłukący się po cudownie opustoszałej głowie. Nic strasznego, nic z wybiegów nerwowych i przykrych. Jedno zdanie zanotował Tomasz o tej, która

czekała wciąż w jego śnie, drugie o tym, którego nie znał, a który żył w jego myślach. Jedno dla tej, której nie było blisko, drugie o tym, co miał nic nie widzieć. Tomasz był, kiedy pisał – czuł to – jak ten, który posiadał tajemne i nieusuwalne moce. Jak ten, co zamienił się w strugę, by wnikać w czeluści otchłani.

Wyjdziecie ze swoich skorup – zanotował – i zobaczycie to. Kto wie, co was zaprowadzi na drogę podobną do mojej.

– Jak jest z tą bajeczną historią? Gra wyobraźni, jak zwykle?

– Ten głos przed zaśnięciem tak czuły, że można by zbudzić się w piekle?

– A jeśli tam właśnie się budzisz? A jeśli zasypiasz w nim stale?

Obraz ten ktoś może rozpoznać jako przesadnie diabelski – myślał Tomasz o swoich notatkach. I myślał tak do czasu, aż to, co przesadne zjawilo się rzeczywiście, nie poruszając nadmiernie, a tylko wzbudzając nietrwale, dalekie jak echo wrażenie. Zjawilo się jak ta kobieta o głosie z tęsknoty, radości i lubieżnego namysłu. Zjawilo się jak Dagmara – w płatkach wilgotnej słodyczy. On znalazł ją taką we śnie. Zanurzoną w nim ciałem i duszą. Odnalazł ją jak niejednego z niechętnie patrzących na życie, gdy zechciał filozofować i bawić się w wiekiistość. Rozczulił go tamten wypadek, o którym nie bardzo chciała mówić. Gdy Adam wskoczył na rower i zniknął, a ona znalazła Tomasza. (O jakich mówimy kobietach, czy dbamy tu o nie wszystkie? Nie, bo nie można by wtedy zakończyć tej drobnej powiastki. I miałby czytelnik dylemat, czy szukać w niej czegoś ponad to, co skryte, lecz raczej niedbale, czy wgrzyzać się w mięso narracji. Przerzucałby strony i szlochał lub z trzaskiem odrzucił precz książkę.) A Adam pedałowal wytrwale, oddalał się od Dagmary, gdy ona już dla Tomasza była tak miła i słodka. Dręczenie to także jest miłość, wystarczy odmierzyć proporcje. Dagmarze, notował Tomasz, trzeba było łagodnych zadrażnień, by chciała dać z siebie wszystko, by mogła odnaleźć spokój.

– Do czego w ten sposób zmierzasz?

– Wyjawić chęć jej pospolitość.

– A znasz już do końca własną?

– Osiadłem w niej jak w kwiecie lotosu – żartował Tomasz, gdy w myślach rozmawiał z obcymi głosami – i niesie mnie chichot żywiołów, jak miękka, podniebna poduszka.

W ten sposób buduje się nową – zapisał pod koniec, zmęczony – nieznaną antropologię. Bez bogów, pieniędzy i czarów, opartą jedynie na faktach. Z bogami, pieniędzmi i magią, o ile są w dokumentach. A Adam objeżdżał dzielnice i mijał ulice centrum.

W jej głosie nie było nic o nim, wypłuła go wraz ze słowami. Wypłynął z niej, kiedy płakała, zdradzając się z pożądaniem. A on jechał dalej, nie wiedział, że Tomasz słyszy i to:

– Ty jesteś mi teraz potrzebny. Niezbędny jak tlen, żebym trwała. Nie żyła, bo co to za życie. Istniała, po prostu tu była. – Adam wrócił po przeszło godzinie, spocony, z uśmiechem na twarzy. Mówiła też o tym, lecz później, gdy Tomasz już zdołał ochłoniąć. Czy był tam wtedy intruzem? Czy znalazł się tam przez przypadek? Pytania o rozmiar za duże. Wpaść można tu w każde z osobna, lecz wyjść z nich nie sposób w ogóle. To była antropologia Tomasza. Oparta na doświadczeniu. W tle róża o płatkach nabrzmiałych purpurą dla Dżyngis-chana.

Nikt nigdy nie pragnął osiągnąć ideału zdewastowania, a jeśli był kiedyś ktoś taki, to Tomasz chętnie by go teraz poznał. Szczęśliwy prawie bezmyślnie, od kiedy znalazł się na obrzeżach, na jawnie straconej pozycji, świadomy do końca tej straty. Gdzie każdy uczynek wywoła jak zawsze – pomyślał – tak złe jak i dobre skutki. Lecz jednostronnie skupieni, nie często umiemy tak widzieć. Przez dotyk uczymy się ciała, przez myśli uczymy się duszy – i jedno, i drugie nie musi być pewne tak samo dla wszystkich. Tak myśląc – notował dalej nie zważając na późną godzinę – przyjąłem w całości wyzwanie, zgodziłem się przejść przez ten żywioł, nazwany imieniem kobiecym.

– I żadnej dla ciebie miłości? – pytanie rozległo się gdzieś obok głowy Tomasza.

– I żadnej dla siebie litości. Myślenie wyłącznie w terminach najniższych lub bardzo wysokich. A potem zwrot całkowity, myślenie bez żadnej hierarchii. Stabilność emocji na co dzień, szaleństwo, gdy rozum już śpi.

– Więc jaka jest postać obecna, ta, w której widzisz się teraz?

– To jest i to nie jest ciałem, to jest i to nie jest duchem.

Były dni, gdy upierał się mocno, żeby wyłącznie pracować. Były dni, gdy mu nie wychodziło, a jednak upierał się dalej. Dlaczego? Niech będzie to *koan**. Pisanie, nawet gdy nic nie notował, było dla niego pisaniem, jak gdyby nie przestawał notować. Upór Tomasza podobny był przy tym bardzo do pewnych zwierzęcych odruchów. Niech tylko ktoś trąci tę strunę – notował – już gonią mnie stada wyklęte. Zacięty, przebijam się dotąd, aż znajdę się tutaj, gdzie chciałem. A ona tam jest i już czeka. Nie mogę jej nigdy wyminąć. To nic, że podśmiewa się ze mnie, oboje patrzymy na wieczność. Nie wolno zapomnieć o faktach, dotkliwie obecnych zjawiskach. To w nich przeobraża się dusza, ugrzęzła pomiędzy tkankami. Kiedy pospiesza nie do nas, nie w głąb, a wyraźnie na zewnątrz i chcemy popełnić akt skryty, nie skrucy, lecz bezwzajemności. Zajmowało nas tu rozważanie, co można uczynić z ulicą, gdy staje się tak niemoralna, że smuciłby się i Lucyfer. Otwarte, gotowe kobiety, jak suki spuszczone ze smyczy. Skupieni, drapieżni mężczyźni, jak łowcy z paleolitu. Zamknięci, ciężkawi mężczyźni z tej rasy, co właśnie stworzona. Ulotne i lgnące kobiety z ras przeszłych, zgubionych gdzieś w czasie. W ich rozwoju niepokojące luki. Brak elementu myślenia dalej niż poza modę. Widoczne też inne braki, co drażni też i u mężczyzn. Na Kruczej, na Marszałkowskiej, w Alejach Jerozolimskich. W kawiarniach, w domach, na drogach. A nad tym blask wszechpotężny od słońca, co nie jest już wieczne. Promienie poddane badaniom, by można opisać je w książce. Film o nich na jednym z kanałów, w godzinach przedpołudniowych. I nic o tych nowych kobietach, tych Juliach, tych Annach i Emmach. Nic z tego, co byłoby nowe. A nowe są w końcu ich dusze, choć wyraźniej dziś dbają o ciała. Stąd cały ten melanz terapii, *gestaltów* i psychoanaliz. To wraca ich czas zapomniany, zmieszany jak z błotem, z wiecznością. Co będzie, gdy spojrzeć tak

* *Koan* (jap.): zaskakujące powiedzenie, paradoks, zagadka. Najlepszym *koanem* wg autora *Zen: świt na zachodzie* Philipa Kapleau jest „dręczące kogoś zapytywanie, takie, którego nie można odłożyć na bok, dopóki nie dojdzie się do odpowiedzi.” (tłum. Jacek Dobrowolski).

dalej? Zostanie idea miasta. Na martwej naturze, na szkicu zaledwie maźniętym. Gdzie w rogu spojrzenie anioła, nie całe, bo zakryte łzami.

– Naprawdę tak o pomyślałeś? – zapytała go, kiedy jej o tym powiedział, Dagmara.

– Naprawdę tak to usłyszałem – odpowiedział patrząc jej prosto w oczy.

Minuty przed obudzeniem bywają płodne w szczególne i niecodzienne widzenia, w chwili wyczuwania prawdy, aż staje przed okiem umysłu – i błyszczy, żądając uznania i nie chce bez komentarza zniknąć. To jasna i pełna świadomość, jak mają się rzeczy zakryte, do których nie można się dostać bez łask udzielanych tak skąpo, że trzeba docenić te chwile, gdy promień unosi powieki, a śpiący ma w sobie natchnienie i szybko znajduje w nim słowa. Pewnego dnia Tomasz przeżył to doznanie i poznał, co działo się z nią dużo wcześniej. Jak żyła, jak było z nią wtedy, kiedy jeszcze o nim nie myślała. Czy wpływ na te jego stany miało życie sprowadzone do elementarnych czynności, przeplatanych irracjonalnymi zabiegami wokół świata jej uczuć i myśli? Kto nie próbował tych sztuczek, pogańskiej i mrocznej magii? Obecna jest wciąż pod podszewką i aprobowana milcząco. Tarot, runy, *I Cing* – a gdyby istniały też inne tak popularne techniki, stosowałyby je równocześnie. W końcu to tylko praktyka wydobywania na jaw przemyślnych konstrukcji iluzji, stwarzanych na potrzeby chwili.

– Nie miałeś już nic do stracenia? – pytanie wracało wieczorem.

– Nieprawda, walczyłem o duszę. Przez sen zdobywałem energię i wiedzę potrzebną, by wytrwać. – Takie to ciche przypadki los mu postawił na drodze, w takich to planach Nemezis maczała wykrzywione palce. Należy pamiętać o wielu lekturach, o tekstach zamkniętych nie w książkach, lecz w życiu od świtu do zmierzchu. Bo było też na co patrzeć. Na coraz silniejszą zależność. Wplątał się przecież w kabałę z kobietą od wcieleń poprzednich. Tak myśląc, Tomasz dotykał sedna i mógł jedynie prosić o wyrozumiałość.

– Więc znałeś ją dłużej niż żyjesz?

– Tak wtedy to właśnie pojąłem. Mówiłem jej o tym nieraz, a nawet tak o tym pisałem. Z pomocą w momentach ważkich przychodzi niekiedy liryka, to w niej odnalazłem fragment o braku przez całe stulecia. Tęskniłem do ciebie wczoraj całymi głodnymi latami – nie tak to napisał poeta, ale tak przytaczałem to zdanie. Tęskniłem za tobą i dzisiaj przez wszystkie minione stulecia. Tak brzmieć to powinno i nigdy nie było by niedokładne.

– A ona? Czy zrozumiała?

– Nie dręczcie mnie już, dajcie spokój.

– Czy dla niej to była zwykła perełka łechcąca jej próżność?

– Mieszałem się chyba zawsze, gdy to powracało w rozmowach. Nie liczę, że pojmie to każdy. Sam długo myślałem, co dalej. A także: czy jestem normalny?

Wyobraził sobie terapeutę, który słyszy to szczere wyznanie. Jak spogląda zza okularów, jak zabawia się długim ołówkiem. Pomyślał, że miałby trudności z udzieleniem fachowej porady. Chyba, żeby potrafił wypełznąć z tych pancerzy i stanąć tak nagi, jak w tej chwili stała przed nim Dagmara: z tą pewnością, jak u wielkich szaleńców, z przekonaniem jak u ojców pustyni. Zaczynamy tu wręcz o mistykę, transcendencję i głębsze wymiary. Czwartym, wiemy, jest czas – już go znamy. Ale innych jest może trzydzieści (prawie tyle jest w przestrzeniach znanych współczesnej fizyce kwantowej). Między nimi ukryty ten jeden, skąd przesącza się opowiadana historia. Zabarwiając ją prawdą nieznaną, której bliżej był Einstein niż Kościół.

ROZDZIAŁ XIV

Zanurzyć się w irracjonalnym, na moment, z dowolnej strony...

Tomasz nie cierpiał tych dni, choć może pragnął ich skrycie, gdy wszystko pokazywało pazur jak gdyby z innego świata. Opowiadał o tym rzadko, bo był to temat skazany na mnogość nieporozumień i drwiące uśmiešky. A kiedy to zaczyna się na dobre – zanotował kiedyś dla samego siebie, żeby już nigdy nie zapomnieć uczucia, które wiązało się z tym pomieszaniem – myślę, że oszaleję, jeżeli nie skończy się szybko. Najpierw jest jedno zdanie, niepozorne i często nijakie, jak propozycja lub rozkaz, ale nigdy nie jak zapowiedź, a za nim zaczyna się otchłań widocznych koincydencji, rozpoczynają się ciągi skojarzeń wiodących w obłąd. Najpierw – notował szybko, by zaraz wyrzucić tę kartkę – w rozmowie z tobą, gdy pytasz, czy mamy się rozstać, ja przypominam o dzieciach, co widzą, że cesarz jest nagi. A zaraz po tym telefon do dawno niewidzianej znajomej i jej słowa o małej córeczce, która ogląda tę właśnie andersenowską baśń. A baśni są w końcu tysiące, a uczuć są różne odcienie, a wcześniej myślałem o tobie, kobiecie z nieznaną przeszłością. I z myślą o tobie pisałem, wynotowując skrętnie, co słynny Cesare Ripa wyłożył na temat bezwstydu. Że jest to kobieta o oczach wytrzeszczonych i szerokim czole, z powiekami przekrwionymi, ubrana nieskromnie, która obiema rękami unosząc swoją długą suknię, pokazuje nogi aż po cudowne uda. Ale to jeszcze nie koniec – zanotował Tomasz – bo dzisiaj jest jeden z tych dni, gdy wszystko jest widać we wszystkim, a góra pojawia się w dole, więc dalej jest także o małpie: kobieta ma małpę przy sobie, a ta jest symbolem bezwstydu. Idziemy tym tropem dalej i mamy przed sobą dwanaście znaków zodiaku chińskiego, a jeden to właśnie małpa. Tu także słyńca z bezwstydu, permissywności i chuci. Wschód

łączy się znowu z Zachodem, tym razem na gruncie podobnych spostrzeżeń co do natury, a mówiąc konkretnie – małp. Czy trzeba dodawać – to pytanie Tomasz zanotował, myśląc o rzeczywistości z przekazem – że Dagmara urodziła się w Roku Małpy? I że w tandetnych książeczkach z mądrością horoskopową piszą o Małpie, że bardzo pragnie być podziwiana, darzona miłością i pobłażliwością, choć sama nie umie tak kochać. I dalej o niej, o Małpie, że nie jest w stanie powstrzymać się od nabierania na swoje manipulacje tych także, z którymi chciałaby być.

– A może to jednak przypadki, skupisko, lecz racjonalne?

– Być może to synchroniczność, ale pewności nie ma.

– No dobrze, lecz skąd ten niepokój? Skąd nagle ta zmiana myślenia? Czyż w jaźni okaleczonej nie ma dla tego miejsca? Czy był od początku ten strach, o którym mówi się teraz? Gdy łączy się góra z dołem, mieszają ze sobą kierunki?

– A może to noc na języku? A może to dzień oślepienia? A może to trzeba zobaczyć, jak jedną z tych wielkich legend, gdzie są i bohater i wróżba, i tylko spokoju w niej nie ma?

Rozumu nie można rozdzielić od transcendentnej idei – zapisał Tomasz zmęczony myśleniem o całym dniu. – A szukać na siłę wyjaśnień, to błędzić i co chwila tracić. A wtedy zostaje marzenie, by słyszeć szum skrzydeł Nemezis wyraźniej ucieleśnionej, by wreszcie zobaczyć ją całą. Bo kiedy zapomnieć o niej, obraża się i przechodzi nad życiem z takim łoskotem, że słyhać trzeszczenie ziemi i nie ma się żadnych złudzeń, że ona tym wszystkim rządzi.

Tomasz nie cierpiał tych dni, a jednak w myślach powracał do tego skupiska wątków, do tego, co irracjonalne.

W jednej windzie pachniało jaśminem, w drugiej papierosami. Jedną Tomasz zjeżdżał na parter, drugą wjeżdżał do siebie. Myślał, że proste czynności są mu teraz bardzo potrzebne i że równie dobrze może to być wyjście po chleb co wycieczka. Wyszedł po chleb i herbatę. Tomasz jechał wpatrując się w lustro, a kiedy na dole wysiadł, wiedział już, że na pewno istnieje ob-

umieranie, że dość ma go w sobie na lata. Palilo mordercze słońce, na ławce siedzieli dilerzy, a obok gromada ćpunów myślała, co jeszcze by oddać za towar. Jeden być może umierał, gdy Tomasz wchodził do sklepu. Strzykawka, zobaczył Tomasz, sterczała mu z sieniei ręki. Za moment, pomyślał, będzie już o jednego mniej.

– Nie umiem powiedzieć – opowiadał to wieczorem Dagmarze – jak przygnębił mnie widok tych ludzi. Ich rozmowy: „Te, weź się odpierdol koleś od Mozarta i Vivaldiego. – Bo co? Co to za dupki? – Spoko goście, frajerze. To oni robią te melodyjki w komórkach. – Trzeba tak było od razu...” Aż tylu upokorzonych – dodał – tym nagłym przypominaniem, że zdycha się co sekunda w świecie totalnego absurdu, w tak zwanych oparach groteski. Bo czekać do dzisiaj – być gorszym, odczuwać frustrację i niemoc, gdy świat cały pędzi na oślep, gdy ten, kogo kochasz, być może właśnie odjeżdża, opuszcza cię i zostaje wchłonięty przez inny kontynent.

Mówił tak o tym z Dagmarą, o której, cokolwiek powiedzieć, to jednak spotykała się z nim, nie szukając dla tego tłumaczeń, poza najoczywistszym: bo to był Tomasz, a to ona.

Więcej na ten temat – zanotował Tomasz – w pismach socjologicznych, gdzie związek dwojga zostaje zrównany z handlem, a ekonomia zakupów jest też ekonomią miłości. A ta ma być przede wszystkim szybka i bezproblemowa, sprawnie wpleciona w codzienny pośpiech i łatwo dająca się skończyć. A co najważniejsze, gdy związek kobiety z mężczyzną jest już zużyty i zbędny, to można go łatwo zastąpić, wymienić na nowszy model.

Demiurg naprawdę – notował Tomasz – miał atak szaleństwa i szyderczej furii, dlatego na naszych oczach świat niszczy się wśród wycia i krwi potępionych. Zaleca się w takich przypadkach milczenie i spokój. A dla tych o najwrażliwszej konstrukcji, dla pełnych wewnętrznych powikłań, zdobądźmy się chociaż na słowo, które ich nie dobije. Wypatrzeć je w twarzy przechodnia lub najzwyczajszego sprzedawcy – to czasem udaje się łatwo, gdyż są w takich twarzach tęsknoty niewyraźne inaczej, jak tylko na sposób łagodny.

Dagmara wiedziała o tym – pomyślał, ale już nie zapisał.

Ulubiona czynność Tomasza: patrzeć, jak idzie zmierzch, robi się zupełnie czarno, świat widzialny zapada się w niebyt. Kontury przedmiotów i formy upodabniają się nagle do grząskich, rozmytych uczuć niechęci i rezygnacji. Ciepło uchodzi z ciała, jakby ciało już należało do trupa i w każdą szczelinę wnikają: chłód coraz większy i bunt. Uwodzenie jest takie proste – a potem i tak nie ma nic, zdarzenia rozchodzą się w szwach, postacie zmieniają się w zjawy. Ten moment Tomasz nauczył się obserwować. Zmierzch oraz to, co za nim.

Pierwszy zapis z tamtego okresu dotyczył empatii Dagmary. Bardzo wysokiej próby. Jej lekkość i łatwość wyrazu, to mogło podzielać natychmiast. Próbowwała skrócić dystans, którego już wtedy nie było. Tomasz poczuł też ekstrawersję, emocje bardzo na zewnątrz. Wracał do tego dnia w nieprzeliczonych wspomnieniach, gdy był już bardzo daleko i pewien, że przeszłość nie wróci. Trafiał na ranę w sobie, ilekroć sięgał po książkę, patrzył na ruchy aktorów, słuchał muzyki albo też chodził po mieście. Jakby nie można było po prostu tego miejsca minąć. Rozmowa, którą przeprowadził w myślach z niewidzianym od lat znajomym, autorem powiastek o nieopierzonym poecie, trafiła w Tomaszu na grunt właściwy i niesamowicie podatny. Zapewne ze względu na temat: upadek i okaleczenie, wrażliwość i liczne pułapki. A także dla piękna wywodu, którego nie można pomylić, a w którym tamten celował, co Tomasz zapamiętał na zawsze.

– Nigdy nie można przewidzieć – mówił rzeczony znajomy, a Tomasz notował w pamięci wyobrażenie dialogu – kiedy upadnie się w taką czy inną z licznych pułapek. To samo z pułapką miłości, tak często arcybrutalną. Dla zwyczajnego człowieka to nie jest tragedia i problem, ale dla nadwrażliwego i powikłanego – bywa. Miłość potrafi wyczerpać. Miłość wyczerpie cię zawsze. Popłyniesz w środek piekła, bo człowiek w niej spływa w piekło. A w nim nie poznaje już siebie. Zawsze się tego bałem, wołałem zwulgaryzować uczucie, niż męczyć się i wypalać wtedy ogniu, jak dusza na ruszcie. – Tyle znajomy, któremu Tomasz zawdzięczał lekcję bycia tak osobnym, jak to jest tylko możliwe.

Naturą ognia jest przemoc gwałtowna i niepowstrzymana – zapisał wieczorem Tomasz. – Naturą duszy jest rozwój, a miłość to tylko sposób, moment, gdy tchnienie Ducha przymusza duszę do wolty. Pozostaje nam umieć się zaśmiać, że więcej niż tu nie powiemy, choćbyśmy wracali do tamtych pierwszych dni roku. Dwa dni przed urodzinami Adama, datą ważną także dla Tomasa. Znał blisko kogoś, kto urodził się tego dnia.

– Czy to cię zastanawiało? – zapytał go w nocy pająk.

– I owszem, niekiedy wręcz bardzo. Lecz tyle już tego było, że mógłbym z tych licznych zestawień, z tych gagów rzeczywistości zbudować gmach wielkiej komedii. A przecież nie o nim tu mowa.

– Czy powiesz mi o jej miłości? Jak ona ją przeżywała?

– To będzie na końcu, o ile doczekasz nie przysypiając. Teraz dobranoc, pająku.

– Dobranoc.

Chichot i głosy w tle pogłębiały przepaść, w której i tak tkwił już na dnie, odkąd miał w rękach słuchawkę i drażył go przymus mówienia. Mimo złowrogiej pewności, że mówić z nią nie ma o czym, przynajmniej na tym tle roześmianym, przynajmniej w ten płytki sposób. Wychodził z cienia jej wspomnień, jak z mgły nad ciemnymi wodami. I niepokoił się.

– Wdzierasz się w moje życie – słyszał skargę.

– A ty weszłaś w moje ukradkiem?

– Prosiłam cię?

– Pomyśl sama.

– Nie wkręcaj mi głupich gadek.

To Adam śmiał się, jak gdyby już wszystko wiedział i teraz on i Dagmara bawili się Tomaszem. Straszna jest taka niepewność, tragiczna i obrzydliwa. Swoboda Dagmary tak mocno kontrastująca z wewnętrznym napięciem Tomasa, sprawiła, że dystans, mający po tej rozmowie zmaleć, powiększał się z każdą sekundą. Tak wyliczając uraz za urazem Tomasz dotarł znowu do miejsca, skąd wyruszył w tę podróż – i jakby nie ruszał się wcale, nie

odszedł na krok, nigdzie nie był. Na świadka można – zapisał – powołać jedynie wyczerpanie, któremu niejeden już uległ i wielu jeszcze ulegnie. Zatoczyć bezwolnie koło i stanąć, i dreptać w miejscu – ach, ileż to upokorzeń dla naszej wolnej natury. W tych momentach jej śmiech padał głębiej i głębiej, powoli, lecz za to na dłużej. Odległość od wyobrażeń stawiała Tomasza przed trudnym, nieprzesądzonym wyborem, różnica robiła się trudna do ominięcia w tej chwili. Wytrzymać to jak sesję wymyślnych, azjatyckich tortur, polegających na stałym wkraczaniu w ciało milimetr dalej. I jeszcze jeden milimetr, i jeszcze kawałek, i jeszcze... Aż oddech zaczyna świecić i jest się już kimś całkiem innym.

– Słyszałem – gryzmolił Tomasz – jak pewien pisarz chciał naśladować innego, jednak za każdym razem nic z tego mu nie wychodziło. Zostawiał po sobie sceny, opisy niejednoznaczne i skąpe, przemawiał wciąż z ludzkich zgliszczy i przedłużających się olśnień; wychodził mu tylko dokument o kruchej, bo ludzkiej czułości i tych okrucieństwach na co dzień skrywanych pod każdym uczuciem.

– I co ja mam z tobą zrobić?

– To chyba jest moje pytanie.

Tak długo bawiła się nim, że w końcu przyznał jej rację, traktując samego siebie jak kogoś niepotrzebnego. Opowiedz mi o tym, o tamtym, o ojcu, o twojej matce, mów do mnie – drażniła go lekko – mów do mnie, to takie zabawne. Struna dotknięta brzmiała, lecz jej nie udało się wsłuchać i głos dźwięczał na łączach tym razem sobie a muzom. Opowieści śmieszyły ją szczerze, bo nic z nich nie chciała zrozumieć. Ściana, przy której stał Tomasz, więcej miałyby do opowiedzenia, w końcu to o nią oparł spocone, rozpalone czoło.

– Miłość nie istnieje – powiedział na głos Tomasz. – To tylko rodzaj zwierzęcia, jak feniksa czy mantychora, którego szukają szaleńcy, tym bardziej, im w sobie samych nie czują związku z naturą, więc nawet nie wiedzą, co z niej istnieje, a co jest wytworem maszy-

ny ludzkiego rozumu, produkującej, między innymi, namiętność. Uczucie – kontynuował – to czysty, banalny fantazmat, pozorny i niepotrzebny, bo zdrowiej jest zawsze mieć dystans i uczucie zostawić daleko, używać go bardzo ostrożnie. Poza tym...

– Przecież to niemożliwe – mruknęła znudzona Dagmara. – Przecież nie jesteś taki, nie umiałbyś żyć w taki sposób.

To była prawda, o czym on wiedział lepiej od niej. Jednak znał też tę stronę siebie, o której ona nie miała pojęcia. Uśmiechnął się, a jego uśmiech wyglądał tak smutno, że prawie go odwzajemniła, nie wiedząc, jak mogłaby mu pomóc w przejściu ze świata czczych wyobrażeń do świata realnych potęg. Przez moment zagrożona stanem zakochania się w samej miłości, Dagmara bawiła się słomką zanurzoną w szklance z sokiem pomarańczowym. Tomasz stał blisko i nic nie mówił, chwila to gorzka, wieczorna. Popełnił „wielkie zbłądzenie”, padł łupem klasycznej *hamartii* – wiedziała to, znając reguły rządzące grecką tragedią. Lecz dość ją bawiło patrzeć na to, jak sobie radzi, by nic nie sugerowała – więc dalej popełniał błędy, lapsusy i głupie pomyłki. Mężczyznę prowadzi kobieta i daje mu szansę rozwoju lub niszczy i doprowadza do stanów tragicznie niezrozumiałych. Idziemy obok osoby realnej i niedoskonałej, a reagujemy na coś o wiele potężniejszego. Kiedy mężczyzna dostrzega, jak łatwo kobieta wraca do równowagi i jak doskonale potrafi zapanować nad swoimi uczuciami, zdziwienie jego nie ma granic. Eros, bożek powszechnie znany, jest również patronem wzajemnych, łagodniejszych związków. Dlaczego przysnął? Nad jakie miasta pofrunął? Czy też miał dzień regresywny, oddany pod jurysdykcję obłądu? Tomasz bawiły te myśli, dlatego tak trudno mu było wracać do rozmów z Dagmarą, szczególnie gdy pamiętał je tak:

– Patrz, jaka śliczna pocztówka.

– To Eros? Och, jaki milutki! Jakiego śmiesznego ma fiutka.

– To raczej Amor, tak tu jest napisane. To o tym, co jest między nami, nie sądzisz?

– A skąd wiesz, że między nami coś jest?

– Od tego momentu będzie może choć ta pocztówka.

Pocztówkę Tomasz kupił i przechowywał wśród innych. Amor na niej sikał na dwa dymiące serca, których czerwień odcinała

się od ściany lasu. Patrzył wzrokiem nie bożka, a nieświadomego dziecka. Kiczowate serca tuliły się mocno tą stroną, która płonęła najmocniej. Kto by nie chciał znaleźć się w takiej bliskości spraw osobistych i przyjemnie obcych? Komu można by wskazać ten przykład wzajemnej czułości, która po jednej stronie składa się z samej słabości, a drugą ma przepelnioną energią, wściekłością i niewyrażonym żalem? Dwa kiczowate serca – pomyślał zmęczony Tomasz. – Obrazek.

- Ile miałeś kobiet? – pytała o takie rzeczy.
- Niewiele. A ty mężczyzn?
- Mieścisz się w trzeciej dziesiątce...

W myślach, tuż po rozmowie, czuł smak namiętności, którą – co zanotował później – wolno mu było określić jako nienawiść i przemoc, grząską nienawiść do własnego, zgnębionego serca, i przemoc w kolorach szaleństwa, rozlaną jak wody wzburzone, zdradliwe i pociągające. Tymczasem wobec Dagmary, która w tamtej niepozornej chwili śmiała się z natychmiastowej i precyzyjnej riposty, nie umiał stanąć twarzą w twarz – potrzebny był lewy albo też prawy półprofil. Niektórzy powiedzą o Tomaszu z tej sceny, że wyglądał na nieszczęśliwego, ale to błąd, pomyłka oparta niedbale o naiwność i niedokładność w patrzeniu. Dwie osoby nie mogą postrzegać tego samego, choćby uparły się mówić, że widzą coś równocześnie. Powstrzymać się od wczuwania w ten stan. Niech minie, jak mija ból po niezamierzonym uderzeniu. Dagmara nie chciała dotknąć, po prostu bawiła ją forma i wgląd w śmieszny świat męskich rojeń, w dziedzinę urażliwego ja. Jeżeli zapytamy się teraz, w jakim celu padały tak prosto sformułowane pytania, doleci nas nie odpowiedź, lecz strzęp jednego z obrazów, które Tomasz, by chociaż tak się pocieszyć, określił mianem diabelskich. Oto pająk, nie pierwszy raz u Tomasza, pod czujnym okiem Nemezis, patrzącej, by Tomasz nie wyszedł z granic swojego losu, oto pająk przemawiał do niego. Zwisając z sufitu. Natchniony.

– Wyglądasz na napoczętego.
– Co przez to rozumiesz, pająku?
– Wyglądasz już trochę jak to, co wyławiam i preparuję codziennie. Nie żywe, ale i jeszcze nie martwe. Nie duch, ale też nie materia. Albo materia w odwrocie. W entropii. Ku przeznaczeniu. Wyglądasz jak utopiony. Półżywy. Jak po wymianie krwi z chorym na wszystkie choroby duszy. Jest w tobie dobry początek. Zaciekawileś mnie.

– Dobry początek? Czego? Odejdź, nie jesteś prawdziwy.

– A jeśli prawdziwszy od ciebie? – Czy wypada przyznawać się do niepewności na myśl o pytaniu, czy jest się na pewno wciąż żywym? Popatrzmy na ten rodzaj stałej, drążącej jaźń wątpliwości. Szczególnie w okaleczeniu, gdy nic nie jest bardziej niepewne. Gdy stałe są tylko motywy zjawiania się zmarłych we śnie, pomyłek wśród żywych na jawie.

– Naprawdę mnie zaciekawileś.

– Czasami chciałbym być tobą. Móc patrzeć na konwulsje bytów, zdychanie kogoś innego w tej sieci, w której znalazłem się przez nieuwagę. Żywiąc uczucia do zjawy, która kiedyś może była kobietą. Oczekując pomocy od zmarłych, którzy nigdy mi jej nie udziela.

– Nie łudź się. Nie mów o niewadze. A zmarli, pamiętaj wracają zawsze, jeśli tego chcesz. Zaczekaj na nich, jeżeli tak bardzo zależy ci na tym.

Zawładnął Tomaszem ten obraz, nie wiedzieć kiedy wyśniony. Rozmowa z dorodnym owadem, jak z sobą samym po zmierzchu. Znamiona wgryzającego się w myśli oblędu stawały się równie widoczne, co skutki milczenia na zewnątrz. W przeczuciu takich konsekwencji zagubiłby się w sobie każdy. Zwłaszcza, że przecież diabeł może skryć się pod dowolną postacią. Depresji, pająka czy choroby polegającej na słyszeniu głosów. Może wejść w kilka zdań, gdy nie patrzysz. Między słowa i między obrazy.

Tomasz zdumiewał się, nie po raz pierwszy zresztą, jak błyskawicznie można unicestwić w kobiecie niewinność i zaszczepić

w niej wyrachowanie przynajmniej, ale nie wyłącznie, duchowe. Wyższa natura ludzka – docierało do niego powoli – opiera się na naturze niższej. Potrzebnej jako fundament, bez którego człowiek musiałby upaść. Wyższa natura jest przy tym nie do wyobrażenia bez zaspokojenia natury niższej, zmysłowej i prymitywniejszej. Zaskoczonym przez zachowanie kobiety można być tylko na początku. Dalej przestają dziwić sprośności i brak jakichkolwiek hamulców. Zawsze można, widząc owo niedbałe postępowanie duszy, przypomnieć, że najlepszą drogą wiodącą do rozwoju natury wyższej człowieka jest uprzednie spełnienie i zaspokojenie potrzeb natury niższej. Co więcej – powtarzał na kolejnym spotkaniu przyswojone podczas samotnej lektury opinie specjalistów od psychologii i ciała – wyższa natura ludzka opiera się także na istnieniu dobrego lub wystarczająco dobrego otoczenia, obecnego i minionego. Kończył ten powtórzony wywód opinią może najistotniejszą: rozdwojenie jest patologiczne, a patologie objawiają się rozdwojeniem. Najskromniej i najzabawniej wyraziła to jedna z jego młodych i już doświadczonych przyjaciółek:

– Chciałabym mieć męża i rodzinę, ale nie wiem, czy chcę.

Tak czy tak – notował Tomasz – świat oglądany nie jest nigdy światem zapisywanym. Co innego widzę, co innego czuję, jeszcze inaczej wychodzi to w opisie. Masa podskórnych, niewyrażonych emocji. Wszystko mi wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść – czytał. A potem przypomniał sobie sen, w którym nieznanemu mężczyźnie okazywał się infantylny i twórczy, nieradzący sobie z rzeczywistością. Tomasz widział go w domu, oglądał jego płyty i książki. Tamten był i nie był obecny.

– Kiedy pęknie ta bańka? – pytała Tomasz Dagmara. – Adam jest taki zły, tak siebie widzi, matka mu to wmówiła.

– Musisz go karmić sobą – odpowiadał wbrew uczuciom Tomasz – tego mu trzeba najbardziej. Efekty pojawią się niebawem.

– Adamowi potrzebny jest sukces, aby uwierzył w siebie – zadrzała.

– Co to jest sukces? Czym jest sukces dla niego?

Czy to było w lipcu, tuż po jej trzydziestych trzecich urodzinach, czy wcześniej, kiedy pisał, nie miał już pewności. Daty nie

muszą być ważne, chociaż czasami bywają. Jej pamięć umiała stwarzać fakt błyskawicznie. Kłamstwo pojawiało się nagle i nie miało z nią nic wspólnego – przynajmniej tak to widziała. Wyglądało to zawsze na schemat i jak schemat było też powtarzalne, dlatego Tomasz nazwał to stanem klasycznym:

– Jestem u koleżanki – mówiła Dagmara do słuchawki. – Tak... Nie, nie... dobrze, jeszcze trochę i wrócę... Pa, kotku. – A następnie zwracała się do Tomasza, z niepokojem, po wyłączeniu komórki:

– *Sick situation... Sick situation...* – Jakby któryś – on albo Adam – nie istniał.

W takich chwilach objawiała się Tomaszowi jego strona naturalnie i całkowicie ataraktyczna. Nie podziwiał tej swojej nieczułości, była wygodna, nic więcej. Przeważało zresztą w tych dniach uczucie osamotnienia, nieznośne, tak wartko płynące przez niego, że zanotował wyłącznie: budzenie się, zasypianie, wstawanie... – i tak dalej, aż zsumowało się to jednoznacznie w doznanie porażającej słabości. Uleczalnej metodami ciała...

W środku ciężkiej nocy lekka czekolada, endorfinowa uczta dla wymęczonego umysłu. W myślach było to wszystko, czego doświadczyli, to wszystko, co poznali, a także to, czego chcieli. Wciąż wiosna, gorycz i Nemezis, dobra znajoma Tomasza, która los czyjś układa dla zemsty. Bo jest uosobieniem tego smaku prawdziwie boskiego. Nakazuje i poleca spłacać zaciągnięte nawet dawno długi, wykonywać powierzone zadania, choćby były nie do wykonania. O tym pomyślał Tomasz, kiedy wstał cicho, podreptał do kuchni i zaparzył herbatę. Miała kolor czerwonej ziemi i smakowała kwiatami. Pociągając łyk za łykiem, do dna, zaczął planować, co jeszcze napisze w liście, co przemilczy i o czym na pewno wspomni. Po części podpowiadało mu ciało, po części czuł nakaz gdzieś z duszy. Nie było łatwo wytrzymać kolejne, znaczone osamotnieniem spotkania. Olfaktoryczna nadwrażliwość kazała mu ssać własne palce w poszukiwaniu resztek perfum, któ-

re dziś miała znowu na sobie. Czuł się tak, jakby leciał. Jakby stał się pawim piórkiem z buddyjskiej przypowieści. Czuł się, jakby miał w ręku wachlarz i próbował złapać nim piórko. Opadające bez żadnej metody. Czuł, jak bezskuteczne są próby utrzymania wachlarza w bezruchu, przy rękach zmęczonych i drżących. Nagle schwytywanie piórka wydało mu się pozbawione sensu, śmieszne i niemożliwe. Musiał skoncentrować się cały, by nie przestać wierzyć, że mu się w końcu uda. Dłonie pachniały jeszcze bardzo wyraźnie, trochę karmel, trochę smutek dzieciństwa. Otwierał przymknięte przed momentem oczy, wbijał wzrok w białą ścianę, w kalendarz z obrazem kochanków, w lodówkę. Wypijał gorącą herbatę, podnosił się, wracał do łóżka. Kładł się w zimnej pościeli i czekał. Nie było wachlarza, nie było piórka, nie było już rąk drżących i zmęczonych, i tylko jego puls bił szybciej, nierówno. Zasnął i śnił pocałunek.

– Pocałunek? – cmokał złośliwie pajak.

– Tak, pocałunek. Angażujący dotyk, smak, węch, a nawet wrażliwy słuch. Głęboki jak nigdy dotąd, po końce nerwów, w samo przedpole orgazmu. Doskonałość w ruchach dwóch języków, imitujących miękkie i ciepłe ruchy połączonych ciał. Niezauważalne i nieuniknione stapianie się w jedność subtelną, skończoną, niepozwalającą odróżnić w tej chwili mężczyzny od kobiety, kobiety od mężczyzny. Nic z drapieźności, nic z seksu, nic ze zwierzęcych odruchów. Nic z niekontrolowanego okrucieństwa i niszczenia. Gra chmur i deszczu, lecz nowa, bez chmur i bez deszczu, łagodnie. Delikatne karmienie samym sobą i ofiarowanie, delikatne przebudzenie w sekundę po kojącej metamorfizie w bóstwo.

– W bóstwo? Naprawdę w bóstwo? A w rewanżu? Czy jest jakiś rewanż?

– Pomyłka. Ale z pamiętką na zawsze. Z wielką pustką łóżka zajętego wyłącznie przez jedną osobę. Z mrowieniem w karku, w stopach, w udach. Z doznaniem rozpołowienia na myśl, że oto tortura miłosna objawiła się w całej swojej nieludzkiej potędze. Nie zadowolając się widocznymi ranami. Dzieląc przebudzonego mężczyznę w samym środku na części: na ciało i to, co poza nim. Być może na ciało i na nic, być może na ciało i duszę. W ten

sposób – zanotował Tomasz – wspomnienie wieczoru może stać się sprzymierzeńcem rozpacz. Patrzymy wtedy, jak życie ofiary zaczyna spiskować z katem. Spiskują tak chyba od zawsze, gdy w grę wchodzi umysł i czas.

ROZDZIAŁ XV

„Liubow zła, poljubisz i kozła”

Na wyjazd do Petersburga Dagmara cieszyła się już od dawna, ponieważ miała tam przyjaciół, znała to miasto i lubiła je. Tym razem miała też powód ukryty, po raz drugi chciała uwolnić się od obu mężczyzn, od Adama i od Tomasza, a gdyby to było możliwe, najchętniej uwolniłaby się również od wspomnień o innych, najchętniej zapomniałaby siebie.

– Myślisz, że to możliwe? – spytała Justyna, która z nią pojechała; obie były oddelegowane do załatwienia kontraktu, chodziło o większe pieniądze. – Myślisz, że mogłabym ich zapomnieć? Z tym wszystkim, w czym brałam udział?

– Przeszkadza ci to, że nie możesz?

– Czasami tak, czasem nie...

– Więc o co chodzi? *Liubow zła, poljubisz i kozła*, jak tu mawiają.

Wieczorem poszły zaszaleć, adres „Purgatorium”, ekskluzywnego klubu nocnego podał im nowy kontrahent, strzaskany na heban Wołodia, apetyczny, jak powiedziała Justyna. „Klub w Petersburgu, klub w starym Pitrze” – nuciła Justyna, kiedy już bramkarz o wejrzeniu świra wpuścił je do środka, mruczając na widok biletów „idi, idi, charaszo”. Muzyka jak na paradzie – pomyślała ogłuszona Dagmara, decybel na decybelu.

– Co pijesz? – spytała Justyna.

– A co tu się dzisiaj pije?

– Myślę, że kokainę – Justyna zaśmiała się krótko. – Chcesz, to załatwię, poczekaj, na pewno tutaj mają.

Za chwilę przyniosła niedużą przezroczystą torebkę, zrobiła profesjonalną ścieżkę i podała Dagmarze wyczarowaną nie wiadomo skąd słomkę.

– Przygotowana byłaś – Dagmara popatrzyła zdziwiona, nie poznając koleżanki, o której nikt nie wiedział, że regularnie bierze.

– Co chcesz! W pracy stres, w życiu stres, trzeba się wyluzować. A zresztą, tutaj to norma, więc nie wybrzydź, bierz. To najlepsze, co tutaj mają. No, Dagmara, bawimy się.

– A nie masz czegoś innego?

– Nie chcesz koki, spróbuj tego – Justyna podała Dagmarze małą kolorową kuleczkę.

– Co to?

– Zobaczysz...

– Ale co – zobaczę?

– Wierz mi, to będzie coś ekstra.

– Nie powiesz mi, co to jest?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie wiem. Ale tutaj podobno jest modne.

Dagmara popiła kuleczkę. Rozejrzała się po zadymionej sali. Stroboskopowe światło cięło obraz na ostre kawałki. Justyna wstała i poszła kołysząc krągłymi biodrami, stanęła na brzegu sali i zatańczyła jak wszyscy.

W jednej chwili Dagmara zobaczyła jak sala zmienia się i wypełnia pajęczyną ze światła, wszyscy szamoczą się w sieci, tylko w rogu siedzi trzech małych mężczyzn, jeden śniady, jeden skośnooki i Arab, siedzą cicho i coś mówią do siebie, nie zwracając uwagi na resztę. Spróbowała usłyszeć, co mówią, nachyliła się w tamtą stronę. Pajęczyna także się przesunęła, jakby chciała wydostać się z tego miejsca.

– Wszystko, także te śmieszne uczucia, w rękach Allaha, oby imię jego świeciło w przestworzach na wieki – powiedział ten co wyglądał jak rozbawiony czymś Arab.

– Jednakże – przerwał mu stary brodacz o wyglądzie odklejonego od rzeczywistości mistyka – jednakże istnieje Absolut i Bóg jest nim bez wątplenia. A to znaczy..

– Nie wiercie słowom, panowie – wtrącił się skośnooki. – Wszystko to dzieje się w pustce. Allah i Bóg, i Absolut. A słowa to tylko gmatwają...

– Tak czy tak, wszystko, razem z tą twoją pustką, w rękach Allaha – Arab nie wyglądał na przejętego, jakby przebieg tej całej rozmowy był mu znany od niepamiętnych czasów. Nad głowami rozmawiających, zauważyła w pewnej chwili Dagmara, latał motyl, jakby też słuchający, co powiedzą ci trzej, ale latał, uważając na sieć, w której oni najwyraźniej czuli się bardzo dobrze. Jednak jemu – pomyślała Dagmara – taka sieć mogłaby zrobić krzywdę.

– Jakub! – krzyknął nagle Azjata. – Jakub, chodź do nas, Jakub. – Z tłumu wyszedł ostrzyżony na krótko mężczyzna w luźnej koszuli i dużych okularach.

– Siadaj Jakub – zachęcił go Arab. – Panowie – zwrócił się do skośnookiego i Żyda – poznajcie Jakuba Winiarskiego. Podobał mu się mój traktacik... skorzystał, bestia...

– Daj spokój – przerwał mu nowoprzybyły. – Skorzystałem, fakt. Nie ja jeden. Poza tym – wskazał głową na Żyda i Azjatę – ich dziełka też lubię... Chociaż ty – zwrócił się do wyższego – ty wolałeś, jak pisali za ciebie. – Żyd wyglądał na urażonego, lecz nie próbował zaprzeczać.

– A napisałeś coś ostatnio, Jakub? – Arab przerwał chwilowe milczenie. – Słyszałem, że jakieś miłostki, jakieś przygody duszy spisujesz... Do biblioteki zaglądasz... Szukasz...

– Już ci mówiłem, daj spokój – Jakub uśmiechnął się do całej trójki. – Takie tam robię... sny... komuś... Nic bardzo dużego... Po prostu... trochę się bawię...

– A jak ci się podoba Petersburg? – zapytał po chwili Żyd, któremu najwidoczniej minęła już cała złość.

– Nie wiem, nigdy nie byłem – odpowiedział poważnym głosem Winiarski.

– A teraz? – Żyd popatrzył na niego uważniej. – A teraz gdzie jesteś, co?

– Myślę, że jestem w Warszawie. W domu.

– Wiesz co, z tobą jest coś dziwnego – Żyd po raz drugi popatrzył na Jakuba nieufnie. – Choć właściwie... ja też, swego czasu... Ale... kiedy to było...

– No to o czym teraz piszesz, Jakub? – Arab ponowił pytanie, przerywając Żydowi.

– O mężczyźnie – odpowiedział Winiarski – który zakochał się we śnie i próbuje opisać, co widział. Wymyślam mu sny, sny w snach, przygody, bawi mnie jego niewiedza. Czasem każe spotykać mu się w myślach z wami... Bez urazy, to taki żart... W ogóle najzabawniejsze jest to, że jemu się ciągle zdaje, że notuje to, co sam przeżył, przeczytał lub wyśnił. A potem bardzo się dziwi, bo czasem mieszam mu wszystko, przestawiam daty wydarzeń, z rozpaczy wrzucam go w radość.. I każe mu znowu notować, słyszeć głosy i mówić do siebie... Już mówiłem, to zabawa snami... Dałem mu nawet – zaśmiał się – przebłysk wiedzy o moim istnieniu...

– A o pięknie napisałeś, co? – Arab powiedział to tak, jakby to była najważniejsza sprawa – A o tym, czym jest zło, napisałeś? – dodał wpatrując się w Winiarskiego z napięciem. – Wiesz, że piękno i zło...

– A o pustce? – wtrącił się skośnooki. – O pustce napisz, Jakub, koniecznie...

– Powoli, kochani, powoli. Nie wszystko naraz – Winiarski przerwał ten festiwal życzeń – Jeśli o czymś nie napisałem, to może, bo ja wiem, kiedyś jeszcze napiszę. A jak nie ja, to ktoś inny, spokojnie. Póki co bawi mnie tamten facet, Tomasz. Bawi mnie jego świadomość, a raczej jej wielki brak... Jego rozterki, pragnienia, chwile szczęścia i wątpliwości... Wszystko mu wymyśliłem, a on zapisuje zeszyty, łudząc się... – Winiarski przerwał. – No, do zobaczenia, panowie – podniósł się naraz gwałtownie. – Na mnie już czas. Muszę mu jeszcze dziś wymyślić nowe wrażenia... Tomasz czeka na swoją Dagmarę, którą wysłałem w podróż...

Dagmara trwała nieporuszona kilka godzin (opowiedziała jej to potem Justyna) i nie pamiętała, co mówiła ani co się z nią działo. Nie pamiętała nic i wstydziła się pytać Justynę.

– Mówiłaś coś o pajaku nazywanym Brahłą, o sieci wszechświata, którą tkła – Justyna próbowała przypomnieć jej poprzedni wieczór. – Mówiłaś coś o kabale, o Allahu, takie dziwne rzeczy.

Bełkotałaś i nie rozumiałam, *sorry* – uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Co mi dałaś – zapytała Dagmara. – Co to było, ta kuleczka, co?

– Jeden taki dał mi to razem z koką. Taki krępy, może widziałaś, stał obok, cały czas ruszał się jakoś pajęczo. Przez moment to się go nawet bałam.

– Dobrze, że jutro wracamy – zamyśliła się nagle Dagmara. – O tych zwidach, proszę cię, nie mów nikomu. Rozumiesz? Ani słowa. Nikomu. Pamiętaj.

Z samego Petersburga także nie zapamiętała wiele, nie poszła nawet popatrzeć na ciemną, spienioną Newę. Całą drogę myślała o strzępach obrazów wywołanych przez nieznaną pastylkę, o trzech mężczyznach siedzących w gigantycznej sieci, którzy mówili o czymś, ale nie pamiętała o czym; myślała o sprężystej pajęczynie, i o tych ludziach, tańczących, pijanych, naćpanych, którzy ruszali się, jakby próbowali zrzucić ze swoich ramion oślizłe, boleśnie przywierające sznury. Widziała to jak na zwolnionym filmie. Każdy ruch tego niby tańca, każdy skręt obolałego ciała. W swojej pamięci Dagmara znalazła też dziwne wrażenie, że przez moment była tymi wszystkimi ludźmi, tańczącymi i próbującymi gdzieś wyrwać się z niewidzialnej sieci. Pomyślała też, że kuleczka, która zapewniła jej te atrakcje, dała jej w jednej chwili silniejsze niż cokolwiek innego poczucie więzi i jedności ze światem. Jakby była w tamtym momencie i tymi, którzy obok bawili się w klubie, i tymi, których chciała zostawić w Warszawie.

Pamiętał...

Pamiętam, jak chciałaś, żebym przez telefon opowiedział ci, jak cię rżnę; mówiłem ponad godzinę, słuchając twojego oddechu.

Pamiętam momenty jedności i długie godziny osobno.

Pamiętam, jak nic nie mówiłaś, porównywałaś, liczyłaś.

Pamiętam, jak oddawałaś kasety wideo do wypożyczalni.

Pamiętam pierwsze spotkanie, twoją błękitną sukienkę i kartę bankomatową z fotografią, na której miałaś blond włosy.

Pamiętam uczucie, kiedy wyobrażałem sobie twoją kruchość, *tendresse* na twój widok.

Pamiętam twoją reakcję na mój pierwszy list do ciebie: zaskoczenie, niepewność, zainteresowanie.

Pamiętam, jak czasem mówiłaś: *no napisz coś, napisz, no napisz*.

Pamiętam, że łudziłem się długo.

Pamiętam, jak ci skradziono samochód i zadzwoniłaś do mnie w środku nocy, ponieważ jego nie chciałaś niepokoić.

Pamiętam, że chciałem mieć z tobą dziecko i że powiedziałem ci o tym.

Pamiętam, że myślałaś o dziecku z nim, ale on, mówiłaś: *nie nadaje się na ojca*.

Pamiętam, że potem już tego dziecka z nim nie chciałaś.

Pamiętam, jak wróżyłem sobie z *I Cing* przed spotkaniami z tobą.

Pamiętam, że ty też wróżyłaś z *I Cing*.

Pamiętam wróżbę na pierwsze spotkanie z tobą: heksagram czwarty: *Młodzieńcza głupota* (zignorowałem...).

Pamiętam, że potem we wróżbach mnie wyszedł *Kocioł ofiarny*, a tobie *Studnia*; i że wszystko sprawdziło się w rok.

Pamiętam, że jak nikt umiesz manipulować ludźmi.

Pamiętam *Luk Tryumfalny* i to, że to dla mężczyzn pouczająca lektura.

Pamiętam, że ty lubiłaś *Kobietę zawiedzioną* i nieobcy był ci *Harry Potter*.

Pamiętam, że wyjątkowo źle znosisz krytykę.

Pamiętam, że o wiele za dużo zależy od twoich rodziców.

Pamiętam, że chciałem pomóc ci przy chorym ojcu, a ty popłakałaś się ze wzruszenia – i odmówiłaś stanowczo.

Pamiętam, że jesteś zodiakalnym Rakiem, masz ascendent w Skorpionie, urodziłaś się w chińskim roku Małpy, a twój wschodni towarzysz drogi to Koza; dzięki temu zestawieniu – przekonują astrologowie – masz talent do kokietowania, uwodzenia, a także do tak zwanego nieświadomego *łamania serc*; śmieszyło mnie to przez jakiś czas.

Pamiętam sporo głupot.

Pamiętam, jak po raz pierwszy zapytałaś mnie, czy nie wstydzę się ciebie, co najpierw mnie rozśmieszyło, a potem zastanowiło.

Pamiętam, jak przyjeżdżałaś pod mój dom, dzwoniłaś z komórki, żebym wyszedł, a kiedy już byłem przy tobie płakałaś i powtarzałaś: *mnie nie ma, mnie nie ma*; przytulałem cię i uspokajałem.

Pamiętam, jak dałem ci do przeczytania *Bebop de luxe* i jak po tym kupiłaś *Operę*.

Pamiętam, jak chciałem przeczytać ci na głos ten fragment: *Po śniadaniu mężczyzna pracuje w swoim pokoju, wchodzi kobieta i opuszcza stanik, mężczyzna bawi się sutkami, bawi się wilgocią kobiety, kochają się, potem czuła godzina.**

Pamiętam, że masz głos, który czasem mogłem słyszeć w reklamach.

Pamiętam, że pracowałaś w radio; mamy stamtąd wspólnych znajomych.

Pamiętam, jak siedzieliśmy w twoim samochodzie.

Pamiętam *Shreka* w multikinie i ogródek „Zielonej Gęsi” po filmie.

Pamiętam, jak wymazałaś moje usta swoją wilgocią i jak prosiłem o więcej.

Pamiętam perfumy Angel, mieszankę zapachu waty cukrowej i wspomnień.

* Fragment prozy Andrzeja Sosnowskiego *Bebop de luxe*.

Pamiętam twoją wygoloną pizdę.
Pamiętam twoje przy mnie masturbacje.
Pamiętam twoje orgazmy z głową na moich kolanach.
Pamiętam twój sen o uciekającym kameleonie.
Pamiętam, że zastanawiało mnie, czemu nie chcesz w ogóle dostrzec, że coś czuję.
Pamiętam, jak wymyślałem dla ciebie usprawiedliwienia.
Pamiętam, że jego poznałaś przez internet.
Pamiętam, że z tobą pierwszą miałem także ochotę rozmawiać.
Pamiętam, jak roześmiała cię mucha, którą robiłem zezując i zacierając wierzchy dłoni o siebie.
Pamiętam twoje recepty na stres: *tiramisu*, przytulanie, żarty.
Pamiętam, że mówiłaś mi o swoich i o jego lękach.
Pamiętam *Bajkę o smoku i kozie*, którą – dla ciebie – napisałem.
Pamiętam, jak opowiadałaś o swojej psychoterapii.
Pamiętam, że przy tobie przydawała się wiedza o depresji.
Pamiętam, że nie chciałaś się rozwieść i wolałaś żyć z mężem w separacji.
Pamiętam twoje szkła kontaktowe.
Pamiętam numer twojego telefonu.
Pamiętam, ile miałaś kotów.
Pamiętam, że on ma olbrzymią płytotekę i że chciałby być dziennikarzem muzycznym.
Pamiętam, że byłaś w Londynie, kiedy muzułmańscy fundamentaliści ogłosili *fatwę* na Rushdiego, i że nie byłaś tam sama, lecz – z *dżentelmenem*, kolegą.
Pamiętam, że pracowałaś za dużo: dla siebie, dla niego, dla rodziców; każdemu dając swoje pieniądze i czas.
Pamiętam, że przy mnie odpoczywałaś.
Pamiętam, że czas nie leczy niczego.
Pamiętam, jak już wtedy czułaś, że starzejesz się bezpowrotnie i źle.
Pamiętam, że w ostatnich listach do ciebie skracałem twoje imię w nagłówku do jednej litery; na więcej nie miałem ochoty, a może i siły; nie zgadniesz, a ja już nie umiem powiedzieć, jak było naprawdę; i tak musi zostać (tak będzie).

ROZDZIAŁ XVI

Piękny i poszukiwany stan – zła gorycz...

Anioł nad głową kabalisty i mistyka Lurii nie poruszał skrzydłami, bo ich nie miał. Izaak Luria, żyjący w stałym kontakcie z niewidzialnymi światami, wystarczająco często sam przebywał w miejscach ukrytych i tajemniczych, padając ofiarą wizji i dosięgającej go łaski bożej, by wiedzieć, jak anioł wygląda i nie dziwić się brakowi skrzydeł. Przejawy czułości aniołów i okrucieństwa demonów Izaak Luria znał aż za dobrze i często omawiał je ze swoimi uczniami lub też tymi, którzy pragnęli go słuchać. Przemierzając te niesamowite przestrzenie, jak uliczki rodzinnego Safedu, Luria natykał się na idee wywracające wiarę ortodoksów do góry nogami. Tak, był kabalistą i mędrce, który jednak nie pozostawił dzieła, a zafascynowanym jego postacią uczniom, namawiającym go do spisania posiadanej wiedzy, odpowiadał spokojnie i uroczyście, że to niemożliwe, ponieważ wszystko jest powiązane ze wszystkim. Ledwo więc usta otworzył, by jakąś rzecz wypowiedzieć dokładnie, a wnet działo się tak, jak gdyby przez wyłom w umysłowej tamie przedmioty, uczucia i ludzi zalewała fala słów gęsta i niepowstrzymana. Ta powódź w nim, którą mógł obserwować tylko, trwała krótko, lecz nie zostawiała niczego. Jakże więc wypowiedzieć miał wszystko, co dusza jego przyjęła i jakże miałby napisać to w zwykłej książce? Potem Luria nabierał powietrza i pozwalał ruszyć fali za falą. Jak może zaistnieć wszechświat – dopytywał się ekstatycznie – jeśli Bóg w swojej naturze jest wszędzie, nie zostawiając wszechświatowi miejsca? Żeby świat mógł zaistnieć – dowodził – Bóg musiał zacząć kurczyć się, wycofywać i znikać. Jeśli wszystko jest we wszystkim, a Bóg jest w każdym stworzeniu, to...

Uczniowie dbali o mistrza i spisywali co tylko udało się im zapamiętać. Najbardziej poruszał ich obraz resztek boskiego światła, pozostawionych w ciemnościach stworzenia, jak resztki oli-

wy w butelce, jak resztki ożywczego wina. Te iskry trafiły do raj, ale wzmocniły też piekło, gdzie odtąd wzbudzają głębiny wielkiej, lucyferycznej otchłani. Tomasz patrzył przez błyszczący szkarłat w kieliszku, szukając wzrokiem książki, z której dowiedział się o żydowskim mistyku, nie mając pewności, czy nie pokręcił czegoś. Od dawna nie pił i teraz odczuwał już lekkie, alkoholowe znużenie. Z powodu którego Luria oddalał się od wyczerpanego w świetlnej, nieprzeźroczystej bańce. Mogącej gdzieś niedaleko, właściwie wszędzie, pęknąć. Właśnie historie umieszczone w czasie urojonym tworzą zamknięte powierzchnie, jednorodne i samowystarczalne, podobne do kuli, unoszącej się z naszym Lurią. W takim wszechświecie każde zdarzenie daje się przewidzieć zgodnie z prawami fizyki. A jednak świat jest, jaki jest i gdyby był całkiem inny, nie byłoby nawet komu potwierdzić, że właśnie jest całkiem inny.

– To też jest żelazna reguła?

– Okazuje się, że najbardziej prawdopodobne są historie z niewielkimi zaburzeniami.

Alkohol porusza się wolno w odstawionym na stole kieliszku. Nieruchomieje lub wyłącznie tak jesteśmy w stanie zobaczyć to niesamowite zjawisko. W przestrzeni trójwymiarowej, znanej. Spadający wprost w sen Tomasz drobny Luria uśmiecha się tajemniczo i wyrozumiale. Patrzy w twarz wyzwolonego na ten moment z miłości, zanurzonego w alternatywnej historii. Uwolnionego naprawdę, ale jedynie tu i w tej chwili.

Wcześniej rano Tomasz poszedł do w opustoszałego lasu na długi, samotny spacer. Słońce wschodząc rozżarzało liście i poszycie, które jemu, krótkowidzowi, wydawały się lśnić na obrzeżach. Cienkie włókna rozświetlały od wewnątrz każdy zakątek doskonale znanej mu podmiejskiej głuszy – nie mogły jednak wejść w niego, nasycić go drobinami jasności. Szedł przybity, spokojny i doszczętnie wypełniony niczym, najkoszmarniejszym niczym, które boli, jak po utracie wszystkiego. I tak przez całą drogę, z chrzęstem piachu pod adidasami, z suchymi dłońmi za-

ciśniętymi w pięści w kieszeniach ciężkiej, dżinsowej kurtki. Z myślami nietrzymającymi się prostych konstrukcji zdaniowych – po nocy mar i widziadeł, bezsennej gdzieś tak od połowy, kiedy to wstał, włączył *Beautiful fig* Lindsaya Bucklanda i próbował wyłączyć świadomość, powtarzając wciąż tamte słowa:

– Nie mamy się co oszukiwać, my już poszliśmy do łóżka.

– A chcieliśmy?

– Jestem pewna, że bardzo.

Przyjechała poprzedniego dnia, tuż po dwudziestej pierwszej. Weszła na górę, *na chwilę*, chociaż z początku nie chciała. Stopniowo, gdy do niej mówił, rozluźniała się i stawała ufniejsza, aż ułożona z głową na jego kolanach i piersiami, które pozwoliła delikatnie pieścić (jakby nie należały do niej, ale do jakiejś nieznannej, zupełnie innej kobiety), przymknęła oczy i udawała, że śpi. Tego dnia była wyczerpana. Dużo pracy, cotygodniowe zakupy w Tesco, list od Tomasza, w którym pisał na temat odarcia (*To już nie obnażenie. To coś, czego nie umiem nazwać. Może odarcie byłoby dobrym słowem. Odarty, jak wyjęty z niewidzialnej, pozwalającej czuć się dobrze skóry – na wierzchu mam całą wrażliwość. Możesz jej nie dotykać. Możesz ja całą wziąć w dłoń. Możesz się śmiać albo nie śmiać. To jest. Chcę tylko, żebyś o tym wiedziała.*). Późny powrót do domu, do zaspanych kotów i Adama, coraz sprawniej udającego tęsknotę i spokój, a wieczorem ta nagła decyzja – i przyjazd. Może wpłynęła na nią rozmowa telefoniczna, pełna obaw i pocieszania?

– Ja jestem starej daty. Mężczyźni wolą naiwne, dwudziestoletnie panienki, jędrne cycki, brak zmarszczek... Cellulitis nie jest podniecający... – Sylaba, smutek, sylaba. Głos po utracie złudzeń. Tomasz próbował wybić ją z tego stanu, rozbawić, zapewnić, że jest inaczej niż myśli:

– Mężczyźni wolą kobiety, to chłopcy wolą dziewczynki. A cellulitis i zmarszczki...

– A ty? Ty jesteś takim właśnie mężczyzną? – nie pozwoliła mu dokończyć myśli.

Przekomarzanie, śmiech, a w finale – niespieszny i odnawiający seks... Dobrze by było, uroczo, lecz to jedynie fantazje. Żadnego w tej scenie seksu. Nic. Ale jeszcze nie takie nic, które boli.

Tylko prośba wymantrowana trzykrotnie, zaklęcie na cwieczorną samotność:

– Przyjedź. – I jej odpowiedź niepewna i tradycyjnie już. (A teraz jest. Oddycha coraz spokojniej i głębiej. Bezpieczna i oddalona, niekonsekwentna: – Nie chcę do ciebie, skarbie. – Jak gdyby mieszkał w leprozorium przykrych, codziennych trudności.) Miły przerywnik w życiu kobiety dojrzałej, znającej mężczyzn i chłopców. Oglądającej codziennie w lustrze zmarszczki, wygładzającej palcami niedający wygładzić się cellulitis. Szczęśliwej, lecz niepotrafiącej powstrzymać przestraszonego kiedyś dawno serca. O tym myślał w drodze powrotnej, o świcie. W blasku włóknistych cząstek dogasających na liściach. Wśród drzew jak na znajomym cmentarzu. We mgle delikatnej, kroplistej. Sam.

Później, po spacerze zielonym lasem w świetlistej godzinie świtu nastąpiły noce, przyjmujące formę koszmarów trwałych i oczekiwanych. Wysypywał się wtedy z niego piach, lała woda jak z pękniętej beczki, kształty ciała zmieniały się nagle, stawał się czymś o niejasnej konstrukcji i nie znał przypisanej mu roli – jeśli była, nie wiedział nic o niej. Jakby ciało ze snem wyrzucało poza umysł niepotrzebne toksyny, resztki myśli szerniały od dymu, rozgrzanych od niegasnącego ognia, który niszczył i pustoszył go stale. Jakby umysł wchodził w tryb przeżywania wedle reguł jaźni okaleczonej, która znów zawładnęła nim ostrzej, niszcząc spokój i homeostazę. Pamiętał za dużo, za dobrze. Wrócił do niego wtedy jeden ze snów o nieznanym, chyba wschodnim – to nie było pewne – mieście. Jechał po nim tramwajem, palił papierosa. Nikt nie reagował, a on chciałem znaleźć się w samym środku. Wysiadł na jakimś placu, obcy ludzie wskazywali mu drogę. Szedł obok trzymającej się prosto staruchy, prowadzącej go do wyznaczonego celu. Część z tego Tomasz zapisał w liście do Dagmary. *Idziemy grzbietem długiej i wysokiej góry, widzę w dolinie kolorową starówkę, to jest to, czego szukam, to centrum. Mijamy stragany, jest ich przy tej drodze pełno, jeden jest niepilnowany i leżą wokół niego rozrzucone klejnoty, ob-*

rączki, pierścionki ze srebra i złota, tyle że w ziemię wdeptane i brudne. Nie zatrzymuję się, mimo ciekawości, dopiero kiedy dostrzegam kątem oka włóczęgę, który od dłuższej chwili musiał iść za mną i staruchą jak cień, i który teraz chciałby zebrać klejnoty – zostawiam starą i szybko wracam, by pozbierać to wszystko przed nim. Jestem szybszy, mam kieszenie wypełnione drogocennymi przedmiotami i teraz już spokojnie idę za staruchą na plac, tam, gdzie mnie droga prowadzi. Nagle w mieszkaniu, na wprost góry mięsa o konsystencji galaretowatej i śliskiej, ty przy stole tniesz nożem książkę o buddyzmie, a kiedy pytam, dlaczego – odpowiadasz, że jest ci już niepotrzebna. Ze kiedyś, w depresji, tak. Ale teraz, odkąd jestem, już nie. I ten spokój nie do powtórzenia, gdy widziałem, jak wróciły ci siły.

Nie potrafił podjąć się analizy. Pamiętał wciąż tamten rozcięty na krzyk i na ciszę wieczór, pamiętał, jak mówił do niej, już gotowej do wyjścia, speszonej:

– Poza szczęściem, nieszczęściem i żalem, miłość jest czystym smutkiem i intensywnością doświadczania straty. A poza tym – uśmiechał się słabo – musi być gdzieś opisany ten rodzaj... ten rodzaj tantry... naszej... w której robi się to wyłącznie spojrzeniem.

– Ale jak? – słyszał każdą strunę wysuszoną w jej krtani. – Powiedz jak?

– W której robi się to wyłącznie oczami... – Powtórzył, patrząc prosto w jej oczy. Od środka był jednym rozdarcim, jego skóra niewidzialnie pękała. A kiedy przełknęła ślinę, wiedział, że też to poczuła. Tylko przez moment, a jednak. Przedpokój, pokój i kuchnia jeszcze długo po jej wyjściu pachniały. Poprosił, żeby rozpyliła *Angel* i zrobiła to, uśmiechając się na pożegnanie. Intensywnie pachniało też suchym potem, delikatnym i niepodrabialnym. Trochę klęską i straszliwym głodem, który dopadł go nagle, zwierzęco.

– To jest takie piękne – postarała się mówić wyraźnie – bo wstanę i zaraz stąd pójdę.

Zaprzeczał niezdarnie, jak przez sen. Tak wpatrzony w biel ściany przed sobą, jakby stawał się półprzeźroczystym widmem. Tak się czuł i tak wtedy trwał. W formie widma, w połowie istnienia. Lampa tliła się żółto, jak chora. Ściany chwiały się, zacho-

dziły na siebie. Stołek w kuchni był przyjemnie chłodny. Herbatę, którą zrobił, gdy przyszła Dagmara, wystygła.

Pięć poziomów, siedem stopni ekstazy. Perłowy lingam w joni, mięsista joni w lingamie. Niewidzialne, lecz wyczuwalne palcami. Obecność męskości w kobiecie i kobiecości w mężczyźnie. Tomasz i jego wewnętrzna Dagmara. Dagmara i jej wewnętrzny Tomasz. Okaleczani, pieszczeni, samotni. Przypominani, obserwowani w pamięci. W doświadczeniu totalnego spełnienia. W jego kolejnych odsłonach: doświadczenie preorgazmiczne, sporadycznie orgazmiczne, nietrwale, przez całkowite orgazmy – do wieloorgazmiczności – i dalej, przez wszystkie czakry: *muldaharę*, *svadhistanę*, *manipurę*, *anahatę*, *wisuddhę*, *adzną*, do najwyższej i nieosiągalnej zwyczajnie *sahasrary*, najwyższego szczytu.

– Czytałam twój list w pracy i doprowadził mnie do orgazmu.

– Sam? – spytał.

– No nie, trochę musiałam mu pomóc... I pomogłam. – Z cichym tryumfem w głosie.

Gorycz to piękny stan – zapisał na skrawku kartki Tomasz – popadam w nią bardzo łatwo. Na przykład wyobrażając sobie, jak cicho, zaczerwieniona, wstajesz od komputera, wychodzisz do toalety i tam, oddychając jak przy kochanku, rozbierasz się i onanizujesz, czytając, jak pieprzyliśmy się delikatnie oczami. Jak dwa obłaskawione zwierzęta, dwie chmury. Zbliżeni, lecz nieobjęci. Czytając moją opowieść o tym, że zapach perfum, tę nutę jak z waty cukrowej i seksu, czułem długo po twoim wyjściu. Że zlizywałem niewidzialne krople z ręki, z przedmiotów, których dotykałaś, z miejsca, w którym przez tę godzinę byłaś obecna bardziej niż kiedykolwiek w życiu jakiegokolwiek innego mężczyzny. Miałem wrażenie, że przez mój kręgosłup przedziera się złoty lub diamentowy wąż. Wżera się w plecy i zsuwa kręg po kręgu, od czakry gardła do płci, od pasma nerwów wyjętych i pozostawionych na żer tego węża, do pasma ciszy, gdzie trwałem – długie minuty, godziny – bez czucia. Że nie wiedziałaś o tym i

dalej nie będziesz wiedzieć. Powstrzymać się nawet nie próbowałem. Otwierałem powoli usta, zamykałem oczy – i pozwalałem sercu bić coraz szybciej i szybciej. Poznanie jest zawsze drogie. Nawet jeżeli dotyczy setnego ułamka sekundy, w której prawdziwa staje się cała przesada uczuć, znana dotychczas jedynie z filmu i literatury. Nie ma odwrotu, kiedy patrzy na ciebie Nemesis. Nie ma go nawet na końcu, kiedy krzyk spływa krwią i w tym krzyku jest i prośba i pewność, że nigdy nie podejmie się nikt ratowania.

– Dlaczego jej tak powiedziałaś? – głos pająka, skądś. Może zresztą znikąd.

– Bo bardzo już tego pragnęła. Bo myślała o innym, zmysłowym przez nią Tomaszu, nie o mnie. Ja byłem tylko pretekstem. Bo długo myślała o słowach, które, jak fantazjowała, tamten ułożył dla niej. I tak dalej. Przecież wiadomo, w czym rzecz. Chciała go zerżnąć, osiąść, mieć. On chciał ją zerżnąć, osiąść, mieć. Cokolwiek by o tym nie powiedzieć: tak było. Bardzo chciał – fantazjowała często – dać jej od siebie ten jeden jedyny orgazm. Bardzo chciał jej go dać, całą wieczność. Rozumiesz? Wiedział, że ona potrafi poczuć się Śiakti wspaniałą, ekstatycznie zjednoczoną z Śiwą, pamiętał o jej buddyście. Rezultatem byłby spieniony nektar, wypełniający ich wszechświat błogością. Osiągnęłyby legendarne siedem szczytów ekstazy, każdy wyższy i potężniejszy od poprzedniego. Aż do ronienia po udach, do ejakulacji, spełnienia. Do szybkich, bezgłośnych strumyczków z przemienionej w kwiat lotosu joni. *Amrita*, ów poszukiwany smak, uważany jest za duchowy pokarm, czystą radość ożywczą dla serca, prostą siłę dla kobiet i mężczyzn. I ponoć wcale go nie ma.

Odkrywam w sobie część życia – zanotował – którą nie w pełni posiadam. Znaczny obszar w psychice, o którym nie umiałbym nic konkretnego powiedzieć. Czy tam jesteś teraz, miłości? W takim stylu możemy to pytanie zadać, ale zaraz trzeba je będzie wybaczyć. I o tyle jedynie, nie więcej, o ile ktoś, kto tak

pyta, tkwi stale w uniesieniu tak mrocznym i znacznym, że zrywa wszystkie zasłony i tajemnice odsłania. Nie inaczej. Lecz kto zna dzisiaj to piętno, jego znak wypalony w komórkach. Kto pozwoli tak mówić do siebie? Tomasz siedział i milczał i patrzył; odrętwienie bez pragnień, bez jaźni. Błękit zmierzchu opadał jak płatki. Nie ze śniegu, lecz z wielkiej nicości. Pojawiło się przed nim...

– Te trochę miłości, od której robimy się doskonali? – spytał pająk.

– Masz rację – odpowiedział głos drugi, nieznany. – Lecz o tym, niestety... Ładnie by to wyglądało teraz, gdyby przyszło do szczęśliwego końca. Gdzie dwoje, po wielu przygodach, żyłoby sobie spokojnie. Nic z tego.

Otwierałem ją płatek po płatku – notował Tomasz z ulgą, nie zwracając uwagi na głosy. – Z cierpliwością czulego kochanka, ufny w siłę moich słów i gestów. Moje pełne w nią zaangażowanie było jawne i niesamowicie poważne. Otwierałem ją niczym książkę, z której mogłem czerpać pewność i siłę. Bo niekiedy rzeczywiście nad ranem za oknami stała mgła czarnogęsta i myślały już okoliczne dzieci: Niemożliwe, żeby znów wyszło słońce! A nie dłużej niż w dwie godziny później potężne, błyszczące promienie porwały czarnogęstą mgłę w górę, zdejmowały znad ziemi zasłonę i niszczyły gdzieś w niebie, wysoko. Tak było ze mną i z tobą, z tym uczuciem, które wzbilo się ponad – notował, oddając się piśmu i łagodnym narkotykom iluzji. Zasklepiając błonami ciemności to, co z niego w takiej grozie przetrwało.

Tak, wtedy już było po wszystkim, ale Tomasz nosił ją cały czas w sobie. W krajobrazie z pozostałości po mgle i tych resztkach, z których musiał oczyścić swój umysł. Oszukiwał się z wielką precyzją, kiedy chodził, pracował, i spał. Kłamał biegle i z wielkim oddaniem. Oszukiwał się, kiedy powracał do jej wątku w rozmowach z innymi.

– Zrozumiałeś to dopiero teraz? – głos rozlegał się to bliżej to dalej.

– Rozumiałem to przez cały czas. Ale jak mogłem sobie tego zabronić? W ten sposób osiągałem namiastkę równowagi i wewnętrznego spokoju. Kołysząc się w zdruzgotanym wszechświecie,

jak stracone przez idiotów dzieło. Być może, że w fazie przełomu, w ciasnym przejściu przez pizdę istnienia. Całe noce nad mistykami, całe ranki nad socjobiologią. Mistrzowie, doktorzy i guru, od czasu do czasu artyści. Naprzemian z fizyką i chemią, mitologią i własnym natchnieniem. Bezsennie i długo. Tak właśnie.

– Widzę, że wiesz, o czym mówisz.

– Widzę, że nie wiesz, co tracisz. A przecież ty też nosisz w sobie maszynię do zastępowania bogów i wprawiając ją w ruch masz nadzieję, że z toksycznych rozkoszy pamięci będziesz umiał wyłuskać choć piękno. Ogrom zalet mających coś znaczyć dla nielicznych, ale jakże kochanych. Wychodziłem potem zawsze na balkon – zapisywał już ostatnią linijkę – by zobaczyć, czy światło w jej oknach jeszcze świeci, czy też może już zgasło. Powracałem do biurka na chwilę, gdy drukarka wypluwała stroniczkę. Prawdziwą jak oczy Nemezis, gdy zaczyna je śnić Mnemosyne.

Zapamiętał to wczesne lato jako czas wielkiej zmiany; zmieniał się świat i on nie pozostawał w tyle. W dziełach zwanych literaturą współczesną Tomasz nie znalazł niczego na temat własnych, lub choćby podobnych, przeżyć – zaczynał więc składać historie z kruchych myśli, które wzarły się w pamięć i obrazków, co wczepiły się w niego mocno. One trwały, niczym larwy oślizłe, niszczyielskie – czekające na wylęg. Zabijał w ten sposób nudę, układając spis rozmów i faktów, dokładając do zdarzeń kolejne – aż widział, że to ona z nich wyjdzie. Dagmara, bo o niej myślał. Nikt i nigdy nie poranił go straszniej falą blasku, w której mógł znaleźć nawet śmierć. Z tego wyjdzie *bildungsroman* sążnisty – zanotował z ironią. Z przygodami wesołego młodzieńca, który patrzył, jak sam się wykańcza.

– A będzie tam też coś o powrocie?

– Wraca do mnie jej twarz, wracają jej zgrabne palce; o tym bym może coś znalazł, ale wolę nie szukać. Z rzadka tylko trafia się taki obrazek, z którego by wynikało, że wciąż co nieco kojarzę, że mam nerwy napięte i czułe. – Tomasz przestał już liczyć na to, że w literaturze współczesnej znajdzie chociażby fragment

na temat tego, co przeżył. Ale kiedyś trafił na coś, co go zaintrygowało podobieństwem do znanych mu z codzienności przypadków. Nie było to jednak zbyt dobre, dlatego wrócił do gry wspomnieniami.

W samochodzie przy dużej i pustej ulicy siedzą blisko kobieta z mężczyzną. Wieczór sprzyja przygodzie, zabawie, chmury pędzi wiatr zimny, północny. Czy mężczyzna to uwodziciel? Czy kobieta omdlała ze szczęścia? Widać jedynie, że on ją całuje; nic innego nie umiemy dostrzec. Cienie domów wsiąkają w asfalt, stapiają się z coraz gęstszym zmierzchem. Pustka ulicy jest taka, że słychać odgłosy dalekie. Zachód słońca jest fontanną czerwieni. Ścianą, z której na horyzont ściekają kubły krwi zakrzepłej i chorej, chluśnięte z niebywałą agresją. Woda z kałuż jest ukochaną księżycą. One też – i ta woda, i księżyc – skrycie cieszą się sobą nawzajem. Przypomina się mistrz od haiku, który pragnął, upojony winem, tulić księżyc w głębi porywistego nurtu Żółtej Rzeki, zdradliwej i bystrej. Mężczyzna i kobieta w samochodzie nie drgną nawet, tak są zauroczeni. Dotykają się, jakby sprawdzali, czy żyją. Ich oddechy to ostatnie ślady. Na opuszkach mają każde część tego, co zostało po kolejnych muśnięciach. Obok leżą papierosy, chusteczki. Zewa Softis i kobiece Vogue. Zjawy ludzkie przemykają za szybą, utraciwszy kolor i formę. Spieszą znikąd do nor i kryjówek. Zjeść kolację i ułożyć się do snu. Masturbować się bezwładnymi rękami. Albo krzyknąć na siebie bez końca. A ci dwoje, Dagmara i Tomasz? Czy będą szczęśliwi, czy kiedyś będą szczęśliwi – ci dwoje? W samochodzie siedzący, ci dwoje, którzy ust dotykają, zakłęci. Odłączeni od pustki nad nimi, oświetlonej z jednej strony przez księżyc, odłączeni od tej z drugiej strony – pianą krwi na zachodzie, nacięciem. Gdzie horyzont otwiera się albo – jeśli wolisz – gdzie wytrawia go kwas. Czy to dla nich ta zapaść i czerń? Czy to o nich ten tren i ten skowyt? Psalm triumfalny, niesiony przez czas? I czy wyłącznie dla nich, dla nikogo więcej? Tak składał, co miał w pamięci, niekiedy nie potrafiąc nic zrobić. Dagmara i Tomasz; oboje. Te godziny wspólnych uderzeń serca. Te miliony impulsów, przepływów – w samochodzie. Przed nocą. Pod niebem. Tylko tyle znalazł Tomasz w tej grze: przesadzony, a jednak dość wierny opis.

ROZDZIAŁ XVII

Zagadki zjawiają się nieoczekiwanie...

Wolimy absurd, zagadkę i tajemnicę – kolejna strona, zapisywana przez Tomasza o świcie. – Wolimy je naturalniej niż porządek i jasność prostoty – to jedno nie ulega wątpliwości. Dlatego przywykliśmy do wiary w możliwość uczynienia z kilku postawionych na papierze znaków przekazu zdolnego zawrzeć nieśmiertelne obrazowanie, zawilość myśli i nowe światy z żywymi ludźmi, śmiejącymi się, płaczącymi, mówiącymi o swoich wrażeniach. Tomasz wiedział o tym, też wolał absurd i tajemnicę, a klarowność prostoty kojarzyła się mu prawie wyłącznie z nudą, a jednak spytał, ponieważ, gdyby nie spytał, byłoby z nim być może jeszcze gorzej – dlatego spytał, oczekując, że coś się – w jego życiu, na krótki moment, w tej ciszy – wyjaśni.

– Kim chciałabyś, żebym był?

– Chciałabym, żebys był.

Nic się nie wyjaśniło. Nie poczuł się ani trochę lepiej. Poczul się przytłoczony zamętem, tym mimowolnym trudem przeprowadzania ostatecznej analizy światłocienia, kształtów i rubensowskich detali ciała, na które patrzył, próbując jednocześnie pamiętać i zapomnieć. Pamiętać całym sobą i całym sobą zapomnieć. Próbując wyobrazić sobie, co to dla niego oznacza, co znaczyłoby dla jakiegokolwiek innego człowieka. Udręczony. Dagmara mówiła prawdę, chciała tego i niczego więcej, jednak – nie można o tym zapominać – ileż to razy już chciały one – Justyny, Emmy, Anny – tego i niczego więcej.

– Chciały właściwie czego?

– Spytaj ich, a usłyszysz tysiąc zdań pięknie sprzecznych i niefrasobliwych, bo nie łatwo jest wyrazić moc swoich ukrytych pragnień. Spytaj jeszcze, a powiedzą ci, że to rodzaj zagadki, którą prędzej rozwiążesz intuicją niż umysłem i wyłącznie wtedy, gdy odczujesz mocno, że dusza to nie zawsze stop metali szlachetnych, bo niekiedy to jedynie kaszmir.

– Kaszmir?

– Tak, kaszmir. Albo inny delikatny materiał, który drze się od byle czego, od spojrzenia, westchnienia czy myśli. Wtedy możesz już zaledwie do niej zatęsknić, jak do bólu, tej jedynej pamiątki. Istniejącej na pewno najdłużej.

– A zagadka? Co z nią?

– To jest właśnie cała twoja zagadka.

Jajo Erosa w chaosie. Na półkach książki, czasopisma. Na ścianie reprodukcja obrazu ze śniącą kobietą w brzoskwińowej sukni. Nie da się ukryć, że tworzyć to zawsze i przede wszystkim patrzeć. Bez spojrzenia nie ma tajemnicy, niewidziane jest niedostępne dla zmysłów. Czym dłużej Tomasz rozmyślał, tym więcej ubywało mu złudzeń. Samotność przychodziła mu wtedy z pomocą, zanurzał się w jej półprzezroczystych wodach, jakby schodził stopień niżej w ewolucji, jakby zaraz po tym w nią zanurzeniu miał paść na kolana i zacząć posuwać się po podłodze z nosem zmienionym w rozdęte i wietrzące chrapy, z oczami wpatrującymi się w pustkę, z za której od czasu do czasu...

– Czujesz? Umówmy się, że znam ten zapach... – Miłość jest pozbawiona języka, jest niema – szepcze pochylony nad kartką poeta. – Dopiero literatura wydobywa z niej słowo. A zapach? A dotyk? A widok? – Popatrz na to w ten sposób: coś, co ci stale ucieka, coś, czego nie złapiesz w słowa – a potem luka w pamięci, śmieszna wiedza o tym, że coś – ale co? – było, naprawdę było i teraz – odczytać te ślady pragnienia, rozpoznać przyczynę, niczego z niej nie pojmując – to już niemożliwe, zupełnie. W tym momencie chodzi o to, że nie można niczego zatrzymać: czas przesuwa się szybko lub pełźnie – i na końcu jest to za każdym razem grób. Dagmara wołała tak nie myśleć, ale Tomasz nie umiał zapomnieć. Jednak on, przynajmniej na razie, nie czuł strachu przed śmiercią ani lęku przed samotną starością. Pozostawał obserwatorem, ona chciała być uczestnikiem – ta różnica wyznaczała porządek, który rządził także rytmem ich spotkań. Tomasz patrzył, ona była w środku. Ciągłe wewnątrz wydarzeń, łakną-

ca energetycznego przepływu między nią a innymi ludźmi; towarzyska i lubiąca poznawać. Tomasz wolał nie podłączać się wcale do emocji wydzielanych przez tłumy. Dystans to jedna ze sztuk pięknych, którą można uprawiać na pograniczu malarstwa, muzyki i poezji. Z ludźmi inaczej. Jedno musi być bardziej na zewnątrz, żeby drugie mogło wejść w samo centrum. Jedno musi pilnować czasu, żeby drugie mogło opanowywać przestrzeń. Po nieustalonych orbitach. Z kalendarzem uwewnętrznionym.

– Druga połowa lipca wyglądała na koniec lata. – Dagmara nie była zadowolona.

– Deszcz nie da ci pooddychać słońcem, kochanie.

Myślałem o nadchodzącej jesieni – notował w niezrozumiałym odruchu. – Kiedy ziemia obumrze, bujność przejdzie wszystkie fazy rozkładu, zageęsi się i popłynie w otchłań. Myślałem o rozkładających się ciałach roślin i zwierząt, o przesileniu w ich tkankach, zmierzających w łatwym do przewidzenia kierunku. W prasie trafiałem na ten sam lęk, co w kobietach. Popularne pisma ścigały się w lansowaniu niebezpiecznej, bo kretyńskiej mody na nieśmiertelność. Na wieczną młodość. Bagatela. Idiotyzm. Jak co dzień.

– A ona?

– Adam był jej ubezpieczeniem na życie. Sześć lat młodszy, zadbany, uroczy w swojej chłopięcej, jak to mówiła, bezradności. Typowy niepozbierny mężczyzna początku nowego wieku w tej części świata, gdzie kobiety dopiero co nauczyły się myśleć o swoich aspiracjach, dążeniach i karierach. Mówić mądrzej i z ponadczasowym egoizmem, dodawała. On, czyli jej samczyk, jej, bo i tak go widziała, nie mężczyzna, lecz dupa. Być może pierwszy tak łatwy do zmanipulowania typ samca od epoki całkowitego matriarchatu. Dający wmówić sobie nie tylko miłość, ale i pożądanie – ze strachu i z niepewności. Odzywały się w nim te przecucia, drażyły go depresyjne myśli, odkąd Tomasz pojawił się i zaistniał, odkąd ona zaczęła wracać coraz później i później. Trwał lipiec, dogasający w połowie. Każdy mógł przeczuć w milczeniu drugiego, ten ból, który nadchodził. Ale nikt nie spróbował, nikomu nie chciało się zauważyć i poczuć.

– To było takie czyste... – powiedziała Dagmara, a Tomasz przymknął powieki, jak gdyby zgadzał się z nią całkowicie. – Ale i to się skończyło.

– Od miesięcy śpiam z tobą w myślach.

A od lat lub stuleci, znał ją. Tak to bywa, że dwa różne czasy przenikają się niepostrzeżenie. Jeden nowy, drugi tak starodawny, że nie sposób podać granic początku. A w tych czasach – i groza, i zachwyty; a w tych miejscach – przenikanie darów. Nigdy tu nie ma ciemności i nigdy też nie jest dość jasno. Tomasz patrzył w oczy Dagmary, jak gdyby chciał potwierdzić, że i ona pamięta. Że znali się nie raz, w przeszłości – które to słowo znaczy tu więcej niż znaczy. Dagmara nie zaprzeczała, bawiło ją takie myślenie. Wreszcie coś całkiem nowego, odmiana, pomysł tak ekscentryczny, aż słodki. A dla niego to rzeczywistość, jak rozmowa o strategii reklamy. Ruszała kolejna kampania, wielka wojna o pieniądze i życie.

– Otaczały ich tajemnice? Otaczały ich same banały? – jeden z głosów dochodził do Tomasza z oddali, inne krążyły blisko, prawie tuż obok jego głowy.

– Czuć się otoczonym coraz to innymi zagadkami – to pożera człowieka więcej, niżby mogło by się wydawać. A on czuł się na co dzień zwyczajnie, lecz znikwały mu z oczu uczucia. Wymierały ich cenne gatunki, nadchodziła dla nich apokalipsa.

– Ewolucja?

– Apokalipsa. Wykańczanie ich widzieć mógł każdy. Na początku w jednostkach, po trochu. Potem z chwili na chwilę – u wszystkich. Nagle z ery uczuciowych rybek wypadliśmy prosto w ręce wodnika. A ten nie jest od subtelnej empatii. Czuje ludzkość, ale rzadko człowieka.

Dagmara mówiła Tomaszowi o tym, porównując go do Adama:

– Bo ty jesteś jeden wielki płomień, a w nim świecą miliony świeczuszek.

Ta koncentracja obrazów, ten jej zapal w budowaniu porównań: w żadnej dotąd kulturze nie było takiej presji na analogiczność. Jak by ich w takim razie – pytał Tomasz, ale wyłącznie

w myślach – zareklamowała, by każdy mógł ocenić i wraz z nią podjąć własną decyzję? Reklama jest domeną nostalgii. Musi sprzedać to, co będzie, temu, co aktualnie jest. Nie używa więc wszystkich rejestrów języka, a jedynie tych, które oddają się masom. – Tłumaczyła mu to bardzo chętnie, resztę znalazł w książkach speców z jej branży. Od nich przejął aksjomat o związkach dzieł reklamy z niepokojem powszechnym. Wszelka reklama odwołuje się do uczucia niepokoju. Podstawą wszystkiego są pieniądze, mieć pieniądze oznacza przewyciężyć niepokój.

– A więc w pracy ona grała wciąż lękiem?

– Także w życiu była w tym całkiem niezła. Przechodziła właśnie, nie do końca zdając sobie z tego sprawę, etap zstąpienia do tak zwanego nadiru. Prowadzona do miejsc najgłębszych, ukrytych i groźnych – równie dobrze mogła wyjść z tego mocna, co na zawsze już inna, bogatsza o wtajemniczenie w obłęd. Tomasz budził w niej lek i pociągał, on też dawał jej rady w tych sprawach. Otoczona przez niego opieką, mogła przestać chodzić do terapeuty. I przestała. Nagle. Z dnia na dzień. Bo – mówiła – już nic jej to nie da. Teraz sny zawładnęły jej wnętrzem. W snach był Tomasz i z nim się kochała. Nie wiedziała, czy wyjawić mu to wszystko. Lecz czy on mógł nie widzieć w jej oczach tej nadziei, kiedy wspólnie milczeli? Tej beztroski, którą mogła okazać. Tylko przy nim, bo nie przy Adamie.

Noc wgryza się sukcesywnie w mózg – zanotował Tomasz – aż sen popłynie strużką obrazów. Jeden powtarzający się sen. Koszmar, najczęściej koszmar. Noc wgryza się pod fałdki powiek, ustawia źrenice na odbiór z wewnątrz, z umysłu. Ale to już nie ten straszny obraz, niepomyślny i osaczający pamięć; to już nie to zwierzęce przeczucie, że tym razem już nic nie zostanie. Kiedy ją na pół przetną ciemności, a zmęczony i spustoszony Tomasz siądzie w ciszy, by obejrzeć ostatnie godziny na wewnętrznym, niekończącym się filmie. Klatka po klatce, dokładnie, przypatrując się minom i gestom, w ruchach ciała odczytując pragnienia, których słowa zaprzeczyły głośno. Obejrzy samego siebie w sku-

pieniu, po to jedynie, by znów poczuć ten dreszcz. Tak zaczyna się seans dla nieobecnej, poświęcony jej nagłym odejściom. Po pierwszych dotknięciach zakłopotane spojrzenie, a po następnych pytanie, z pewnością jak najzupełniej poważne:

– Co mam powiedzieć Adamowi? – spytała Dagmara.

– Prawdę.

– A to ci diabeł, czy anioł podpowiedział? – Tomasz dotykał jej coraz mocniej i natarczywiej, całej, kiedy już stała oparta o drzwi, gotowa do wyjścia. Odwzajemniała ten dotyk – cała – nie chcąc odejść, dopóki nie pozna, co traci. Zupełnie jakby brała w dłonie i usta cząstki czasu, minione sekundy, jakby to czas głaskała, obwodziła delikatnym językiem; jakby chciała dosięgnąć palcami tamtej chwili, kiedy mieszkała w niej jeszcze niewinność. Tomasz nie musiał dla niej być sobą, niekoniecznie musiał być to ten Tomasz. Po prostu pragnęła powrotu do milczenia sprzed lat co najmniej piętnastu. Do dziewczyny, którą знаła przelotnie.

– Pytała o diabła? Pytała? Pytała o pajaka i głosy?

– Pytała o niewidzialne, wpatrujące się w nich hordy bytów. Subtelniejszych i niepotrafiących kłamać, których litość mogłaby ją unicestwić.

Anioł? Diabeł? Anioł? Przecież diabeł to też zwykły anioł.

Ktoś musiał popchnąć Tomasza, który nie chciał jej puścić do domu, ktoś mu wskazał, jak ma chwycić jej rękę, jak ma zbliżyć się do niej, pragnącej. Może jeden z tych niewidzialnych, wszechobecnych pomocników niebios. Znaleźli się więc w czterech ścianach jego domu, za miastem, pod lasem. Osaczeni przez słowa i myśli, nie decydując się na ruch ostateczny.

– Nie jestem jeszcze gotowa – powiedziała – by odpowiedzieć ci tak, jak bym chciała. Poczekaj – Jeszcze jedno maskowane oszustwo, ale Tomasz znał się na tym już wtedy. Wyglądało to jak warta przy trupie, któremu specjaliści kładli ostatni przed zjazdem w podziemia makijaż. Ale trup jeszcze żył i czarował. Trup mężczyzny naprzeciw kobiety; barokowy, aktualny fantazmat. Pustoszący i nie zostawiający nadziei.

– Cieszył oczy jasnością naskórka? Wodził po niej ciepłymi palcami?

– Niszczył duszę i ocalał na przemian. Spustoszony, tak jak już raz powiedziałem. W stanie prawdziwego oświecenia nie ma jednak ani poczucia bycia wyzwolonym, ani poczucia bycia nie wyzwolonym. Mięśnie gładkie i prądkowane pracują bez udziału woli. Oddech nie jest już prostym nabraniem w usta i płuca – powietrza. Oddech jest nowym początkiem, którego nie sposób zapomnieć. A i tak zapomina się łatwo. Seans trwa zwykle za krótko.

Odsłaniać tajemnicę po tajemnicy – myślał Tomasz – a w głębi być coraz bardziej pewnym, że niewyczerpane są źródła tego, co niepoznane i skryte.

– Co do mnie czujesz, poza chwilowymi przyływami pożądania? – spytał Tomasz któregoś wieczoru, a pytanie to miało powrócić, kiedy golił się przed pójściem do łóżka. W odpowiedzi było coś z pocieszenia i natrętnie czynionej wymówki:

– Chwilowe to złe słowo. – W jej oczach ukrytych za kontaktowymi szklami tylko cisza, którą chciała zmienić w coś na kształt cierpienia. A w źrenicach na pewno pięć pragnień: bogactwa, sukcesu, sławy, pożywienia i snu. Ludzie zanurzają się w ten ocean, nurkują po kolejną rzecz i jeszcze jedną i jeszcze – aż nagle widzą, że są na dnie i że już raczej nie zdążą wypłynąć – i nie wypływają. Ziemia to podstawa życia, fundament związanej z nim pewności – na niej łatwiej o stworzenie czegoś, co ma szansę przetrwać dłużej niż człowiek. Tomasz miał nią wypełnione usta, zęby tarły o ziarnisty kamień. Woda płynie łatwo i przedostaje się, gdzie tylko zechce. Zakochani czują przepływ nerwami. Ogień działa w natchnieniu i szybko. Dla Dagmary, dla kobiety, to ulubiona forma, chciałyby pozostać ogniem, by móc kazać iść za sobą w ciemności. Nasycona jak płomień powietrzem, które mieści i grzech, i cudowność. Tym powietrzem, które zmienia emocje – negatywne w pozytywne, raz jeszcze. A całość powstaje w przestrzeni, istnieje w przestrzeni i w niej się rozpuszcza.

Tomasz skończył golenie, spojrzął w lustro i uśmiechnął się na wspomnienie wiersza, który znalazł w książce poety dalekiego od wrażliwości Tomasza. W wierszu było – zanotował napędce – o łączności duchowej z kobietą, która śmieje się, będąc daleko z jakimś idiotą (to wracało refrenem co strofa):

*i kiedy wyłazi pajak
i patrzy na ciebie
wreszcie
nie czujesz do niego nienawiści
wreszcie
kiedy ona daleko stąd
śmieje się z jakimś
idiotą.**

Charles Bukowski, jego *łączność duchowa?* – zdziwił się po raz kolejny tego wieczoru Tomasz. Kupił ten tom kilka godzin wcześniej. Dla żartu, bo nie przewidywał, że znajdzie w nim wiersz tak dokładnie pasujący do sytuacji. Tomasz odłożył maszynkę, umył pędzel, skropił twarz *Basala Shiseido*. Wszedł do pokoju i poszukał wzrokiem pajęczyny. Tym razem pustej, dziwnie nierównej, splątanej. Jakby pajak już nic nie chciał w nią złowić.

* Fragment wiersza Charlesa Bukowskiego *łączność duchowa* w tłumaczeniu Leszka Engelkinga.

ROZDZIAŁ XVIII

Zapisać skowyt na widok zjawy, będącej nami za chwilę, niebawem...

– Kim dla ciebie jestem? – inna wersja powracającego wciąż pytania.

– Nie wiem – Tomasz patrzył jej prosto w oczy, kiedy mówiła to ciche „nie wiem”. Przez moment widział ją za tym zdaniem, widział, jak mówi je całą sobą, jak zamyka się przed nim w tym jednym zdaniu. Ale zaraz zamiast widoku twarzy miał przed sobą krótki film przyrodniczy. Jakby nagle między nich wmontowano wielki ekran, a obok ustawiono niewidzialne głośniki i puszczono jedno długie ujęcie. Patrzył jak urzeczony i Dagmara myślała, że na nią.

Meduza wielkości grejpfruta – notował to swoje doznanie – urocza *Chironex fleckeri*, zabija w niecałą minutę. Długimi parzydełkami oplata przypadkową ofiarę, oplata z jej całą niewiedzą, że jest już ofiarą na zawsze. Przykleja się do jej skóry tysiącem mikroskopijnych rurek. Wbija je bardzo nieznacznie, na głębokość jednej trzeciej milimetra. Otwiera kanały transfuzji dla toksyny o nieznanym składzie. Kolce lekkiej półprzezroczystej meduzy są jak zwoje kolczastego drutu, żyjącego i zdolnego przywrzeć i owinać się wokół organizmu na długość około trzech i pół metra. Już dwa metry to miara śmiertelna. A potem? Jak opowiadają: tunele zakończone błyskiem, zwieńczenie po wszystkich porażkach i uczucie wtajemniczenia w światło, którego ogniste promienie spływają po rdzeniu i czakrach. Masz wtedy przed sobą wnętrze, masz człowieka jak po wypatroszeniu. Odsłonięty, wyrzucony na zewnątrz. Ujawnione szaleństwo i zbrodnia. Patrz. Ujawnieni demiu rdzy i szarlatani. Patrz. Ujawniona nienawiść miłosna. I nie można ani na moment zapomnieć, że to tylko kawałek ze świata, że to nie jest – bo nie może być – wszystko.

Tomasz patrzył na niknący ekran, łowił drżenie po ostatnich dźwiękach, potem spojrzął na stół bliżej siebie, dostrzegł ciemny, tęczący błękit paczki po papierosach. Dagmara siedząca naprzeciw patrzyła gdzieś dalej, przez salę. Patrzyła na wskroś jego przeszłości i porównywała ją z własną. Obserwowała, jak ze spokojnego i delikatnego dziecka zmieniał się w chłopca odnajdującego siebie z dala od domowych zranień, o którym jej opowiadał, z dala od ojca i matki, o których tak rzadko wspominał. Potem spoglądała w ten czas, kiedy szukał i nic nie potrafił rozpoznać; dalej te krótkie wycieczki w głąb cichych, ustronnych bibliotek; pierwsze miłości (porażki); pierwsze pragnienia (sukcesy). Tamten moment nie do wyobrażenia, kiedy – jak mówił, raz jeden – wszystko wokół zmieniło się nagle, jak za obrotem pierścienia na palcu czarnoksiężnika z bajki oglądanej w dzieciństwie. Naokoło postaci Tomasza wirowały nieznajome przedmioty, jakby siłą pamięci wyjęte wprost z przeszłości Dagmary i wrzucone do jego przeszłości, jakby mogły odnaleźć w niej miejsce. Zdjęcia opalnego mężczyzny o łagodnej, trochę smutnej twarzy. Wstążka zdjęta z pożegnalnego prezentu. Czarny zegar ze srebrną wskazówką. Kilka kartek, może listów od tego, komu teraz nie potrafiła popatrzeć prosto w oczy i szczerze odpowiedzieć. Nie potrafiła? Nie chciała? Nie mogła? To pozostanie dla Tomasza zagadką.

– Naprawdę nie wiem – powtórzyła chłodniej i w myślach dodała. – Nie męcz mnie.

Obrazy cudzej przeszłości nie trzymają się długo pamięci, o ile nie są podobne do tego, co znane z autopsji.

W „Kuchciku”, kiedy jeszcze istniał, mogli spotykać się w piwnicznych dekoracjach. Dagmara płakała i mówiła, że to nie miłość, ale fascynacja podsyca jej wyobraźnię, skazując na rozdwojenie. Tomasz patrzył na linię jej ramion, na kształt głowy, na twarz i niesforną grzywkę farbowanych blond włosów i było mu wszystko jedno, dlaczego są tutaj razem; dopóki ona tu była, nie potrzebował znajdować tłumaczenia dla siebie, dla niej i dla tej sytuacji. Dagmara mówiła to, co ważne, najważniejsze

dla niej, nie wiedząc, że on nie całkiem jej słucha i niezupełnie kojarzy:

– Fascynuje mnie twoja siła. Fascynuje mnie ten rodzaj siły, którego u mężczyzn nie znałam. Lubię na ciebie patrzeć... To takie inne... Adam... – nie chciała kończyć zdań zaczynających się od tego imienia.

Dwa dni wcześniej zadzwoniła wieczorem. Poprosiła:

– Opowiedz mi, jak mnie rzniesz. Albo posłuchaj, co ja mam ochotę zrobić tobie... – miała głos, w którym słyszał głód i ból tego głodu; miękki głos, który rozpoznałby w każdym miejscu. – Szlocham podczas orgazmu, chcę twojej ręki, kutasa, ust. Zwiąż mnie, zgadzam się na wszystko. Opowiadaj, proszę, mów do mnie. – Było to na granicy albo już poza granicą i Tomasz czuł się jak aktor mówiący do mikrofonu.

Adam, o czym wspomniała krótko, znów grał na komputerze, kiedy ona leżała pod kołdrą i domagała się, żeby Tomasz był jej Szecherezadą, jej wyuzdanym marzeniem, jej niemożliwym do opanowania pragnieniem, jej seksem.

– Czy masz w domu wibrator? – spytała, żeby zaraz dodać:

– To oszustwo, że nie daję ci tego, co chcesz, a daję to jemu.. Potrzebuję cię, bardzo. Nie odpuściłabym ci dzisiaj. Nie dałabym ci dzisiaj zasnąć.

Był jej Szecherezadą, mówił o swoich najskrytszych fantazjach, na co ona odpowiadała pomrukami zadowolonej kotki. Słuchawka w jego ręce zrobiła się śliska i lepka; wytarł rękę, przez chwilę trzymając telefon zatrzaśnięty między uchem a barkiem.

A potem, nagle, wszedł Adam. Podszedł do leżącej z rozrzuconymi pod pościelą nogami Dagmary, nachylił się nad nią tak delikatnie jak umiał, przytulił brzuchem do nieco odsłoniętych pleców, nakrył dłońmi jej piersi, poczuł sterczące sutki i powiedział:

– Tak bardzo cię kocham, Dagmara. Jak dobrze, że jesteś – i pocałował ją w kark aż zadrżała, niepewna, czy nie słyszał tego, o co przed chwilą prosiła Tomasza.

– Czy nie jestem suką? – pytała teraz Dagmara na spotkaniu w małej knajpce o ścianach wysrebrzonych, popękanych i głuchych. – Czy nie jestem jak ta ostatnia? – Nie mogła przestać myśleć o tym nawet teraz, po pracy, przy Tomaszu, przy

którym zawsze było jej przecież tak lekko. Tomasz patrzył na jej ruchy, gdy paliła, wypuszczając zgrabne kółka dymu. Nie istniał dla niego żaden inny świat, tamten jej dom z tamtym roślinnym mężczyzną, Adamem, ta, jak to nazywał, fikcja. Nie istniały też: ich wspólna przeszłość i teraźniejszość, i przyszłość, to nic nie znaczyło w tej chwili. Jak słowa, do których ona przywiązywała taką wagę. Czy była suką? – na to pytanie Tomasz nie wahał się odpowiedzieć twierdząco. Zgodnie z faktami i jej własną opinią. Dagmara zdawała się widzieć, że tak to z jego strony wygląda. Nie przeszkadzało jej to, wręcz przeciwnie.

ROZDZIAŁ XIX

Historia w historii jest zawsze, tym razem to baśń o syrence...

Nie ma dnia, w którym zauroczony, który poznał już swoje zranienie do końca, nie szybowałby w duszy wysoko, od jednego do drugiego dzieła, od rozpusty do wstrzemięźliwości, od tęsknoty do wyparcia z pamięci. Nie ma dnia, by okaleczony nie znajdował w sobie miejsca na gorycz, nie przemierzał go jak labiryntu i nie siadał w ciemnościach i sam. Jedynie czasem ktoś taki jak Tomasz zapadnie się w siebie, by znaleźć sens dawnej, tajemniczej historii. Sens dla nikogo poza nim niejasny. Dla Dagmary, bo i ona to знаła – bo zna każdy te osobne historie – był to wątek rumuński, związany z jej miłością do nieobecnego. Dla Tomasza pełniła tę funkcję baśń o małej, znajomej syrence. O przygodzie, której nigdy nie przeżył, ale która jednak ocalała go teraz. Chyba każdy nosi w sobie wspomnienie pewnych zdarzeń, nieco czystszych od innych. Albo chociaż nieco mniej sfalszowanych, dość, by można z myślą o nich odpocząć.

Dawno temu, jeszcze przed końcem studiów Tomasz uczył przez rok w szkole podstawowej. Wśród uczennic była jedna szczególnie, której czas nie potrafił mu zabrać.

*Tracisz się, gwiazdko, zmieniasz się, syrenko,
w morską pianę, którą wiatr nad oceanem
roznosi; w tym jesteś i to jesteś cała;
lecz czy tak być miało, smutna mała damo?*

– docierało do jego pamięci, że tak kiedyś z myślą o niej napisał. I że sprawdził we wszystkich słownikach i baśniach, co sądzono o małej syrence. Mała, niewinna syrenka, maleńka jasnowłosa wirtuozka, skupiona wiolonczelistka, pocieszająca – przez

to, że ją pamiętał – Tomasza. Dająca mu teraz to wszystko, bez czego nie umiałby przetrwać w obliczu ironii Dagmary, świadomy jej oszustw i kłamstw. Pamiętał, że Agnieszka umiała zrozumieć swój los zanim ciało zamieniło się w pianę. Mała, niewinna syrenka, kłębuszek wyostzonych nerwów, nieświadoma i delikatna, sprawczyni wielkiego powrotu. (Dzięki niej Tomasz mógł być u siebie w każdej chwili, kiedy czuł, że niszczeje. A czuł często, że jest wyniszczany – potrzebował więc takich powrotów.)

Spotykali się bardzo rzadko. Raz na rok, raz na dwa lata. W sumie pięć albo sześć krótkich spotkań, w sumie dziesięć lub piętnaście telefonów. Co więcej? Że klasyk Horacy nazywał „rybim ogonem” zakończenia niepełne, chybione – takie właśnie, jak to tutaj – kalekie. Bo ciąg dalszy, oczywiście, miał miejsce, lecz na nic próby wyobrażenia go sobie. Jeżeli wyobraźnia zawiedzie, pozostanie wyłącznie rozczarowanie, a jeżeli uda się coś ocalić, pozostanie uczucie pomyłki. Nie warto zatem silić się na puentę. O ile nie staje się sama, o tyle nie musi zaistnieć. Nie warto domagać się końca, gdy to, co pomiędzy, jest piękne.

Teraz Tomasz też czerpał z tej chwili, w której patrzył w jej dziewczęce oczy. Takie inne od oczu Dagmary, jakby różnił ją od Agnieszki nie wiek, nie te lata, o które była mądrzejsza i starsza, lecz coś więcej – być może gatunek.

Człowiek jest czymś podejrzanym, przez większość czasu nie pamiętamy o tym, a to ważne, niezwykle ważne. Jak trudno zapamiętać prosty wzór na rozczarowanie, jak niemożliwie trzeba gdzieś pobłądzić, by odnaleźć się na czas pod właściwym, niekoniecznie prywatnym adresem. Może być letni ogródek w znanej już włoskiej pizzerii. Pod dachem z błękitu, zieleni, wśród gwaru popołudniowych rozmów. Można by zaoszczędzić sobie licznych nieporozumień, gdyby rozejrzeć się bardziej. A nawet – od czasu do czasu – być może dało by się zapobiec katastrofie ducha, gdyby nie senność i upał. Choć może duch tego łaknie: katastrofy na otwartej przestrzeni.

– Dużo o tobie myślałam – niezobowiązujący gambit, kiedy jeszcze niewiadoma jest stawka. W jej oczach figlarność i pewność, że dobrze zaczęła rozmowę.

– I co wymyśliłaś?

– Jesteś fajny facet – dalej również niezobowiązująco, tyle że z delikatnym haczykiem.

– To konkluzja?

– Nie, tytuł.

– Więc może kiedyś uda mi się usłyszeć całość.

O nadziei można przeczytać tomy, polecane są te z przysłowiami. Ludzka podłość nie może mieć granic, skoro nie ma ich ludzka głupota. W lipcu, dzień przed urodzinami, kiedy jechała do ukochanych rodziców, może było w powietrzu coś, co spowodowało ten emocjonalnie nasycony dialog. Lipiec, dzień albo dwa po spotkaniu, na którym tyle mówili na temat duchowości ciała, więzi ze światem (często boleśnie zrywanej), wewnętrznej pustce i wypaleniu (to ona), relacjach ze znajomymi, o ich i własnych problemach, o odległościach, które z czasem stają się nie do przebycia.

– Wchodzę i jestem.

– Jak to?

– Siła przebicia, nic więcej.

Cechą nową *Odysei* jest sentymentalizm – w notatkach Tomasz próbował uporządkować wrażenia – zastępujący wyraźnie obiektywizm heroicznej *Iliady*. To w *Odysei* myśli bohaterów są zazwyczaj zwrócone ku przeszłości i doznanyemu cierpieniu. Łatwiej ronić łzy przynoszące ulgę, niż rozkoszować się kłeską wroga, bądź własnym, demolującym gniewem. Epizod z płaczącymi po stracie jest w tej księdze może najmniej tragiczny.

– Zorientujesz się w końcu co do mnie – zapewniała.

– A wtedy?

– Odejdiesz, po prostu znikniesz. Sam mówiłeś, że to tak wygląda.

Ta rozmowa jest przedstawiona – zapisał na koniec Tomasz, z wielką, zrozumiałą tu delikatnością – a wrażenia, jakich dozna czytelnik, pozostaną w nim do przebudzenia. O ile, rzecz jasna, nie pogubi się myśląc o skrytej, dramatycznie przekazanej puencie.

Kto pojmie gest żywej boginki, kiedy siedzi i błądzi myślami?
Bohater. A z nim jego bliscy umarli. Ale to ona musi wskazać
motyw. Dyskretnie i bez pomyłki. My w końcu przez klęski na-
tchnione dążymy od pustki do pustki.

O tym Tomasz myślał jeszcze wieczorem.

ROZDZIAŁ XX

Każda noc jest ostatnia, jeżeli tak o tym myśleć...

Dlaczego Tomasz nie powiedział Dagmarze, że ostatnia noc tego miesiąca, będąca też ostatnią nocą jego urlopu, to także – skoro później miał wrócić do normalnego rytmu obowiązków, zależności i życia z powracającymi z urlopu bliskimi – ostatnia noc, kiedy mogliby spotkać się sam na sam? Nie powiedziałem jej – zanotował Tomasz – że to ostatnia noc, którą moglibyśmy spędzić razem. Nie powiedziałem jej, bo?

Uświadomił to sobie dopiero wówczas, kiedy już nie mógł nic zmienić. Siedzieli naprzeciw siebie w opustoszałej kawiarni. Zmęczeni upałem. Ciesząc się, każde na swój sposób, ze spotkania.

– A pomyślałeś, co dalej? – spytała, zaskoczona, że tak otwarcie zaproponował jej wspólną noc, do której co prawda nie doszło, ale która stała się – już teraz – potencjalnie możliwa. – Pomyślałeś, co to by mogło znaczyć? – zabawiała się jego kosztem.

– Właśnie dlatego ci nie powiedziałem... – Tomasz patrzył na nią z taką ufnością, że aż ją to przekonało: miał prawo tak zrobić – pomyślała.

– Chciałabym teraz pocałować cię w usta – powiedziała łagodnie, wysuwając w jego kierunku rękę, jakby chciała dotknąć go i pogłaskać. Musimy zobaczyć to – zanotował – w bliskim planie i na zwolnionych obrotach, żeby poczuć jak w scenie tej płynnie krew gęsta i czarna. Jak w jej palcach wyprostowanych i sunących w kierunku twarzy Tomasza drżą i pulsują cząstki nagłego pragnienia, któremu postanowiła nie ulec. Dla jeszcze wyraźniejszego spowolnienia akcji słyszemy, jak powtarza, tym razem nieco ciszej, bardziej szorstko, chcąc ukryć to, co w jej słowach najważniejsze i co mogłoby sprawić Tomaszowi radość:

– Chciałabym, właśnie teraz, pocałować cię w usta. – Nie była pewna, czy Tomasz czuje szczęście czy ból. Patrzył i wyobrażał

sobie, że oto spotkał się z czymś niewyraźnym, tak nieskończenie większym od tego, co spotykało go do tej pory, że nie rozumiał, jak miałby opowiedzieć o tym Dagmarze, jak miałby powiedzieć jej o tym, że przez nią i dzięki niej stał się z potężną siłą w sobie samym i nawet nie wie, czy przegrał czy wygrał, a mimo to pewien jest, że było warto. Nie chodziło nawet o tę noc, nie tym razem.

– Wiesz... – zaczął myśleć na głos, ale zaraz przestał, uświadamiając sobie, jaką przerażającą niemożliwością jest opowiedzenie czegokolwiek o sobie, kiedy to, co ma się do powiedzenia, nie mieści się w żaden sposób w porządku obowiązującego sposobu nazywania uczuć i myśli. – Wiesz przecież – zaczął więc po raz drugi – że też chciałbym.

Czy mam mieć pretensje do siebie – pomyślał – że nie mówię w tej chwili tego, co dokładnie myślę? Czy byłoby lepiej, gdybym mówił, skoro porozumienie jest i tak niemożliwe? Patrzył na uśmiechniętą twarz, którą kochał, na dłonie, których dotyku pragnął, na piersi, którym w myślach nadawał pieszczotliwe imiona – i nie próbował wyrazić tego wszystkiego, co czuł w tej właśnie chwili, mając pewność, że ta chwila kończy się w nim oraz w niej, że kończy się z nim i z nią. A jednak było w uśmiechniętej zwodniczo Dagmarze coś, co kazało mu myśleć, że wszystko jest na swoim miejscu, takie, jakie powinno być i jakie być musi od-tąd już zawsze. Zrozumiał nagle i myśl ta uspokoiła go, że nic się w tej scenie nie zmieni, nikt nie poruszy się, nie wstanie, i nie podejdzie do wyjścia. Nikt też nie będzie już musiał mierzyć się z nocą bezwzględna na zewnątrz. Nikt nie odejdzie w ciemność, nikt nie zostawi nikogo. To stało się już niemożliwe. Jak ten moment i jego powtórne przeżycie. Jej białe słowa, jej uśmiech; blask.

Dzień zapowiadał się ciężki, jeden z tych, które łączą tajemnice ludzi z tajemnicami ziemi, kryjącej i pochłaniającej martwych. Dzień, kiedy sekrety kobiet i mężczyzn mieszają się z sekretami nieba otwartego nad ich głowami dla myśli o nieskończoności, a spajające ich dusze pragnienia ciał upodabniają

się do pragnień ognia, liżącego przedmioty na jego drodze. Po takim dniu noc to niespokojny mistrz, mieszający tęsknoty dusz z tęsknotami wody omywającej ciało.

Tomasz zakręcił kurki, sięgnął po ręcznik i zaczął wycierać skórę, trzeć mocno, do sucha, aż stawała się zaczerwieniona. Czuł, że nie rozumie w tej chwili nic z tego, co dzieje się na jego oczach. A jednocześnie był pewien, że rozumienie niczym tajemna przypadłość, rozwija się, zaczynając gdzieś w głębi, w nim samym, bez udziału woli, bez najmniejszego z jego strony gestu – i że w końcu ogarnie też umysł, doprowadzając do wyjawienia wszystkiego. Wierzył, że wtedy – zrozumie.

Zanim sięgnął po maszynkę do golenia, ujrzał raz jeszcze, jak otula Dagmarę szarość zmierzchu, w który weszła tak pewnie, jakby od zawsze to on był jej domem. Ukrywała to przed nim, pomyślał, ukrywała tak bardzo, jak ubranie ukrywa nagość. A jednak zostało to pokazane Tomaszowi tak – te sceny odejścia i smutku, w który nie musiał już od dawna wierzyć – że powtórzył sobie, patrząc w lustro:

- Widziałem, że są to sceny cudowne uwodzenia i premedytacji.
- Wiedziałeś to wtedy naprawdę? – Usłyszał pajączy głos.
- Wtedy już tak, do końca.

Tomasz szedł w kierunku Dagmary tak naturalnie, spokojnie i pewnie, jakby wiedział, co go może spotkać, jakby liczył się z jej fałszywością. Omijał pułapki, przedmioty traktował z bez troską i dezynwolturą. Od czasu do czasu bowiem słyszał także, to co pragnął usłyszeć. A były to słowa, dla których podjąłby się wszystkich tych starań raz jeszcze:

– Tak pięknie mnie wczoraj całowałaś... Ręce drżały mi przez cały wieczór... Musiałam ścisnąć kierownicę, kiedy wracałam do domu... Śmiałam się i złościłam na przemian... Tak dobrze wytrzymałaś mój humor... Ale... nie możemy tego robić... Nie możemy... Zdyscyplinuję się. – To także pojawiało się na taśmie pamięci Tomasza; nagranie głosu i wyobrażenie tamtej chwili wraz z gestem, najmniej podobnym do gestu oddania.

Tak więc scena ta, którą Tomasz właśnie skończył notować z pamięci, wyreżyserowana tak łatwo musiała być jedną z wielu możliwości istnienia: stan niepewności i zauroczenia troską. Dla-

tego tragedia, jeśli rozegra się taka, przedstawiona być musi w ujęciu wewnętrznym i w postaci szczególnego mechanizmu działania. Widzialne ciało kobiety na usługach jej wewnętrznego, a więc niewidzialnego ciała. Wysilek mężczyzny żalony i ośmieszony już na poziomie intencji.

– Zapominasz, jak to było naprawdę.

– Ale stwarzam tym zapomnieniem realiów najprawdziwszą i najdokładniejszą wersję.

Żadna wersja nie jest prawdziwsza od zapisanej.

Przypomniał się Tomaszowi prezent – płyta Michała Żebrowskiego „Lubię, kiedy kobieta”. EMPIK, kawiarenka Bliklego na piętrze. Blaty jak gdyby wymyte deszczem, łagodnie zaokrąglone, białe. Tomasz i Dagmara spotkali się tu umówieni. Siedzieli, pijąc sok z pomarańczy, płosząc lub wręcz rozrywając unoszące się w niewidzialnych wirach, spiralach i serpentynach cząsteczki powietrza wokół nich. Wyglądało, że bawią się dobrze. Wyglądało, że znowu na moment są razem.

– Chodźmy do mnie, Adama dziś nie ma – zaproponowała nieoczekiwanie Dagmara.

– I co będziemy robić?

– Obejrzymy film. „Dziewczyny do wzięcia” Kondratiuka. Widziałeś?

– Nie.

Miała w spojrzeniu coś obezwładniającego, coś, co kazało Tomaszowi myśleć o niemocy, która może ogarnąć każdego w najmniej spodziewanych okolicznościach. Próbował więc nie dotknąć jej nawet spojrzeniem, ale tylko ją tym rozdrażnił.

– Byłam naiwna – powiedziała już w domu, nastawiając wideo i zaczynając swój starannie obmyślony spektakl. – Myślałam, że można brać nic nie dając. – Popatrzyła na niego ostrożnie, sprawdzając czy dobrze zrozumiał. Tomasz widział, że grała oszczędnie i raczej według Stanisławskiego niż Brechta. Laureatka nagrody imienia Ofelii. Za system nerwowy na zewnątrz i stwarzane na poczekaniu napięcie. Tomasz siedział na fotelu

obok, nieruchomy jak wściekły tygrys gotujący się do błyskawicznego ataku. Dagmara, rozpedzona, nie zwracała na to wcale uwagi. – Zaprosiłabym cię na coś do jedzenia, na śniadanie... Ale my późno wstajemy... – W pewnej chwili zorientowała się, że przesadziła. By rozładować nieco atmosferę, powiedziała z żartobliwym patosem:

– Ty jesteś taki, że gdybyś przestał mnie kochać, przecież ja rzuciłabym się z mostu.

Spoglądała teraz na Tomasza z widoczną choć utajoną pasją, wzrokiem zwierzęcia, które widzi niebezpieczeństwo swoje i innych zwierząt – to było spojrzenie-majstersztyk, jedno z tych, które pozwalają nam odczuć, czym jest miłość, ta natrętna, drażniąca świadomość bycia rozpołowionym, niedostrzegalnie krwawiącym. Jak rana po mocnym wybuchu. To świadomość bycia oddzielnym od tego, czym było się wcześniej, kiedyś – od jedności, jej harmonijnej pełni.

– Wrażenie, że twoja jaźń patrzy na ciebie samego? – Pająk, nawet tutaj, nawet w tej chwili.

– Wrażenie, że nie masz już jaźni, bo odebrano ci wszystko.

W umyśle Tomasza zderzyły się naraz dwie myśli: że seksualność jest hormonalnym zapleczem poezji i że ludzie nie pragną szczęścia tylko bezpieczeństwa. Nie miał pewności, która z tych myśli może mu się przydać w tej chwili. Wyglądały na spuszczone z łańcucha, szalone, nie mające nic wspólnego z sytuacją.

Zjawisko, bo już prawie że nie osoba, coraz mniej ludzka, coraz bardziej przezroczysta i blada, wokół której roztacza się aura nieharmonijnych dźwięków – tak postrzegał siebie w tej scenie, kiedy to miał być jedynie widzem, a okazał się na wpół scenarzystą. Nie wątpił, że wyjdzie z tego pokoju, po filmie, i że pojedzie metrem albo taksówką do domu. Ale wiedział już, że zostanie go tutaj trochę, w tym powietrzu, wnikałym w te ściany. I że przez to odejdzie nie całkiem, za to – myślał – znowu trochę mniej żywy i mniej bliski sobie. Z filmu zapamiętał niewiele. Głównie to, co Dagmara odegrała dla niego już wcześniej.

Cały dzień zanosił się na deszcz. Słowa Dagmary określały Tomasza, nadawały kontury – szczególnie te, które wypowiadała z pełną świadomością, że rani.

– Martwię się o ciebie – mówiła.

– O niego się martw – odpowiadał, starając się, by nie dosłyszała wściekłości.

Ale to było jej wtedy potrzebne: ranić świadomie, do pierwszych oznak bólu w głosie i na twarzy. Po tym wracała w głąb siebie w poszukiwaniu bezkształtnej materii uczucia. Szukała dokładnie, lubieżnie, jakby dotykała nieznanego nagiego mężczyzny w ciemnościach, jakby słyszała za ledwie przepływ powietrza w pokoju i oddech tego mężczyzny. Jesteśmy połączeni – myślała o tej fantazji – nitką delikatnych spojrzeń, łagodnym uśmiechem, przechodzącym jak gdyby z mojej twarzy na jego niewidoczną twarz – i to jest w tym najseksowniejsze: niepewność, a raczej: pewność tej niepewności.

Tomasz był wtedy dla niej jak nieobecny.

Nie rozumiem tego – stwierdził w myślach. – Nie pojmuję i nie wiem co robić. To jest jak oślepiający blask, który każdy może nosić w sobie i nosi.

Był to blask z wnętrza ciała, z samotności i jej świadomości; Tomasz płonął od środka w gorączce, zachowując spokój tylko na zewnątrz. Czasami zdawało mu się nawet, że rozumie, czym może być samobójstwo, jednak za dużo zebrało się w nim energii, za dużo też jadu i nienawiści do świata, tej żółci, która tak doskonale konserwuje. Ale świat stał się naprawdę pusty – i nie trzeba było nauk buddyzmu, by to dostrzec. Rzeźba chmur wypełniała przestrzeń; zanosił się na solidny deszcz.

– Naprawdę, czasem nie wyglądasz zdrowo – nalegała nie wiadomo na co i po co.

– Już mówiłem, że nie potrzebuję pomocy – kłamał wiedząc, że od niej nie może spodziewać się niczego. Skupiał się na patrzeniu, jak palce demiurga przedzierają się przez otchłań błękitu, dotykają jej włosów i ust, rozpinają guziki jej bluzki. Tomasz tak właśnie to widział i od tego czuł się jeszcze gorzej. Istnieją

aspekty tortury polegającej na obecności niemalże piekielnych piękności, z których każda kładzie się neurotycznym cieniem na żywym systemie nerwowym. Dusza? Tak, ale przede wszystkim widma i pojawiające się w ich obecności słowa. Słowa powracające w rozmaitych i nieprzewidywalnych porach, słowa pustoszące nawet ten ostatni szlachetny obraz jaźni okaleczonej – duszy – tej, którą tak łatwo zrujnować, posuwając się drogą przymierza z diabłem i nieskończonością. Żywi nie znają tych odczuć, dopiero w połowie martwi poznają smak tego stanu, jego zwodniczy urok. Aż po myśl, że być może rozczarowanie, którym delektują się z takim upojeniem na twarzy, jest jeszcze jedną pozą, fałszywą jak wszystkie poprzednie, równie nędzną.

Łapał się na tym, że chciał mieć Dagmarę blisko i nie chciał jej jednocześnie w ogóle.

– To nie umysł mnie zwodzi – mówił wtedy do samego siebie.

– To ja sam.

Lekki podmuch od okna był szybkim potwierdzeniem myśli i gwałtownym zaprzeczeniem słowa. Nie widział dobrego wyjścia.

Niebawem spadły pierwsze zimne krople.

ROZDZIAŁ XXI

Niezliczona ilość anomalii ludzkich...

W ciemnoszklistym, piwnicznym wnętrzu „Kuchcika” Tomasz powoli wyrównywał rozpalony po biegu oddech. Spieszył się na to spotkanie, aż mało co zauważał. Wymijał ludzi idąc Świętokrzyską, jakby nie wierzył, że jego zegarek nie kłamie i że zdąży. Dagmara prosiła go o to spotkanie tuż po rozmowie ze swoją męczącą matką. Zapłakana i wyniszczona bezsensownymi pocuczeniami starała się nie wyglądać na taką. Lecz wyglądała. Kiedy postawił ją na nogi, aplikując serię skutecznie pocieszających historii, z wdzięczności powiedziała to, co, jak myślała, najprędzej pragnął usłyszeć:

– Chciałabym zrobić ci teraz laskę.

Nie odpowiedział nic na to wyznanie, które go zaskoczyło, choć nie powinno, ponieważ już wcześniej zdarzało się jej w taki sposób okazywać przywiązanie do niego.

Uniosła rękę, żeby przywołać kelnerkę; przez moment mignęło Tomaszowi wgłębienie jej delikatnej pachy, tak białej jak smakowity brzuch złowionego pstrąga. Bawiły go te zwierzęce metamorfozy. Ją bawiło bycie jego znajomą. Nie rozumieli się, ale ponieważ milczeli, wyglądało, jakby rozumieli się świetnie.

– Czego ty chcesz?

– Chciałabym, żeby więcej spraw w życiu działa się ze szczęścia, a mniej ze zmęczenia. Albo żeby było tego chociaż po równo.

– Nie za dużo wymagasz?

– Nie umiem przestać o tym myśleć. A kiedy nie umiem tak przestać, pojawia się *inna możliwość...* O tym nie można mówić, więc także posłuchać nie można. A jednak pojawia się przekaz, *inna możliwość przekazu...*

Demiurg wstrzymuje oddech, a jego ciało kurczy się. Demiurg nabiera powietrza, a jego pustka rozrasta się na całą przestrzeń. Spojrzeniem ożywia ludzi, bezgłosem ocienia miasto. Najpierw

ciemnieją ściany, przygasają ustawione na stolikach świece, cień wypełza na salę, gdzie siedzą, wchodzi na krzesła, zajmuje miejsce na jego kremowej koszuli spodniach, a także na jej błękitnej, stonowanej sukience; dalej cień kładzie się obok ich toreb, na ławach, na stołach, na barze. Z tego cienia wychodzi do nich nieświadoma zjawisk psychicznych kelnerka, pyta czy czegoś nie chcą, czy wszystko dobrze. Płuca demiurga unoszą się przed wydechem. Płomyki ruszają się niespokojnie przed oczami Tomasza, migoczą, jak powiedziałyby o ich wyglądzie Dagmara. Nagle przyjmuje ich śmierć, chociaż nie zdają sobie z tego sprawy; po prostu bierze ich cicho za pulsujące tętnicami przeguby, wyprowadza z tych ciemnoszklistych włości. Może bardziej nawet szklisto ciemnych niż ciemnoszklistych... Może bardziej nawet nienawistnych niż dostosowanych do ich przypadkowych spotkań.

– I moglibyśmy tak zostać? – spytała Dagmara.

– Gdyby to było możliwe... – odpowiedział bez zwykłej pewności.

Tomasz otrząsnął się... Toksyczni rodzice, praca, redukcje, niebezpieczeństwo utraty...

Patrzył na usta przed sobą i chciał je całować lub gryźć.

Spotykali się teraz dzień w dzień, umawiając się telefonicznie; Tomasz dzwonił, kiedy miał przerwę w pracy, Dagmara, jeśli akurat mogła. Rozmowy były konkretne i krótkie.

– Pojedziesz dziś ze mną na zakupy?

– Jeśli chcesz...

– Chcę.

Tesco. Estetyczny hangar przy trasie wylotowej z Warszawy. W środku jasno, z głośników nieistotna muzyka, gwar. Półki – pomyślał Tomasz, kiedy przyszedł tu z Dagmarą po raz pierwszy – zdają się pływać, ludzie unoszą się między nimi jak duchy, sięgają po rzecz, oglądają i z grymasem szczęścia lub niepewności umieszczają w gigantycznym koszyku na kółkach. Poruszają się niemal bezszelestnie od promocji do promocji, od okazji do następnej okazji. Oferta specjalna: przy zakupie lodówki bon poda-

runkowy o wartości dwustu złotych, do zrealizowania w dowolnym terminie. Byle tutaj. Uwaga: raty. Prawdziwe, bezprocentowe. Kredyty, fachowa pomoc i może pan zechce skosztować. A pani? Życzymy smacznego przy zakupie większym niż kilogram. Prawda, że dobre? A między wszystkim rozmowa o depresji Adama. O samotności we dwoje, z mężczyzną o cechach nadwrażliwego dziecka.

– Nauczyłam się rozpoznawać po drobnych gestach co mu jest i nie umiem mu pomóc... Jego wszystko dobija... Jest taki delikatny, bezbronny... O, poczekaj, muszę do niego zadzwonić. – Dagmara wyciągała z torebki komórkę i dzwoniła, halo kotku, dobrze, dobrze, będę później, właśnie robię zakupy, tak, sama, co ci kupić, szyneczki? Dobrze, ile? Tak, kocie, tak, no dobrze, nie, nie czekaj, będę później, nie, nie, wszystko dobrze.

Tomasz wtedy oddalał się trochę, stawał z boku, rozpoznawał tę śmieszność, która stała się jego udziałem, odkąd bywał z nią w takich sytuacjach. Potem zwykle powracali do wątku przerwanej jej atakiem sumienia. Lecz tym razem pojechali do niej, ponieważ okazało się, że Adama miało nie być. Po drodze Tomasz próbował wymyślić antydepresyjną terapię.

– Dlaczego zależy ci, żebym była dla niego dobra? – dopytywała się go Dagmara.

– Bo to dla ciebie ważne – nie chciał powiedzieć nic więcej.

Kolacja u niej. Przystawka: pomidory z mozzarellą. Danie główne: makaron z sosem grzybowym. Soki grejpfrutowy i pomarańczowy. Potem groza, coraz więcej grozy. Wstał nagle i powiedział, że idzie.

– Zostań. Albo idź. Ja chcę i nie chcę. Denerwuje mnie ten twój spokój. Kim ty jesteś? – Jest na świecie trochę takich ludzi. Czytasz ich książki, chodzisz na ich filmy, słuchasz ich muzyki – i nic o nich nie wiesz. Ale w istocie różnimy się niewiele...

Ktoś mógłby pomyśleć – zanotował po tej rozmowie – że opowiadam zdarzenia, które działy się raczej we mnie, w najgłębszych i najbardziej odosobnionych obszarach duszy, a nie, że to była historia kilkudziesięciu spotkań, jednej zdrady, jednego i nieodwracalnego końca.

– Pójdę już. Za dużo czasu ci zająłem – uciął tamta rozmowę.
Na klatce zapalił gauloisesa. Spod Cepelii wziął taxi.

Włożyć ręce w kieszenie – pomyślał na pustej ulicy – wykonać choć taki gest, byle zrobić coś na zewnątrz siebie, kiedy istnieje pewność, że trzymanie się wciąż swego wnętrza prowadzi do nowych zranień i nowych, niechcianych obrazów.

III

**...i tak nie udawało się mówić
o tym, co najważniejsze**

*zbudzi cię miłość,
której ja nie miałem*

Roman Honet

ROZDZIAŁ XXII

Ukrywali się nawet przed sobą...

Budził się ze snu o niej, po rozmowie z nią, po nierealnej miłości, wysuwał rękę spod nasyconej sennym ciepłem kołdry, sięgał obok... Łóżko było w tym miejscu tak puste i zimne, wystygłe... Podnosił się mimo wszystko, mimo świadomości całkowitego bezsensu jakiegokolwiek działania, mimo całej uderzającej w jego system nerwowy pewności, że nic z tego, czego by się podjął, nie okaże się sensowniejsze i lepsze od tego, co było już wcześniej, odkąd pamięta, aż do tego momentu. Trudno w tym migotaniu wyobraźni dostrzec światło osobistej prawdy, lecz jeszcze trudniej pojąć fakt, że ktoś, kto tak myślał o tych przeżywanych na bieżąco sprawach, mógł mieć moc, aby stworzyć ze swoich resztek osobę zarazem fikcyjną i tak absurdalnie realną. Tomasz brał za tworzywo to, co tak dręczyło jego umysł i pracował bez wytchnienia, wiedząc, że wyłącznie w ten sposób ocalić może choć część z tego, co przeżył. Lecz i tak nie miał satysfakcji ze swojej pracy, nie miał jej może tak samo, jak Dagmara rzadko miała ją w swojej. Chęć stworzenia aury sprzyjającej współuczestnictwu, aury, w której czytelnik stałby się z własnej woli i dla przyjemności stwórcą ożywającym bohaterów dzięki myśli i odruchowi – to właśnie skłaniało Tomasza do takiego przedstawienia tych ranków. Ukrywał się nawet przed sobą... Ale opisy, które pozostawił, zapoznawały go nie tylko z jego własnym życiem, które nie dawało porównać się z niczym, ale z życiem w ogóle, takim, jakie ono jest w swojej okrutnej prostocie. Wystarczy.

Dagmara lubiła się wyspać. Zawsze, kiedy mogła sypiała długo i mocno, nie pragnąc wstać zbyt wcześnie, by żyć. Dla niej także nie istniało nic z tego, co powszechnie nazywa się sensem. Jedynie kredyty i pewność, że musi je spłacić w terminie. Dlatego budziła się wolno, wyczuwając obecność Adama, poruszała się delikatnie, przytulała się do jego pleców,

oddychała nim, wspólną nocą... przynajmniej dokąd nie przypomniała sobie o Tomaszu... Ale i to raczej wcale jej nie przeszkadzało. Bardziej bała się swoich koszmarów.

– Jestem tam, nie wiem, gdzie to dokładnie jest – opowiadała jeden z nich Tomaszowi. – Jestem tam i czuję potworny lęk, nie wiem przed czym i dlaczego... Nagle widzę, jak pojawiają się znajomi męża, ja ich też znam... kiedyś bawiliśmy się razem... to jest straszne... oni śmieją się ze mnie... każdy niesie w moim kierunku przedmiot... to jakiś pojemnik, nie wiem, nie pamiętam albo nie widziałam dobrze... Nagle rzucają tym we mnie... To jest białe i lepi się do mnie, cieknie po moich włosach... – Nie mówiła, jak bardzo ją to podnieca; ale tego Tomasz domyślał się z innych jej opowieści. Tak samo jak tego, że pragnęła mężczyzny bardziej samczego niż ten, którego miała w swoim łóżku co noc. Lecz by go osiąść – ta myśl należała wyłącznie do niej – nie wystarczą pieniądze; trzeba także, aby umiała wycofać się w samą siebie, aż do najdalszych, śmiała się, że prehistorycznych czasów. Do postaci innego bytu, może mniej skomplikowanego zwierzęcia, może żywiołu takiego jak ogień czy woda. To z tym Tomasz zetknął się, kiedy ją spotkał, to o tym nie miał pojęcia. Bo nigdy wcześniej nie trafił na kobietę tak podatną na diabelskie wręcz metamorfozy wnętrza. Zdolną śmiać się, aby zaraz skomleć. Zdolną patrzeć, jak on przy niej spopiela się, kamienieje, powstaje inny niż był, albo zanika taki, jaki był.

Budzili się z dala od siebie, to jedno nie miało się zmienić. A nawet jeśli...

Dagmara... Tak, Tomasz widział ją, niewyraźnie, w pamięci. Był to moment, którego nie sposób przywołać w całej ostrości wyrazu: sekunda z tajemniczego życia, sekunda, którą przeoczyć jest łatwo, i którą, w istocie, zawsze się ignoruje – po czym trudno jest już zebrać fakty w całość spójną i wytłumaczalną; opisać. Dagmara... I każdy jej nastrój...

– Ty płaczesz?

– Jak dobrze, że jesteś.

Wtedy także, po raz nie już który, spytał cicho, czy nie mógłby pojechać z nią do jej rodziców, pomóc przy chorym ojcu, aby ona mogła zająć się niespokojną i przemoczoną matką, żeby mogła zrobić z matką cokolwiek. Chciał jej pomóc, więc pytał, nie narzucał się i nie nalegał.

Rozpłakała się jeszcze mocniej. Z powodu wyrzutów sumienia lub dla ulżenia sobie, skoro mogła. Powracała do niej zadawniona potrzeba umierania i o tym też mogła z nim tylko mówić. Adam był nieobecny. Adam był nie do tego.

Tomasz łudził się, że pomoże jej sprostać światu i że ona zrozumie, że przy nim mogłaby zawsze już czuć się bezpieczna i spokojniejsza o przyszłość, a nawet przeszłość.

– Widział ją teraz wyraźniej?

– Widział ją w jej niepokoju.

A jednak bywały też chwile, kiedy wszystko, co robiła dla Tomasza, było jedynie litością, chociaż on nie odpłacał jej taką samą sfałszowaną monetą. Dlatego może odczuwał wtedy stan niewygodny: efekt wywołany litością kobiety, której pragnął i którą tak bardzo kochał. Czy była świadoma bólu, jaki umiała zadać? Czy nie bała się, że dosięgnie ją zemsta (długie palce Nemezis czyhały w powietrzu)? Tomasz nie myślał w ten sposób. Oszukiwał się i wystarczał mu drobiazg, by podtrzymać wędną iluzję. Robił to być może jedynie dlatego, ponieważ nie mógł ścierpieć, że jego miłość i wszystkie wokół niej zabiegi okazywały się stratą czasu. Pocieszał się myślą, że oferując jej pomoc, darowuje jej także część tortury przeznaczony dla tych, którzy okazują nam naszą zbędność.

– A to? Czy mu pomagało?

– Po prostu szedł za nią, ukryty. Wyzbyty narzędzi zadości. Na krótko...

Zazdrościć zaczął już później, po tym wszystkim co go upokorzyło. Kiedy zrozumiał, że każdy dla każdego, że wszyscy jesteśmy okrutni, że wszyscy jesteśmy straszliwi i bezlitośni nawzajem; że każdy jest tylko jak kropla deszczu co spływa po zimnej ścianie tak obojętnie i wolno, jak gdyby nie istniał czas. Możemy próbować rzucać się sobie na ratunek – to miało na myśli Tomasz, proponując Dagmarze pomoc przy ojcu – lecz nie możemy pomóc rzeczywiście, tak że ratunek jest wybawieniem pozornym. Nierzeczywistym. A przede wszystkim – absolutnie i nieodwołalnie nieskutecznym. Dagmara... Litość jest zaledwie impulsem, odruchem biologii. Litość każąca Tomaszowi ofiarować całkiem zbędną – z punktu widzenia Dagmary – pomoc, okazała się więc pretekstem dla ujawnie-

nia się jej niepewności, nic więcej. Wymknęło się jej kilka łez – i co z tego? W chwilę później roześmiała się po koleżeńsku. Nie o to przecież chodziło, by pojechał z nią on czy ktokolwiek. Nie było motywu zbrodni, nie było więc żadnej zbrodni.

Któregoś dnia, podobnego do wielu poprzednich, zanim stanęła samochodem pod jego domem, by tam przez dwie albo trzy godziny rozmawiać o wszystkim i o niczym, o jej wielkim zmęczeniu i jego uczuciach do niej, podjechali pod wypożyczalnię filmów wideo, bo Dagmarze zależało na oddaniu filmu, który już obejrzała z Adamem i wypożyczeniu innego. Przeprosiła więc na chwilę Tomasza, zaparkowała i wysiadła, przebiegając przed maską i uśmiechając się do niego przez szybę. Tomasz odesłał jej uśmiech, raczej ruch warg, samych kącików ust niż coś więcej, gdyż na więcej nie potrafił się zdobyć.

Nie było jej kilka minut.

Zanim wsiadła z powrotem, powiedziała:

– Ten film miał cztery gwiazdki w katalogu filmów wideo, a ja ufam temu katalogowi.

– Dobrze, że jest jeszcze coś, czemu można zaufać, nawet jeśli to tylko katalog filmów wideo – odpowiedział machinalnie Tomasz i zaraz złapał się na tym, że nie powinien tak mówić. Skoro już jednak słowa padły, skoro zaobserwował animalny grymas niedowierzania – że mógł coś tak okrutnego powiedzieć – i żalu – że znowu wszystko kończy się nieufnością i rozgoryczeniem – poczuł, że nieodwołalna decyzja zapadła. W jej wyniku utracił na moment poczucie tożsamości i wewnętrznej spójności, co zdarzało się zawsze, ilekroć nie zgadzał się z własną intuicją.

Wokół ich słów trwała gęsta i poczerniała mgła.

Na szczęście istnieje urok zakochanego, który nie potrzebuje słów; piękno nieme i wyraziste od podstaw. To pozwala złączyć się mimo różnic, ponad nimi i rozszalałym światem. To daje niepowtarzalną szansę oddania się we władanie czasu i złej pamięci – co Tomasz właśnie zamierzał. Lecz by to osiągnąć, musiał nagle znaleźć się całkiem gdzie indziej; wyobraził to sobie i na chwilę stał się nieobecny.

Marzył, żeby pieścić ją, całować, cieszyć się. Marzył o innych dniach, innych miejscach, innych ludziach naokoło nich. Kiedy wyszedł już z tego stanu, powiedział:

– Zmieniło się.

– Co?

– Bardzo wiele, ale nie wiem, jak powiedzieć ci o tym dokładnie.

Nie chciała słuchać.

Nie chciała męczyć się tłumaczeniami. Powiedziała:

– Dziś mogło by to być we mnie, lecz nie ma. – Myślała o swoim pożądaniu.

To była kara. Balans na ostrej granicy między nieznanym i tym, co już dawno odkryte i ujawnione nieprzewidzianym sposobem. Tomasz pogłaskał Dagmarę po policzku.

– Nie rusz – syknęła. A potem nie wiedząc, czy tak będzie lepiej czy nie, sama wzięła jego rękę, zaczęła wodzić nią po nosie, czole, ustach – uśmiechając się przeproszająco. Oblane szafirem powietrze omywało ich w zmierzchu i ciszy. On oszukiwał samego siebie i jednocześnie dążył wszystkimi dostępnymi mu drogami do celu; kłamał sobie i dla siebie szukał zaspokojenia. Ona także kłamała, ale z innego powodu; ona już nie ufała sobie.

ROZDZIAŁ XXIII

Urok dematerializacji rzeczywistych postaci i zdarzeń...

Mistrz Szeng-jen, którego Tomasz czytywał czasem do poduszki, opowiedział kiedyś taką historię. Szósty Patriarcha Hui-Neng przyszedł pewnego dnia do świątyni, gdzie usłyszał rozmowę dwóch młodych mnichów, którzy obserwowali flagę na maszcie. Jeden z młodzieńców pytał właśnie drugiego:

– Widzisz, jak flaga się rusza na wietrze? – Szeng-jen notując tę anegdotę miał przed oczami uśmiech Buddy prześwitujący przez obłok sunący leniwie nad głowami adeptów i stojącego nieopodal nauczyciela.

Drugi z młodzieńców chciał błysnąć, więc z wyższością w głosie stwierdził:

– Nie, flaga nie może się poruszać, to wiatr się porusza.

Słyszając to, Szósty Patriarcha powiedział:

– Nie porusza się ani flaga, ani wiatr. To umysł się porusza.

Dwaj młodzi mnisi doznali natychmiastowego oświecenia.

Istnieje też dalsza część tej przypowieści – czytał Tomasz – widzący teraz w myślach uśmiech Szeng-jena prześwitujący przez obłok, taki sam jak nad głową adeptów. Pewnego razu mniszka Miao-Hsin przysłuchiwała się dyskusji siedemnastu mnichów, którzy komentowali historię z flagą. Rozmawiali gwałtownie o poruszającym się wietrze, o poruszającej się fladze i o umyśle. Młoda mniszka przysłuchiwała się temu cierpliwie, aż w końcu postanowiła wtrącić się i syknęła:

– Ciekawe, ile wy jeszcze będziecie się tak poruszać.

Zapytali ją, co ma na myśli. Powiedziała:

– Nie ma nic, co by się poruszało.

Istotnie, nie ma nic, co mogłoby się poruszać, a jednak nikt tego nie zauważa. Także Tomasz, któremu opowieść mistrza wy-

dawała się naturalnie prawdziwa, nie potrafił powstrzymać umysłu, nie potrafił w umyśle powstrzymać tego potoku obrazów i wspomnień, a nade wszystko nie umiał wyjść z tego ciągu spazmatycznych uczuć, które wywoływała w nim Dagmara. Gdyby udało mu się dokonać aktu wstrzymania choć na ułamek sekundy tego piekła, którego coraz szybsze i coraz bardziej konwulsyjne obroty zamieniały go w niepodobny do osoby, jaką był jeszcze kilka miesięcy temu, wyniszczony układ nerwowy – mógłby mówić o czymś na kształt oświecenia. Ale wiedział i wiedza ta napawała go obrzydzeniem, że kochając nie ma szansy na wejście w świat spostrzeżeń nieskażony pragnieniem. Dlatego cały ten buddyzm, lektury patriarchów i *guru* były zaledwie wytchnieniem i ulgą na czas krótki, niepełny, nietrwały. Dagmara lubiła słuchać, kiedy mówił jej o *satori*, kiedy streszczał albo cytował lekcje zen i komentował z ironią i drobiazgowo *koany*, jednak nie dostrzegała w tym nic nowego. W jej pamięci istniał ciągle tamten inny, wcześniejszy buddysta, jego palce, ten dotyk, jak mawiała, świetlisty i porażający na wskroś. Tomaszowi opowiedziała to krótko:

– Zlizaliśmy wtedy nawzajem z siebie chyba beczkę nutelli. Tak było.

Tomasz słysząc to nie poruszył się. Nie poruszył się w nim żaden mięsień. Nie poruszyło się nic w jego twarzy. Zapamiętał, że płynęła w nim krew, którą słyszał. Zapamiętał, ponieważ chciał zapamiętać. Ruch pamięci był w nim ruchem jedynym.

Któregoś dnia Dagmara znów zabrała Tomasza na Sąchocką, do Vera Italia, swojej ulubionej pizzerii. Trwało lato, kończył się parny dzień, usiedli na zewnątrz, wśród klombów. Jak dotknąć, jak dotknąć tak, żeby nie urazić? Poczul bijący od niej zapach. Naturalnie *Angel* wymieszany z niepokojem i szczęściem, jakby dopiero co wypłynęła spod wody, przebijając w nagły sposób granatową taflę. Pod chmurami z fantastycznych zamków, pod księżycem ściętym równo i niskim. Mówiła do świata całym ciałem, a świat zdawał się jej odpowiadać. Kiedy czuła, że nie rozumieją się, narastało w niej złowrogie fuczenie i milkła. Obrażała się i zaczynała prosić Tomasza.

– Opowiedz coś. Mów do mnie. – Wcale nie chciała słuchać. Nie interesowały jej słowa, tych miała dosyć na co dzień. Pragnęła szumu spółgłosek i pęknięć po samogłoskach, szukała w tych zgłiszczach kontaktu, ale innego, nie z nim.

– Ładnie ci – żartowała – z szarobłękitnym obłokiem, ciemnozielonym liściem, z wiotką gałęzią nad głową.

Przy okrągłym stoliku. W restauracyjnym ogródku.

Zanurzony w nauczaniach rozmaitych *tulku*, Tomasz skłonny był przypominać ich myśli.

– Dlaczego jesteście tacy cholernie ambitni? Czy ambicja nie jest ucieczką od tego, co rzeczywiste? Wyłączyć na chwilę świadomość, unieruchomić choć na moment ten wprawiający w przerażenie mechanizm, czy to byłoby wyzwajające? Być kreatywnym w każdej chwili życia, to być wolnym od cieni rzutowanych na ściany umysłu przez zabarwioną zawsze na czarno przeszłość...

Ożywiło ją słowo „kreatywny”. Uśmiechnęła się, powróciła z daleka. Bo była przez chwilę z Adamem w ich wspólnym, niesamowitym smutku, z którego wydostawała się teraz, ale nieznacznie, nietrwale.

– Mów jeszcze. To ciekawe, co mówisz. – Próbowała być tu, przy Tomaszu.

– Wszechświat jest na trwałe obszarem ciemności. Każdy przedmiot ma ją za plecami, każdy człowiek z niej najpierw wychodzi, a za moment – za lat trzydzieści lub sto – w ciemność musi wejść, zniknąć w niej niczym w ogniu. – Mówiłby tak do niej godzinami, ale zdradzała objawy znużenia. Patrzyła w głąb pamięci, aż wydostała z niej to.

– Mąż pewnej mojej znajomej nie pozwalał jej na onanizm. A to przecież nie miało nic wspólnego z jej miłością do niego. Zresztą ona, jeśli chodzi o niego, zgodziłaby się na więcej.

– To znaczy?

– Na przykład, żeby się z kimś przespał.

– A co ty na to?

– Czasem sama lubię to sobie robić. Więc ją rozumiem. Zwyczajnie.

– Podobno mózg oświeconego – powiedział Tomasz po chwili – nie jest już zwykłym mózgiem, a jego serce nie jest zwyczajnym mięśniem sercowym. Ale tego nie można udowodnić. Pozostają domysły.

Z początkiem parnego sierpnia – w wyobraźni taki już zostanie – Tomasz i Dagmara spotkali się na jej życzenie. Nie była to chwila tryumfu, mimo że zanosilo się pięknie. Przyjechała po niego wieczorem, a kiedy wsiadł, powiedziała bez wstępów:

– Jestem brudna. – Potem zaczęli pieścić się i całować. W tamtej chwili – tak zapamiętał – słońce szarzało i robiło się głupio smutne. Ono także ma swoją wiedzę i rozumie, kiedy niektórzy kłamią. A kiedy dwoje ludzi kłamie, kłamstwo jest zawsze co najmniej poczwórne. Ona kłamie jemu i sobie, on kłamie jej i sobie, a oboje kłamią jedno drugiemu. Nie ułatwia to porozumienia, a i ten, kto widzi wszystko z dystansu, z pomieszania nie może wyjść długo.

– Jestem brudna – usłyszał raz jeszcze, wyraźniej. – Jestem tu z tobą od godziny i pragnę tylko tego, żebyś nie przestał mnie dotykać. – Spuściła głowę i czuła, jak lekko dotykał jej karku. Drżała i całe jej ciało prężyło się pod palcami. Delikatność ma swoją poezję, której nie wolno nam ranić. Czasem dusza jest zbyt subtelna dla rzeczywistości, w której los ją umieścił. Na peryferiach miasta, pod lasem, gdzie nawet sarny pojawiają się od czasu do czasu. Jej ruchy właśnie tak niespokojne, jej puzek na karku – zjeżony.

– Nie nauczyłam się zdradzać – powiedziała. – Jeśli tak dalej pójdzie, będę musiała przestać spotykać się z tobą. – Poznawał w tej chwili pęknięcie, przez które przesącza się ogień. To kryterium nienawistnego uczucia, pytanie o brud, o istotę. Poczucie wstydu i nagłego wobec takich słów zażenowania upewniało ich o jego obecności. Ten brud istniał naprawdę, ponieważ ona go w sobie poczuła. Tymczasem patrzącemu i słuchającemu Tomaszowi nie wolno było zatrzymać się na tym dłużej. Musiał podejść do tego, co brudne, podnieść to i włączyć do dzieła, żeby

nabrało smaku. Miało być gorzkie i słone. Miało być jak kurz i jak rdza. W ten sposób to, co pozornie najgorsze, staje się najbardziej poruszające. Bez tego nie ma miłości, jej dzieł i obopólnego milczenia, za którym w tęsknocie otwiera się nocą ciało. Ale bez tego nie można także nauczyć się, czym jest noc, przez którą kobieta tak samo jak i mężczyzna musi przejść bez niczyjej pomocy.

– Jako terapię poleca się – śmiał się Tomasz – wierność nie ciałem, ale brudnymi myślami, których nie potrafimy wyznaczyć nawet samym sobie. Oskrobmy więc płyty duszy i zabawmy się w alchemików. Przejdźmy etapy procesu, który kończy się jednością przeciwieństw. W ten sposób z brudu wydestylujemy czystość; ponieważ w nim jest. Trzeba cierpliwie szukać, aż trafi się najprawdziwsze złoto.

– Żartujesz? Ty i te twoje pomysły.

– Tak to przeżywam. Być wiernym ciałem, to proste. Tak myślę i tak to rozumiem. Ale w chwili wracam do czasów, gdy znałem sierść i nie wstydziłem się chodzić nago. Nawet spotkanie tutaj nie zmieniło wiele w przekonaniach, ugruntowanych pod innymi gwiazdami. Nie mam nic przeciw temu, co proste. Ale nie wszystko jest proste.

Potem Tomasz wyciągał rękę, dotykał jej szyi i uniesionego do pieszczoty podbródka, patrzył w zmrużone jak u zwierzęcia oczy. Pomyślał, że byłaby w stanie rozszlochać się przy mężczyźnie w orgazmie. A potem zrobić to samo z następnym.

– Przestań – usłyszał na koniec. – Nie wiem już, co mam zrobić.

ROZDZIAŁ XXIV

Ale o tym, gdzie właśnie byli, wiedzieli najmniej...

Być może tak zwana miłość kończy się w jednej, otwartej i głębokiej jak zranienie chwili, kiedy zdajemy sobie nieodwołalnie sprawę, że rozczarowujemy tego, kogo kochamy i zgadzamy się, że już stale będziemy go rozczarowywać. Mimo naszej tak zwanej miłości, mimo tak zwanego całkowitego, w drobiazgach wciąż jeszcze bywa że pięknego i pogodnego zaangażowania. Być może tak kończy się każda ambientna symfonia krwi i hormonów – po crescendo nagły zjazd aż do ciszy. Być może nic innego nie ma i być nie może. Ale tam, gdzie tkwił Tomasz z Dagmarą, wiedza najmniej mogła służyć pomocą, tam nie dawało się nic wytłumaczyć, było to miejsce zagadki i gry.

Pocałunki i delikatne pieszczoty po wspólnych zakupach w Tesco, po tym, jak wystraszona nagłym obrotem spraw Dagmara opowiedziała Tomaszowi, że jej Adam znowu stracił pracę i że ona jest wobec tej wiadomości bezradna, ponieważ nie wie, jak mogłaby mu teraz pomóc.

– Jedź, bądź przy nim, powiedz mu, ile dla ciebie znaczy. – Tomasz nie czuł, że mógłby mówić w takiej chwili inaczej. Ale ona nie skorzystała. Powiedziała jedynie na koniec:

– Dziękuję, wiedziałam, że postawisz mnie na nogi.

Jakby to nie o Adama chodziło, a o nią, wymagającą cały czas uwagi, w każdej chwili skupioną na sobie.

Kabotyństwo może być – tak pomyślał Tomasz o sobie, gdy zrozumiał, że nie tego potrzebowała – dziełem sztuki i to sztuki czystej. Dla Dagmary było ważne, by ona nie musiała obawiać się straty. To dlatego powiedziała kiedyś:

– Wiążę z tobą nadzieję, Tomaszku. – Teraz wiedział już, czego to dotyczyło.

A tamten? Adam. Siedział nieruchomo, beczynnie, wygaszony, w półmroku jej kuchni. Patrzył na wielką lodówkę, na wieszak obwieszony jego stylowymi kurtkami, na zwisające z haków czapeczki, tak dobre w czas słońca i modne. Potem przenosił wzrok na dwa duże i rozleniwione koty, z których jeden spał ułożony na stole, najwyraźniej nieświadomy ludzkich trosk i załamań, podczas gdy drugi, oblizując się różowym jak dziecięce paznokcie języczkiem to zbliżał się, to oddalał od miski, w której stało jeszcze świeże mleko, a podchodząc tak i zawracając w miejscu, nie wyglądał na przejętego czymkolwiek. Adam wiedział już, czego się może spodziewać, wiedział, czego Dagmara oczekuje. Ale był na to wszystko za słaby i jej oczekiwania nie pomagały mu ani trochę. Pragnął położyć się na łóżku i zasnąć, upaść nagle i obudzić się już po wszystkim. Chciał, żeby Dagmara nie kłamała mu więcej i żeby nie musiał znosić jej coraz późniejszych powrotów, dla których zawsze znajdowała wytłumaczenie. Dzisiaj też nie było jej do północy, a gdy wróciła, powiedziała tylko:

– Ktoś musi zarabiać, kocie – co skutecznie zamknęło mu usta i nie pytał już więcej o nic. Powiedziałyby mu, że była w pracy, musiała zostać, coś nadrobić, coś dokończyć, zaplanować, przemyśleć, komuś pomóc. Mógł to sprawdzić, ale wolał nie wiedzieć. Mógł to wiedzieć, ale wolał nie sprawdzać. Powiedziałyby mu, że go kocha i że inni są dla niej nieważni.

Gdy w raju zapadał zmierzch, co się działo? Noc w raju? Czy to w ogóle możliwe? Biblijny Adam spał, kiedy Bóg wyjął mu jedno żebro, żeby stworzyć kobietę, a więc Adam, na to wygląda, potrzebował snu. I musiał zasnąć, by zjawiała się towarzyszka jego samotności, kobieta, by nadeszło wraz z nią przeznaczenie. Ile w tym niewyjaśnionych zagadek, możliwości i tajemnicy. I jaka od tego miejsca daleka droga do wiedzy.

– Zawsze masz, czego chcesz? – spytała Tomasz Dagmara.

– Taka jest zasada – odpowiedział.

Zmierch rozsadał przestrzeń wokół nich, nie ograniczał jej, nie pomniejszał, zmierzch wybuchał w tej przestrzeni jak pożar.

– Nie zapominaj o mnie – poprosił, bawiąc się jej niepewnością. I własną.

– A myślisz, że mogłabym – popatrzyła z wyrzutem. – Chciałabym położyć się obok ciebie i zasnąć – dodała po chwili rozciągniętej na tyle, by zmieścić się w niej gest zapalania papierosa.

Kiedy wróciła do domu, Adam, zmęczony, już spał. Najpierw nie działo się nic szczególnego, potem wypadki potoczyły się lawinowo. Wydało się mu, że dom, w którym mieszka, nie jest domem, a oślizłym, gnijącym korytarzem, prowadzącym do tajemniczej krypty. Ujrzał go jako przejście ze świata żywych do świata umarłych i poczuł, że sam tkwi pomiędzy. Nagle poczuł, że w pokoju oprócz niego znajduje się ktoś jeszcze, próbował obudzić się albo chociaż odwrócić tak, żeby spojrzeć na zjawę, lecz nie mógł. Zorientował się, że postaci jest więcej, coś szeptały, naradzały się, cichły. Łowił dźwięki, ale były za słabe i usłyszał jedynie: „Powiemy mu? Nie powiemy?” Nie pojmował, co mogłyby oznaczać. Bał się strasznie, bał się z sekundy na sekundę bardziej. Podjął kolejną nieudaną próbę uniesienia głowy, ale jedyne co uzyskał, to złudzenie, że rozmawia z Dagmarą, które minęło tak szybko, że nie zdążył nawet ulec mu i uwierzyć w jej słowa. Co mówiła? Że nic się nie stało? Adam miotał się coraz gwałtowniej, paraliż mięśni przerażał go i najchętniej zaczęłby krzyczeć donośnie, gdyby tylko było to w jego mocy. Wreszcie pokonał swój bezwład, pokonał grozę i wyszeptał: „Nie mogę.” Dagmara, która go usłyszała, leżąc obok i rozmyślając o rozmowie z Tomaszem, odwróciła się gwałtownie w stronę jęczącego Adama i zapytała, co jest. Ten patrzył w jej oczy, nie wiedząc, czy jest jeszcze w swoim koszmarze, po czym zaczął jej opowiadać, bez ładu i składu, co zaszło.

– Najgorsze było uczucie – powiedział jej na sam koniec – że to nie sen, ale życie prawdziwe i ostateczne. Że myśleć o tym, co widziałem i czułem, to oszukiwać się prostym sposobem; i że trzeba by sobie powiedzieć, by pozostać całkowicie uczciwym: to nie sen. To naprawdę tak było.

– Ale co? – zapytała spokojnie.

– Nie wiem.

Popatrzyła na niego w milczeniu, odwróciła się i zasnęła.

Słonecznego piątego września Dagmara zadzwoniła do pracy Tomasza i umówili się na wieczorne spotkanie. Po dziewiętnastej w Vera Italia znajdowało się już sporo ludzi. Śniadolicy właściciel, prawie zawsze obecny, lubił siedzieć na wprost podwieszzonego pod sufitem telewizora i oglądać ruchome obrazki na kanale najczęściej włoskim. Teraz też było podobnie, właściciel siedział rozparty, gapił się na RAI Uno, a kelnerki poruszały się bezszelestnie.

– To dla ciebie – przesunęła w jego stronę paczkę, kiedy usiedli w jasnym wnętrzu pizzerii. W pudełku znajdował się ciemnozielony telefon komórkowy z kartą pop i instrukcją obsługi numer 504-726-975. Tomasz nie myślał dotąd o posiadaniu komórki, był z tych, którym nie była ona do niczego potrzebna, tym więcej cieszyło go więc, że to ona bardzo chciała, żeby wreszcie zaczął nosić przy sobie telefon, żeby mogli dzwonić do siebie jeszcze częściej.

– To dla ciebie – w rewanżu miał coś dla Dagmary w swojej torbie.

– Skąd... Jak ci się to udało? – wyglądała na ucieszoną i zaskoczoną. *W poszukiwaniu straconego czasu*, które dostała, miało podobno wyczerpany nakład. Tomasz znalazł tę książkę po kilku dniach poszukiwań i cieszył się wraz z Dagmarą.

Zamówili risotto, tiramisu i herbatę. Tomasz przypominał w tamtej chwili młodzieńca, który przekroczył ostatnią granicę miłości, przez co wywołał w sobie nieuleczalną, duchową chorobę. Zaczął od chęci zbliżenia i poszukiwań obecności kobiety, potem odczuł sympatię przy jednoczesnym zachowaniu spokoju duszy, wszedł w miłość, która przywiązuje i nigdy nie opuszcza, i tam – na czas niebezpiecznie długi – pozostał. Wieczór spędzany we dwoje stawał się palimpsestem pism świętych, szkicem pospiesznym na historii bóstw i demonów; i gdy tak siedzieli naprzeciw siebie, wpatrzeni – on w nią, a ona w daleką przeszłość

lub przyszłość – rozgrywała się inna historia, a także inna – jak to zanotował Tomasz już po powrocie, w nocy – o wiele donioślejsza i doskonalsza miłość. Tomasz zaznawał w niej innych też stopni uczucia. Zaznawał w końcu tego wszystkiego, o czym wiedział już Ibn 'Arabi. Była to najpierw miłość polegająca na wspomnianiu ukochanej przez kochającego, kiedy to nad miłością panuje jeszcze siła rozumu. Trwało to krótko. Później miłość zaczęła przenikać wszystkie części jego ciała, odczuł zamęt i potrzeba kochania stała się w tym momencie bezwiedną. To trwało już dłużej i stawało się coraz mocniejsze. Namiętne wspomnienia, zaślepienie, intensywne myślenie, aż do zamętu umysłu z powodu ogarniającego smutku miłości – taki stopień osiągnął niebawem. Ostatnim etapem był stan dominacji miłości, poza którym mogła być już jedynie – ta, którą Tomasz przekroczył bezwiednie – granica śmieszności i bólu. Czy to dlatego, że za mocno ją kocham – zastanawiał się nad kartką papieru – a taka miłość musi budzić odruch wstrętu i chęci poniżenia? Zbyt wielkie uczucie – myślał z żalem, odnajdując się w tej definicji – drażni aż do nudności, porusza i sytuje człowieka w rejonach, gdzie śmieje się z niego wszystko, każda rzecz, każda cząstka natury.

ROZDZIAŁ XXV

...i inne techniki łączenia się z Absolutem

– Inną techniką łączenia się z Absolutem – powiedział Tomasz, gdy tak siedzieli w Vera Italia – techniką, którą znał dobrze twórca metody *tikkun*...

– Co to takiego *tikkun*? – spytała znad talerza risotto Dagmara.

– *Tikkun*, czyli naprawa, technika łączenia się z Absolutem, którą polecał kabalista Izaak Luria – Tomasz zapalał się do tematu – był to sposób dawny i rzadko wykorzystywany, polegający na wyobrażaniu sobie nieskończenie jasnego blasku symbolizującego *chaluk*, płaszcz okrywający Boga, gdy objawił się Mojżeszowi na górze Synaj. Poprzez medytacje uczniowie mieli dojść do równie intensywnych przeżyć jak te, których doświadczył Mojżesz na widok owiniętej płaszczem postaci Boga. Według legendy – Izaak Luria często odwoływał się do tej przypowieści, zachwycającej go swoją prostotą i treścią – rabin Akiba ben Josef wraz z trzema innymi mędrkami oddał się medytacjom i odbył mistyczną podróż do Raju. Ich przeżycia były tak silne, że jeden z nich, rabin ben Azaj, umarł, gdy zapatrzył się na nieskończenie mocny blask. Jego dusza tak bardzo zatęskniła bowiem za źródłem owego światła, że odrzuciła fizyczną powłokę. Drugi, rabin ben Awuja, spojrział na niebiańskie światło i zobaczył dwóch Bogów zamiast jednego. Popadł w herezję i został apostatą. Trzeci, rabin ben Zoma, zobaczywszy nieskończenie jasny blask Bożej szaty, oszalał, gdyż nie potrafił pogodzić doznanej całym ciałem wizji ze zwykłym życiem. Jedynie rabin Akiba wyszedł z tego spotkania bez szwanku.

– I co mówił? – Dagmara wydawała się być zaciekawiona.

– Rabin Akiba – Tomasz zmyślił ten rabinacki komentarz – opowiedział o swoim widzeniu niewiele. W tamtej chwili, mówił, nie czułem, żebym cokolwiek musiał. Mogłem zostać i patrzeć i słuchać. Nawet nie patrzeć i nie słuchać, ale czekać. Nawet nie czekać, skoro nie było już na co, lecz być – całkiem samotnie i cicho – być w obliczu doskonałości Boga. Wszechświat sam się

przede mną odsłonił, jak odsłoniłby się w takiej chwili przed każdym. Wszechświat sam się przede mną odsłonił, pokazał swoją stronę ukrytą i wił się w cudownych konwulsjach, jak gdyby przesywany wciąż dreszczem. Tak mówił rabin Akiba – Tomasz bawił się swoim kłamstwem.

– Pycha – Dagmara odsunęła od siebie pusty talerz i sięgnęła po filiżankę z herbatą.

Później, w północy, w samochodzie zaparkowanym pod jej domem, kiedy Tomasz pieścił ręką wnętrze jej ud, kiedy siedział z ustami obwiedzionymi jej smakiem i zapachem, pomyślał – i tak zanotował to sobie – że to jest i piękne i straszne. Ten smak i ten zapach, zlizywane ze spierzchniętych ust, to jest zaledwie – pomyślał – ekstrakt, a może ersatz sporządzony z wdzięczności, pożądania, czułości. Specyficzna atmosfera, jaką wytwarza wokół siebie spragniona dotyku i pewności istnienia kobieta, atmosfera, w którą mężczyzna wchodzi, nim wejdzie w świat tej kobiety Tak od zawsze. W tamtej chwili Tomasz zapragnął odjąć coś swojej miłości, odjąć część (może żalu), by tę drugą część (może ekstazy) zamknąć w przestrzeni nie większej niż jego serce i umysł – i tak czekać, aż bezgłośnie trwanie przemieni i unieważni to wszystko, z czym nie potrafił zgodzić się, kiedy o niej myślał, a na co Dagmara nie wprost, ale jednak skutecznie skazywała go w zgodzie ze swoim charakterem i temperamentem.

– Muszę już iść – przerwała jego rozmyślenia.

Wyszli z auta, pocałował ją, odszedł. Kiedy szedł w stronę przejścia dla pieszych nie odwrócił się, ale czuł, że patrzyła. Nie patrzyła, zdawało mu się. Jeszcze raz.

W jej pokoju, urządzonego tak, by koł i momentalnie odu-
rzał, w tym pomieszczeniu było – zaopiniował w duchu Tomasz –
jak w prehistorycznej macicy. Przypominał to sobie teraz, sie-
dząc nad otwartym zeszytem i próbując uporządkować wraże-
nia. Wrócił do domu niedawno, przed świtem, usiadł ciężko
w fotelu, wrześnie promienie nisko stojącego słońca sączyły

się przez firankę. Dagmara wyznała mu dzisiaj sekret. Byli u niej po cotygodniowych zakupach dla niej i dla Adama, w których Tomasz uczestniczył, bo chciała. Siedzieli w kuchni, kiedy powiedziała cicho:

– Znowu miałam myśli samobójcze, znowu bałam się, tak strasznie się bałam.

Tomasz patrzył i próbował zrozumieć.

– Nie krzycz na mnie – poprosiła go nieoczekiwanie, bo jemu nawet na myśl nie przyszło, by krzyczeć. Jasne płatki wieczoru opadały na jego ramiona, pyłki ciszy i smutku, drobiny goryczy i melancholii. Pomyślał, że wolałby nic nie mówić, że najlepiej może przekonałby ją o jego uczuciach bieg namagnetyzowanych palców po skórze, dotyk odczuty tak, jakby to działo się pod skórą – od jej zasmuconego czoła do świetlistego podbrzusza. Jednoczył się z nią i miejscem, w którym przebywali, wchłaniał w siebie jego ciężkie, nasycone jej kobiecym i erotycznym głodem powietrze. Czuł jej napięte mięśnie, wąż włókien nerwowych, od zwiniętej podstawy do zwieńczenia i szczytu. Ponieważ istnieją ci, którzy zdradzają – pomyślał nieoczekiwanie dla samego siebie – możemy poznać, czym jest nasze przywiązanie. Do niej powiedział:

– Masz ciało niemalże dziecka. – Nie dodał, że zastanawiał się też, czy ma może to jedno z najprzyjemniejszych wrażeń w środku, co nie byłoby dla niego zaskoczeniem. Nie dodał, że myślał o *mons pubis*, *labia minoris* i *clitoris*, zwłaszcza jej, zwłaszcza teraz i tutaj, to dla niego magiczne formuły znacznie bliższe świata niż zaklęcia oficjalnej religii, tej od ołtarzy i pouczających na każdym kroku kapłanów. Przewidywał – o tym także nie mówił – ruchliwość jej jasnej szyi, jej język szorstki i delikatny zarazem. Nie powiedział też, jak zaboląło go kłamstwo, jej kłamstwo na temat tego, jak poznała Adama. Tomasz spotkał się niedawno z jego i Dagmary znajomą i rozmowa z nią uświadomiła mu, jak to było. O tym wszystkim milczał. W końcu nie zaprosiła go, by się tłumaczyć. Zaprosiła go, ponieważ chciała porozmawiać o swoich ostatnich lękach. Siedzieli w tantrycznej pozycji *yab-yum*, Dagmara kiwała się lekko na boki, kręciła wolno biodrami, dawała mu – Tomasz zrozumiał to później – seks bez seksu, czysty pozór zbliżenia.

– Pójdę już, żebym się znowu nie zasiedział – powiedział, kiedy zrobiło się późno.

– Zostań – poprosiła nie wiedząc jak mu powiedzieć, że woli, by siedział przy niej, kiedy nie ma Adama.

– Dobrze.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jednocześnie jego i jej poruszenia. Harmonia, która przyprawiła go o mimowolny dreszcz. Splecenie ciał. Jej prośba, kiedy dotykał jej skóry językiem:

– Delikatnie, proszę cię. Tak, delikatnie.

Pomyślał, że mnoży ból, wyobrażając sobie, że pieści. Było inaczej. Westchnęła.

W przeddzień ataku na World Trade Center i Pentagon, 10 września 2001 roku wieczorem Dagmara zadzwoniła do Tomasa z pytaniem:

– Zamierzasz wygrać?

– Zamierzam nie przegrać – odpowiedział. Cisza po drugiej stronie słuchawki trwała niewyobrażalnie długo; w końcu Tomasz usłyszał westchnienie i słowa, których się nie spodziewał:

– Nie zasługuję na to wszystko. Dobranoc.

Nadszedł czas – pomyślał tego wieczora Tomasz – kiedy zjawiała się w moim życiu przewidywana, długo przez to przewidywanie oczekiwana, totalna i nieskończona samotność. Zjawił się oto początek nowego, niechcianego świata, będącego lustrzanym odbiciem innego, niemożliwego świata, o którym wie się z dnia na dzień coraz więcej, a coraz mniej się ma... Zresztą, to nieistotne – pomyślał jeszcze przed zaśnięciem. Przyśniła mu się samotność tym czystsza, im pewniejszy był gest wypełnienia powinności wobec tego, kogo opuszczał we śnie. A we śnie swoim Tomasz opuścił tej nocy chyba wszystkich, przynajmniej tak tę historię zapamiętał. Nie pamiętał natomiast ani rano, ani też w ciągu dnia sobie nie przypomniał, czy chodziło tu też o kobietę, która oszukiwała innego, aby pójść z nim do łóżka, kobietę, o której wiedział, że szuka i siebie i jego, aby pójść może jeszcze z kimś

innym, czy chodziło może o kogoś nieznanego zupełnie. Jakaśkolwiek bowiem rzecz potrafi kobieta zrobić dla ciebie – zanotał nad ranem, zaraz po przebudzeniu – taką samą będzie także umiała zrobić dla innego. Zresztą mężczyźni tak samo. A z tym – na myśli miał to uczucie, które tyle razy sam dla siebie nazywał i jeszcze dobrze nie potrafił nazwać – z tym jest jak ze świętością – ma to wartość jedynie przez swoją jedyność.

Tego dnia nie działo się nic szczególnego. Tomasz miał urlop i postanowił uporządkować nieco notatki, zajrzeć do kilku książek, przeczytać gazetę, zjeść dobry, przygotowany w skupieniu obiad. Tego dnia mogło wydarzyć się nic i mogło wydarzyć się wszystko... Nie wydarzyło się nic. Codziennosc nie chciała być tego dnia uciążliwsza bardziej niż zwykle, uciążliwsza na tyle, żeby chciało się ją zapamiętać. Była to więc całkowicie rzeczywistość nie do zapamiętania. Niebo wokół domu Tomasza miało barwę popielato błękitną, było puste i pozwalało wierzyć albo przypuszczać, że tak właśnie dawniej wyobrażano sobie trwałość. Pomyślał w ten sposób być może w związku ze skojarzeniem koloru nieba nad ulicami Warszawy i kilku widzianych w niedalekiej przeszłości obrazów. To była jakaś prywatna galeria, płótna anonimowego, a w każdym razie na pewno nikomu nieznanego artysty przedstawiały ten rodzaj codzienności popielato szarej, w której gest i znużenie giną, rozpadają się nim zdąży przebrzmieć ich echo.

Wieczorem to Tomasz zadzwonił.

– Anima w swojej rozwiniętej formie – powiedział jej – jest w mężczyźnie zdolnością do macierzyńskiego wręcz poświęcenia, które jest przeciwieństwem pędu do władzy. Jest to miłość dla samej miłości w jej najwyższej formie.

– Co masz na myśli? – spytała. Ale nie odpowiedział.

Po burzy świecący na czarno asfalt wydawał się jeszcze bardziej świecący i czarny. W ciszy bez echa noc przetaczała się nad uśpioną Warszawą z jednej ery do innej, straszliwszej, jakby transatlantyk mijał znak na równiku.

11 września w Warszawie świeciło delikatnie słońce.

Na ekranie telewizora Tomasz teraz dwa wysokie budynki, znane z innych filmów i zdjęć reklamowych, dwa samoloty; i wybuch. Film cechowała monotonia, jakby reżyser i scenarzysta nie przemyśleli tego, co chcą pokazać. Samoloty wyglądały wręcz nierealnie i można by uznać to za skazę, gdyby nie efekt końcowy, czarny od dymu, ewidentnie sknocony fajerwerk. Film jak film, na planach Hollywood kręci się lepsze sekwencje. Taśma jest nieubłagana i pokazuje jedynie to, co zarejestrowane. Tomasz pomyślał, że to jedna z tych scen, dla których nie warto wołać nikogo z kuchni ani z drugiego pokoju; amatorszczyzna. A jednak wiedział, że jego by zawołano, właściwie zrobiła to ona, kiedy zadzwoniła z pracy i kazała mu włączyć telewizor. Włączył, zobaczył wybuch i uświadomił sobie, że kiedy dzwoniła, kilka razy powtórzyła słowo „wojna”. Skrzywił się, podszedł do okna, wyjrzał. Na podwórku bawiły się dzieci. Jedno upadło i zaczęło chlipać. Zapłakanemu malcowi biegła już na ratunek matka, pokrzykująca coś, wystraszona.

– A więc wojna? – wymruczał do siebie Tomasz i wrócił na fotel przed telewizorem.

Na ekranie działo się znowu coś poruszającego i Tomasz zdał sobie nagle sprawę, że to nie film, ale życie i że ci ludzie uciekają naprawdę, a ci drudzy naprawdę są martwi. Ten dzień będzie miał wewnątrz godzin pustą ranę – pomyślał. Dosłownie otwarte wnętrzości.

Politycy, stało się to jasne i oczywiste niebawem, postanowili opatrzeć tę zimną zbrodnię przypisem w postaci zbrodni równie szalonej i wielkiej: wojna była nieunikniona. Politycy patrzyli na to, nie umiając znaleźć tej granicy, która oddziela trochę krwi od morza krwi. Która trochę krwi nie zamienia w rzeź. Politycy oglądają wojny w telewizji.

Zastanawiano się nad źródłami zbrodni, omawiano je, analizowano. Tymczasem Tomasz wyobrażał sobie szaleństwo terrorysty wbijającego się w ścianę wieżowca. Zwielokrotniony współczesny Herostrates, ten i pozostali bandyci, ich zimny zapal i gorączkowa gotowość do połączenia własnego samobójstwa z zabójstwem.

Ilu znużonych i pozbawionych nadziei na rozrywkę nieco bardziej perwersyjną niż ta oferowana przez system, poczuło jak otwierają się w nich kwiaty, jak rosną im skrzydła przemocy, jak zbliża się do nich prawdziwy Abaddon – anioł ich zagłady, ich krwi, i ich natychmiastowej, zmultiplikowanej przez serwisy informacyjne rozrywki. Ilu w duchu krzyczało: *Viva entertainment!* Ożywili się, oczekując pełnego niebezpieczeństw życia. Pragnęło, ale z ekranu telewizora, nie z ulicy.

A jednak nie ulegało wątpliwości, że cały ten kurz pokazwany na nowojorskiej taśmie, to beton i ciała ofiar wymieszane w momencie wybuchu.

Po miesiącu milczenia sprawca tej rzezi, ben Laden pogratulował w telewizji Bogu, że ten napełnił Amerykę strachem z północy na południe i ze wschodu na zachód. Fanatycy są nieuleczalni – zanotował Tomasz. – Ale nie są, choćby myśleli inaczej, nieśmiertelni.

– W nocy obudził mnie krzyk dusz, które zginęły – powiedziała Dagmara. Jakby codziennie nie było dusz, które giną – pomyślał Tomasz. – Afryka, Azja, Bałkany... I tutaj...

– Dlaczego tak się stało? Czy to też zadziałało prawo *karmy*? Wola jakiego demiurga czy szatana musiała wypełnić się tego przedpołudnia? – Tomasz nie umiał odpowiedzieć na te pytania, które zdawały mu się tak patetyczne, jak cała Dagmara w tej chwili.

Znowu pokazywali ten film – zapisał Tomasz. – Technologia mediów na usługach żadnych rozgłosu terrorystów. Fenomen, jak ktoś to wtedy nazwał, kondensacji czasu i powtarzalnych obrazów, przykrych, porażających, w gruncie rzeczy, to mogło uderzać najmocniej, nijakich. Niewiele było widać. Pył, gruz, betonowe płyty, szkło i żelazne rusztowania. Na pewno takiego właśnie efektu pragnął światowy inscenizator, dla którego światowa widownia to w znacznej mierze śmiertelni wrogowie. Może dlatego całe jej biuro, począwszy od rolet w oknach, a skończywszy na wykładzinach podłogowych, wibrowało od gniewu, który

nosiła w sobie w te dni. Rozżalona i nienawidząca tego, co się stało. Włączona w powszechny niepokój, stanowiąca jego mocne ogniwo. Ta przemoc, która wchłonęła i rozerwała na strzępy dwie nowojorskie wieże, ta przemoc nie domagała się niczego, a więc żądała wszystkiego i Dagmara znalazła się całą sobą wśród tych, którzy gotowi byli w tamtym czasie na wszystko. Ale niewiele można było zrobić. Zwłaszcza, że słowa, które nadawałyby się do użycia w sytuacji tak tragicznej i nieoczekiwanej, te właśnie słowa już od dawna przypominały – zaledwie zwietrzały pył, żalśnie martwy frazes. Wystarczyło zerknąć szybko do gazet... I choć Tomasz długo bronił się przed myślą, że wydarzenia z jedenastego września mogą znaczyć także w jego życiu, obiektywnie musiał przyznać po czasie, że znaczyły – i to nadspodziewanie wiele. W końcu właśnie dzięki masowej histerii, w której kręgu znajdowała się cała wrażliwość Dagmary, po raz pierwszy – zaśmiał się na wspomnienie – poszli ze sobą do łóżka... Tej nocy pajak spytał Tomasza:

– Co to znaczy, chłopczyku, kochać?

– Wyczuwam rytm moich mięśni, moich gestów i mojego serca, i nagle zdaję sobie sprawę, że to są jej mięśnie, jej gesty, i jej dotyk... Moja ręka to jest wtedy jej ręka, moje usta to są wtedy jej usta, a jej serce bije wtedy we mnie...

– I dlatego ona jest taka bez serca? – pajak skrzywił się, aż pajęczyna drgnęła i zaiskrzyła refleksami światła.

– Twój cynizm mnie nie uleczy – Tomasz powiedział to ledwo słyszalnym szeptem, jakby pragnął, żeby pajak nie słyszał. – Ale – dodał już w myślach – pewnie masz trochę racji, cwaniaku.

– Nie lubię, jak mnie tak nazywasz. Dawniej – chrząknął – bywałem czczony... W Indiach nazywano mnie *Brahmą*, w Egipcie *Neith*, na Jamajce mówili na mnie *Anansi*, byłem też *Isztar*, *Atargatis*, *Tsuchi-Gumo*... Jest w czym wybierać... – przerwał na moment. – Zresztą, ciebie to nic nie obchodzi... Ty myślisz wyłącznie... – przerwał raz jeszcze. – Nieważne. Ale proszę cię, szanuj mnie trochę. Choćby dlatego, że jestem od ciebie starszy.

– Jak starszy? – zapytał Tomasz.

– Nie uwierzyłbyś, gdybym powiedział ci prawdę. Nie umiałbyś sobie tego wyobrazić.

Wieczorem po katastrofie Dagmara siedziała w sieci i czytała internetowe newsy. Postawiła też w oknie zapaloną świeczkę, symbol współczucia wraz z tymi, którzy cenili gesty. Zaczynał się melodramat, zaczynało się powszechne i nie do opanowania – kabotyństwo. Dla Dagmary nie było w tym nic niestosownego.

– Kobieta zawsze – Dagmara uśmiechnęła się na wspomnienie słów, które mówiła tego dnia Tomaszowi – odczuwa kobiece doznania względem mężczyzny, który nad nią góruje, a męskie – uśmiechnęła się jeszcze delikatniej – jeśli góruje nad nim.

– Masz rację – Justyna, z którą Dagmara umówiła się na kawę, kiwnęła głową i zamyśliła się, jakby i ona znała podobną historię.

Adam już nie pracował – opowiadała Dagmara. Ukradli mu portfel (tak powiedział), miał więc powód i czuł się usprawiedliwiony, że leży całymi dniami w pozycji embrionalnej na łóżku i zapytany o cokolwiek – jak to nazwała Dagmara – skomli.

– Nie mogę go już takiego wytrzymać – wyznała Justynie. – Tylko Tomasz pomaga mi przetrwać ten kryzys... Kolejny kryzys w związku z Adamem... Wiesz – zawiesiła głos, nie skończyła, podniosła do ust filiżankę. Przez moment zdawało się jej, że coś, mały owad dotknął jej karku czułkami i przespacerował się w kierunku twarzy. Ruszyła ręką, ale nic nie wyczuła palcami. Może to właśnie czas podszedł do niej i niczym złowrogi pająk zarzucił cienką, nieusuwalną sieć zmarszczek na jej wciąż atrakcyjne, trzydziestoczteroletnie ciało, może to tylko bliski przyjaciel Nemezis, Chronos, podarował jej złośliwym gestem tę siatkę, której bała się ostatnio już jawnie, zrozumiałwszy, że już się z niej nie wyplącze.

– Tomasz mówi – zaczęła po chwili – że jeśli miłość to kreatywność, a agresja to, dajmy na to, aktywność, depresja daje się pojąć jako pasywność, i że wszystko to jest nam potrzebne.

– Jak to? – Justyna nie rozumiała. – Że niby depresja jest mi do czegoś potrzebna?

– Tak. On tak to widzi. To podobno jakaś psychologiczna teoria.

– Ciekawe.

Mniej więcej wtedy, nie będąc świadkiem tej rozmowy, a jedynie wyobrażając ją sobie i zapisując, Tomasz zrozumiał, jaką naiwnością jest wiara w to, że wraz z upływem lat miłość staje się mniej straszna, a cierpienie mniejsze. Do zwykłego, codziennego bólu – do zazdrości, żądz, upokorzenia – dochodzi przecież w końcu także nieustający terror czasu, terror godzin i dni bezpowrotnie straconych.

– Chciałbym wymyślić miłość, której skutki trwałyby wiecznie – Tomasz powiedział o swoim pragnieniu Dagmarze. – Nawet gdy mnie już nie będzie...

– A co ze mną? – spytała. – Co ze mną, panie romantyczny?

Nie odpowiedział jej na to pytanie nigdy. Pory roku zlewały się z sobą, lata były już najwyżej oszłamiająca mgłą. Jak czas w książkach. Książkowy czas przemierzał, w odczuciu Tomasza, jednym zdaniem długie miesiące i lata. Co napisał słowo, to jakby przeskaکیwał całe dziesięciolecie. Nie tak znów inaczej działało się i tam, w tamym momencie, w czasie Tomasza, Dagmary, Adama i nieznanego pająka, w galaktyce przypisów i niepewności. A wystarczyłoby jedno spojrzenie dokumentalisty – pomyślał Tomasz – żeby zamrozić w bezruchu to miejsce i scenerię tej sytuacji.

ROZDZIAŁ XXVI

Więc i ona miała swój znak, tajne znamię...

Drobiazg znany tym, co z nią spali, który w końcu stał się znany i jemu. Powiedzmy, że nie egzema na rękach. To widział każdy. Powiedzmy swędząca wysypka w miejscach zakrytych, intymnych – której pozbyła się przy Adamie, odkąd zamieszkał u niej, odkąd z nim tylko chodziła do łóżka. Opowiadała Tomaszowi szczegóły, jak gdyby mówiła o cudzie:

– Tylko przy nim mi to nie dokucza. – Tomaszowi wypadało uznać, że tak też może wyglądać miłość. Rodzaj gryzącego smutku, trudnego do wygaszenia, szczególnie dla tych, którzy nigdy nie odnajdą straty. Nawet jeśli swędzenie jej krocza było pozostałością po tym, że kilka lat wcześniej żyła jak sucz opętana seksem, z czego ciężko jej się było wyzwolić. Zemsta skóry za niewłaściwy dotyk. Stygmaty pożądliwości. Tomasz mówił:

– Twoja skóra jest piękna. – Gotów całować szorstki wierzch dłoni centymetr po centymetrze, nie przyjmując jej wstydlivego zmieszania, jej – według niego – zbytcej, choć czarującej kokieterii.

Rozsądek podpowiadał Tomaszowi beztroskę, lecz melancholii nie pomagał się pozbyć. Istnieje melancholia znamion, smutek blizn, piękno ran z charakterem. Ale istnieje też śmieszność, wypychająca poza konwenans i siebie. Kiedy Nemezis bierze się za fabułę, bywa też groza żalosna. Jak we śnie, kiedy ma się coś do zrobienia i nikt nie potrafi nam pomóc, ani sami nie potrafimy sprostać tym nakazom, które każą nam działać. Pozostają frazy mgliste jak z filmu:

– Jest w pani ten dystans kobiety zadowolonej...

Pozostawały w nich ślady po wielu ucieczkach w słowa, próby minięcia depresji:

– Mam teraz ten rzadki skarb: bliskość kobiety zadowolonej...

– Czy naprawdę? – To pytanie już tak nie dręczy. Chorobliwe przygnębienie i zahamowanie czynności psychicznych, stan zniechęcenia, apatia wywołana urazem, zwątpieniem – to skłaniało Dagmarę do pytań.

– Czy naprawdę?

Kategorie estetyczne w cierpieniu. Nawet cierpieć trzeba umieć na pokaz. Kto tego nie umie, kto nie potrafi estetycznie pokazywać bólu, ten nie ma szansy w kontaktach z ludźmi i światem takim, jakim jest on na zewnątrz. Żebracy, szczególnie ci, którym powodzi się dobrze, wiedzą o tym i pracują nad estetyką cierpienia. Ale są też odmieńcy zupełni, tacy swój ból przeżywają nie pokazując po sobie niczego. Na przykład kobieta w bordowym płaszczu i czarnej chustce na głowie, stojąca co dzień na Krakowskim Przedmieściu z wyciągniętą po jałmużnę ręką i twarzą zwrócona w stronę figury Chrystusa dźwigającego krzyż. Jej wstawanie i klękanie, aż Tomaszowi, kiedy szedł gdzieś tamtędy za dnia, przychodziła ochota podejść i zadać jej tylko jedno pytanie:

– Czy pani Go widzi?

Na pewno by odpowiedziała. W końcu w deszczu, w spiekocie, w godzinach bezwietrznego powietrza, zimą w ciemności, latem do spóźniającego się zmierzchu – stała tam i patrzyła.

Wspominał o tym, jak o śladzie z rzeczywistości jedynej. Ale nieoczywistej.

Uspokajała go w te dni tylko myśl, że nie ma jednej Dagmary: ostatecznie i nieodwołalnie prawdziwej. Dlatego każda kobieta widziana nawet tylko przez chwilę i w sposób fragmentaryczny była jej istniejącym duplikatem. Nie sobowtórem, ale kimś spełniającym funkcje zastępcy; każda też mogła posłużyć do tego, by porównać ją nagle z Dagmarą. W ten sposób Tomasz osiągnął tej, której pragnął – i posiadał – w jedynej dostępny mu w tamtym czasie sposób. Najbardziej przykre było jednak co innego. Nagie mijanie godzin, minut, sekund – ono wymierzało Tomaszowi

najstraszniejszą karę. Kiedy dotykał Dagmary czuł, jakby dotykał czasu – i było to fizyczne wrażenie nieporównywalne z żadnym innym. Tak, dotyk skóry był dotykiem czasu, może sekundy w jej najwyrazistszej postaci. Silne, nie wiedział, czy erotyczne doznanie.

– Czy pan jest poważny? – pytał deszcz, zanotował. – Nie, to ona pytała.

– Jestem – odpowiadał księżyc, zanotował. – Nie, to nie księżyc odpowiadał.

Tomasz łudził się, że czując do bólu pragnienie dotknięcia skóry kobiety młodej, podlegającej niszczącemu działaniu czasu, lat, miesięcy, dni, pragnie jedynie tego, by rzeczy miały swoją trwałość. Obudził się nagle z tych złudzeń i zrozumiał – patos własnego myślenia śmieszył go przy tej okazji tylko trochę – zrozumiał, jak to ujął w notatkach, tragedię ludzkiego naskórka, tragedię unicestwienia iluzji, tragedię wszelkiej przemiany, metamorfozy, jej klęskę. Zrozumiał też klęskę trwałości i to, że nie istnieje trwałość.

– Jak byś to nazwał? – zapytał samego siebie.

– Obudziłem się – powiedział na głos, chociaż w pokoju nie było nikogo – i pragnąłem dotyku kruchego ludzkiego ciała, wciąż potencjalnie młodej kobiecej skóry, chciałem trzymać dłońią ten przepływający niewidzialnie wewnątrz komórek czas, obserwować, jak działa w tkankach, jak stapia się w tym dotknięciu z czasem opływającym to drugie ciało na zewnątrz, jak gubi się w innej, nieosiągalnej wieczności. Chciałem to widzieć, obserwować i czuć...

Nagle uświadomienie sobie tego zwrotu „Ja jeszcze żyję”. W kontekście okaleczenia przez miłość i bycia zranionym przez miłość, przez bycie tym, którego duszą wstrząsają dreszcze, każące wydobyć się jej wydostać i upokorzyć – nagłe odkrycie tego poruszyło Tomasza do głębi.

W tym czasie zakochana Dagmara słała mu esemesy, czułe słówka, uśmiechy, prezenty. Dzwoniła i umawiała się z nim, kiedy tylko mogła wyrwać się z pracy.

Goniony szybkimi dniami, osaczony uporczywymi i obsesyjnymi myślami, Tomasz dotarł do tej rzeczywistej nocy, której znaków wypatrywał i której spodziewał się, jak do skrajnego najmroczniejszego zaułka. Ta noc nie mogła nic zmienić, a jednak była to noc wielkiej zmiany, na świecie nie zmieniło się nic, ale w Tomaszu – wszystko. Czasami nawiedzało go przypuszczenie, czasami była to wręcz obezwładniająca pewność, że ta noc to piekło, a piekło to jednostajny przepływ cierpienia przez wyostrome do granic wrażliwości komórki, że ból prawdziwy to ból bezgłośnie, miarowo przepływający przez chwile, które nie są już czasem, takie chwile, co są już wiecznością, i że ten ból nieprzerwany, spoufalony z krwią i tkankami, to szyderstwo, nic więcej jak tylko szyderstwo – i że nie ma żadnych innych piekieł. *Błądzące myśli*, które niszczyły spokój umysłu Tomasza, lgnęły do niego dokładnie tak, jak opisywał to jego buddyjski mistrz: jak mrówki do miodu, lub komary do ciała, bądź też, jak widział to Tomasz, jak pająki do krwi swoich ofiar. Nie był w stanie pozbyć się ich, bo kiedy odpędzał je, wracały, gdyż nie potrafiły inaczej (ty nie potrafisz, mówił mistrz). Najlepsze, co mógł wtedy zrobić, to nie zwracać uwagi na to, gdy *błądzące myśli* pojawiały się, niszcząc spokój Tomasza, osiągnięty przez niego z trudem. Tomasz, jak mu się wydawało, zrobił wszystko, co należało, by wydobyć się z sieci iluzji. Porzucił nawet chęć zmiany, porzucił nawet myśl – tak mu się wydawało – o porzucaniu. Tylko poprzez wyrzeczenie się wszystkiego, zanotował inne słowa mistrza, można coś zyskać. Poza tym, zanotował także, nie chodzi o to, żeby nie chcieć, a raczej o to, żeby nie chcieć wszystkiego naraz. Co mistrz miał na myśli, wspominając o zysku? Prawdopodobnie *nic* – zanotował Tomasz. – Ale o tym nie mógł mówić głośno do wszystkich.

Najlepszymi kochankami są ci – zanotował także – którzy w nadwrażliwości na ciało i seks łączą chorobliwą wręcz delikatność z utajonym, lecz okazywanym w ruchach pragnieniem popełnienia morderstwa.

Było to po rozmowie z Dagmarą.

– Czasem chce się dać orgazm, a czasem chce się dać sen – powiedział patrząc na nią, jak zapinała spodnie.

– A teraz? Co chciałbyś dać mi teraz? – uśmiechnęła się.

– Nie sen.

– To miłe – popatrzyła na niego z uwagą, a on pomyślał, że im więcej wie o niej, tym mniej zna ją naprawdę i że w ten sposób zagadka, którą chciał rozszyfrować, staje się jeszcze większą zagadką i im lepiej poznaje jej tajemnice, tym ona sama dokładniej staje się tajemnicą. Tomasz odniósł wrażenie, że wniknął w tą tajemnicę niechcący i teraz, zrzędzeniem losu, skazany jest na szukanie jedynej istniejącego z niej wyjścia, o którym tylko Dagmara wiedziała, gdzie się znajduje. A kiedy pisał o tym, odniósł też inne wrażenie: że nikt, kto jest wierny wspomnieniom, nie może być wierny na jawie, dlatego też działanie pamięci to najczęściej przykre i długotrwałe rozpamiętywanie zdarzeń, które nigdy nie powinny mieć miejsca.

Depresja nigdy nie była specjalnością Tomasza, dlatego trudno było mu znaleźć słowo dla stanu, który ogarnął go bez zapowiedzi, zniemacka, opanowując wpierw wszystkie zmysły, tłumiąc dźwięki i przyciemniając barwy. Każdy inny nazwałby to depresją, ale Tomasz nie lubił tej nazwy, wydawała mu się bardzo zimna, bardzo płaska i nieadekwatna do tego, co krążyło wraz z krwią w jego ciele, przez co czuł się jak torturowany. Było to jednak na tyle przykre, że Tomasz chwilami był pewien, iż ten, kto wymyślił mu terażniejszość, to całe koszmarnie istnienie, zapisywane co dzień od dnia definitywnego rozstania z Dagmarą, jest wewnątrz powstającego dzieła, ukryty i działający, może nawet spotykają się czasem, Tomasz i nieznajomy, i rozmawiają ze sobą, po czym tamten wraca do siebie, notuje kolejną stronę koszmaru Tomasza, podczas gdy Tomasz myśli, że to on swoim piórem notuje, albo też z demiurgiczną obojętnością sięga – ten drugi – po małe kosmetyczne nożyczki i podczas gdy Tomasz zdycha właśnie po raz kolejny na którejś z już napisanych kartek, on, niebezpieczny kreator i – tego Tomasz był pewien – sadysta,

on zastanawia się w ciszy nad torturą, którą mógłby jeszcze bardziej pognębić i upokorzyć swoje marionetki. Tomasz wzdrygnął się z obrzydzeniem. A jeśli, pomyślał jeszcze kilka minut później, jeśli ten, który wymyśla te przejścia, zastawia pułapki i niszczy wszelkie próby oporu, jeśli on robi to tylko z powodu własnych przejść i przypadków? Bo na przykład – ta myśl bardzo rozbawiła Tomasza – miał też swoją, jak Dante, Beatrycze, która była dla niego wszystkim, gdy on – był dla niej nikim. Stworzyć piekło z powodu urażonej dumy i ambicji? Cała historia mężczyzny, cały smutek i szczęście – w miłości... W tym uczuciu wprawiającym w ruch gwiazdy – a czasem też – westchnął Tomasz w myślach – niespokojne i ręce i biodra. Kiedy tak patrzył na ból, najlepszym wyjściem wydawało się wykorzystać go. Tylko jak? Tomasz poczuł się wyrzucony na brzeg własnej niedoskonałości, której nie ukrywała już przed nim jego wytrwale pracująca świadomość. Na tym brzegu, jak na marginesie spraw przeszłych, teraźniejszych i przyszłych leżał i mógł obserwować, tyle tylko, że nie było mu dane wykorzystać tych obserwacji na co dzień. Pragnął dzisiaj, była to pierwsza śmieszna i prawdziwa do szpiku myśl o poranku, pragnął poznać jej poprzednich kochanków: jej buddystę i jej cudzoziemca, nawet tego, który istniał nieznacznie – jej męża. O co chciał spytać ich Tomasz? O nią. Jaka była, kiedy była z nimi, jakie miała przyzwyczajenia, nawyki, jakimi gestami okazywała czułość i przywiązanie, jakimi słowami wyrażała zachwyty albo niechęć. Chciał słuchać o niej słów wypowiedzianych przez innych tak samo, jak chciał słuchać jej samej mówiącej o świecie. Chciałby być otoczony słowami – jej własnymi, jak i tymi o niej. Otoczony i wypełniony, ogarnięty przez słowa i przez nią. Tak szczęśliwy już na samą myśl o tym, jak ktoś, kto choć widzi zranienie, nie odczuwa skutków rany na sobie. Czy szukał w tych myślach czegoś więcej: tajemnicy? Jakiejś nowej prawdy? Nie, bo nie wiedział jak szukać i nie rozumiał wobec czego jest tak – napawało go to stwierdzenie grozą – zobowiązany zupełnie, że nie może tak po prostu tej historii odpuścić i zostawić na żerowisku pamięci, choć powinien, żeby poczuć się lepiej.

ROZDZIAŁ XXVII

Placebo i morfina na przemian w tamtym czasie...

Od rana duże dawki *Morphine*, studyjnej i koncertowej. Pod wieczór *Placebo* z płyty o tytule, w tym kontekście, proroczym. *Without you I'm nothing*. Przyjemna chwila, gdy ciężkie, morfinowe basy i neurotyczny saksofon, a zaraz po tym głos, w którym słyszy się spowiedź z popełnionych i niepopełnionych grzechów. To wyznanie duszy z jasnych grzechów pamięci, w której już tylko ból świeci, a jego promienie padają na każdą rzecz i na ludzi. Tomasz czuł się ofiarą miłosnej rzezi, przemienionym w zwierzęcą padlinę, wijącym się ochłapem emocji, i na pewno nie czuł się sobą, może nawet nie wiedział, kim jest.

– Wtedy jeszcze odbywa się rozwój?

– Nie może przestać dziać się. Należy pamiętać też o tym, że kłamią i mitologie. Eros u Eurypidesa wyposażony jest w łuk i dwie strzały, jedną do zabijania, a drugą, by wprowadzić w stan szczęścia. Tomasz nie chciał tak o tym myśleć, lecz było dla niego jasne, że ona go nie kochała (trafiony był pierwszą strzałą i nie ratowany tą drugą).

– Na szczęście miał swoją muzykę?

– Z jej brakiem podziału na zło i dobro. Jak również: na pokarm i nieustanny głód.

Dopiero po wielu miesiącach Tomasz ze śmiechem dostrzegł, że rano zażywał morfinę, wieczorem zaś dawki placebo i że nie bruździł mu Eros, dzieciaczek z przewiewnymi skrzydłami, lecz znacznie mniej znany Anteros, straszliwy bóg namiętności. Tak czy tak, był w tym pierwiastek zabawy, głuszenia się przy pomocy roztrząsań i myśli dla świata jałowych. Bo może nie było żadnych postaci klasycznych i czystych, jedynie krążenie hormonów, testosteronu i oksytocyny. Spór będą po ich śmierci wiodły:

humanizm i socjobiologia. Jak dwa miasta pochówku poety. Który nie czuł się nigdzie u siebie.

– Wszystkie emocje należą do ciała, a umysł zaledwie je rozpoznaje?

– Można to i tak nazwać. To w ciele tkwią głód i pragnienie, to ono przeczuwa smutek, to w nim dźwięk przemieniony zostaje w łagodność, nadzieję czy tryumf. Dlatego prawdziwe jest tylko, co stwarza się z nas przy zetknięciu z czymś większym i niepospolitym.

– Na przykład dotkliwym uczuciem?

– Na przykład przemocą i bólem z laboratorium fantazji, wśród jej destrukcyjnych objawień, kiedy nie nadążamy już czuć.

Wypowiadamy się – zanotował w zeszycie – zawsze przed kimś przypadkowym, dlatego nie wyrzucałem sobie, że z wieloma rozmawiam na temat, który zaprzętał mnie i w teorii i wedle pamięci o życiu, którego wtedy inaczej nie potrafiłem wieść ani znieść. To przynosiło mi chwilową ulgę.

O czym wspominał jeszcze? Nie wszystko był w stanie powiedzieć. Miał język zniszczony, cofnięty do poziomu bełkotu, wyrażający przez skowyt swoją niezgodę i zachwyt. To właśnie destrukcja języka obala nam wizję tortur, jako narzędzia przesłuchań; nie o to w nich przecież chodzi. Żyjemy wśród form przemocy, notował, jej wpływ jest nieustający, musimy ujawniać tę przemoc, nie licząc, że ona ustanie. Obłok niewiedzy zgęszczał się ponad głową Tomasza. Przemoc wywoływała w nim ból, uwidaczniała go i odsłaniała. Rozkrawała Tomasza i wydobywała z jego ciała krzyk. Z zewnętrznym wnętrzem dowiadywał się już, czym jest miłość. Obłok wolno przesuwiał się w stronę ciszy. Oddalał się i nie wracał.

Pamiętał...

Pamiętam, że nasze spotkania zaczęły się od klasycznej sceny balkonowej.

Pamiętam, jak pokazałaś mi plakat z Björk, a ja powiedziałem, że na *Tańcząc w ciemnościach* chciałem iść z tobą; popatrzyłaś wtedy na mnie, jakbyś sprawdzała, czy nie kłamię.

Pamiętam, jak żartowaliśmy, że dałem ci rękawiczki dla ciała i drugą płytę *Placebo* dla duszy zaraz po naszym spotkaniu na Starym Mieście.

Pamiętam, że nie chciałem patrzeć jak marzniesz.

Pamiętam twoje cotygodniowe wizyty u matki i ojca, twój stres i płacz niemal po każdym z nimi spotkaniu; dzwoniłaś wtedy do mnie z samochodu i żaliłaś się.

Pamiętam, jak śmiałaś się, że lecą na ciebie dziennikarze.

Pamiętam, że miałaś już wcześniej dwóch mężczyzn jednocześnie: jakiegoś obcokrajowca i żonatego buddystę od tantry.

Pamiętam, jak sugerowałaś, że *panowie nie umieli się zdeklarować*.

Pamiętam, że uwierzyłem na krótko w ten ich brak deklaracji; teraz wiem, że to raczej ty byłaś niezdecydowana i zamykając drzwi za jednym, cieszyłaś się już na spotkanie drugiego, a kiedy ten drugi wychodził, myślami byłaś już przy pierwszym.

Pamiętam e.e. cummingsa: *my sweet old etcetera*; ty wolałaś jego wiersz o palcach.

Pamiętam *Biegnącą z wilkami* i *Kobiecość w rozwoju*, które dostałaś ode mnie.

Pamiętam, jak przegrywałaś mi płyty, a ja godzinami głużyłem się nimi w samotności.

Pamiętam fragment listu od ciebie: *Czuję, jak przytulasz się do moich pleców i delikatnie całujesz mnie w szyję. Czasami w pracy podchodzisz cicho od tyłu, gdy siedzę przy biurku i dotykasz moich piersi. Gdy jadę samochodem, nie zauważam, jak wsiadasz na kolejnych światłach i wsuwasz mi rękę pod sukienkę. Raz zobaczyłam Cię w wannie dopiero, gdy poczułam Twój oddech na udach.*

Pamiętam album ze storczykami Mapplethorpe'a, prezent od ciebie, dany bez żadnej okazji; radość i zaskoczenie.

Pamiętam, jak kochaliśmy się oczami: u mnie, u ciebie, na mieście, w kawiarniach i restauracjach.

Pamiętam, jak przypominałaś sobie nagle o nim, jak chmuriałaś, stawałaś się zimna i obca.

Pamiętam, że na twoje trzydzieste czwarte urodziny podarowałam ci wiersz, któremu potem zmieniłem tytuł; dla ciebie było ważne, że to wiersz.

Pamiętam co to madrygał; to mój madrygał dla ciebie.

Pamiętam słowa, którymi często o tobie myślałem, fragment wiersza Romana Honeta: *zbudzi cię miłość, której ja nie miałem*; i obraz do tego fragmentu: *Flamming June* Frederica Leightona; mój estetycznie otamowany smutek.

Pamiętam, że mnie też oszukiwałaś; bawiłaś się i nie uważałaś na to, co czułem.

Pamiętam *dąć bobra* zamiast *bądź dobra* oraz *don't marudź*.

Pamiętam, że dzwoniłaś, kiedy miałaś ochotę, a ja zawsze miałem dla ciebie czas.

Pamiętam, jak podarowałaś mi telefon, żebym mógł wysyłać i odbierać od ciebie esemesy.

Pamiętam, że pierwszy esemes obudził was i rozzłościł.

Pamiętam, że uspokoić cię udawało mi się wiele razy.

Pamiętam swoją gotowość do bronięcia cię przed tobą samą.

Pamiętam, jak mówiłaś, że pragniesz bronić jego, gdy cierpi, bo go kochasz.

Pamiętam, jak oglądałem *Ostatnie tango w Paryżu* i Maria Schneider siedząca naprzeciw Marlona Brando w popularnej tantrycznej pozycji *yab-yum* przypominała mi ciebie, kiedy siedziałaś tak ze mną w twojej kuchni; tamto dwuznaczne i nieudane spotkanie.

Pamiętam, jak chciałaś grać ze mną w *Milionerów*.

Pamiętam, jak czytałem ci w samochodzie wiersze Tomaža Šalamuna: *Kobieta płacze jak smok ponieważ jestem poetą. Nic dziwnego. Poezja to święta maszyna, lokaj nieznanego bóstwa,*

*zabijającego metodą taśmową. Ile razy byłbym już trupem, gdybym nie miał w sobie luzu, przytomności ducha i bezczelności, by sam sobie, własnymi narzędziami ścierać skrzydełka.**

Pamiętam, jak powiedziałaś: *A bo ja taka suka jestem.*

Pamiętam, jak nazwałaś mnie *sympatycznym, nie zawsze mądrym facetem.*

Pamiętam, jak poprosiłaś, żebym został przy tobie na noc, kiedy on wyjechał dojeżdżać ze sobą do ładu, na Wybrzeże; spędziliśmy tę noc blisko siebie i nad ranem kochałem cię długo i delikatnie ustami, a ty powiedziałaś, że nie jesteś jeszcze gotowa odpowiedzieć mi w uczuciach tym samym; nie przejąłem się tym, nie umiałem; może nawet byłem tego ranka szczęśliwy.

Pamiętam, jak myślałem, że to z nim jesz codziennie śniadanie: tosty, kawa albo herbata, jajecznicą; zwyczajnie, po prostu, ty z nim.

Pamiętam, że przestałem ci ufać nagle, z dnia na dzień, pozornie bez żadnych powodów.

Pamiętam, jak czytaliśmy *Wściekłość i dumę* Oriany Fallaci i czym to się dla nas skończyło (seks).

Pamiętam, jak dałaś mi do zrozumienia, że to nie może się już nigdy powtórzyć.

Pamiętam, jak bardzo spieszyłaś się do niego, zaraz po wyjściu z mojego łóżka.

Pamiętam, jak brzmiały twoje pierwsze słowa po seksie: *On nie może dowiedzieć się o tym nigdy*; to utkwilo we mnie obok przykrości, że nie powiedziałaś w tamtej chwili nic innego; *nic dla mnie.*

Pamiętam, że kochając się z tobą, mówiłem ci najdelikatniejsze słowa, które ty czułaś może nawet mocniej niż członka; w kilka dni później powiedziałaś o tej mojej *loqueli* natchnionej: *Tob było zajebiście fajne pieprzenie.*

Pamiętam, że ten seks tamtej nocy znaczył wiele może tylko dla mnie.

Pamiętam, że z twojej strony mogła być to wyłącznie zabawa.

* Fragment wiersza Tomaža Šalamuna w tłumaczeniu Katariny Šalamun-Biedrzyckiej.

Pamiętam Rolanda Barthesa słowa o tym, co zostaje z wielkiego uczucia: *ani zapomnienie, ani zmartwychwstanie, tylko wyczerpująca uluda pamięci.**

* Tłumaczenie Marka Bińczyka.

ROZDZIAŁ XXVIII

Najdoskonalsze dowody bywają niedostrzegalne...

Przyjechała tydzień później i powiedziała:

– Kochałam się z Adamem i pękła nam guma. A ja wczoraj miałam owulację i boję się, że jestem w ciąży.

Zdumiewające, kiedy się nad tym zastanowić, jak człowiek umie radzić sobie w obliczu koszmaru. To naprawdę pocieszające, pomyślał z ironią Tomasz, a potem i to zdanie postanowił zanotować w zeszycie.

O tym myślał, kiedy głaskała go miękką dłonią po udach i pieściła jego kroczę przez spodnie. Nagle zreflektowała się i spłoszona zaczęła udawać, że nic się nie stało. Płakała i przeproszała. A Tomasz? Ból wcale nie był dla niego przywilejem, oznaką szlachectwa, wspomnieniem Boga. Ból był rzeczą zwierną i okrutną, pospolitą i w całej swojej rozciągłości bezpodstawną, naturalną jak chmury i deszcz, nieuchwytną, a w końcu – złowrogą. Tomaszowi zdawało się, że ból jest trwały jak czas, albo że wręcz sam nim jest. Czasami, pomyślał Tomasz, towarzyszą mu konwulsje, czasami towarzyszy mu wycie, ale to tylko po to, by pogłębić jeszcze bardziej tego, kto cierpi. Żeby przetrwać w myślach udrękę minioną i szykować się na kolejną jej porcję. Czekanie jest kondycją cierpiącego, kto cierpi, ten czeka – na ból, na konwulsje, na skowyt. W końcu przychodzi chwila, że wybiera się – lub też wybrałoby się, gdyby w grę wchodził tu jakikolwiek wybór – kryzys wypełniony szarpiącym nerwy bólem i pragnie się już tylko tego, by nie trzeba było więcej czekać.

Następnego dnia też zadzwoniła wyznając, że dzień bez Tomasza to dzień stracony.

– Ty mi życie ratujesz – powiedziała. – Chciałabym pójść z tobą do łóżka i kochać się – szeptała głosem mającym przeko-

nać go, że nie kłamie. Ale w ciele Tomasza nie było już nic z niego samego. Nicość wydrążona i pochłaniająca. Pustka. Obok Dagmary, a potem obok wyobrażenia o niej nie było już nikogo: inny człowiek w Tomaszu obserwował właśnie w pierwszym odruchu swoją nową tożsamość. Z amputowanym wnętrzem. Wypalonym, wyżartym, zanikłym.

Wieczorem – w tej pustce – telefon i zmiana nastroju Dagmary:

– Nie możesz niczego ode mnie oczekiwać. To, co się stało, niczego między nami nie zmienia. Nie zostawię dla ciebie Adama. On, gdyby wiedział o nas, zabiłby mnie albo siebie.

Fragmenty dawnego Tomasza powróciły po tej rozmowie w formie ściętego półuśmiechu, grymasu, w geście ruszania palcami, jakby szykował się do pisania na maszynie, jakby zamierzał zagrać na wymagającym i obcym instrumencie. Nie było w tym ani frustracji, ani też zniechęcenia. Wyłącznie rozważania nad smutkiem, nad uśmiechem i nad przywiązaniem.

Następnego dnia znowu inny scenariusz, jakby Dagmara chciała zatrzeć wrażenie po ostatniej rozmowie. Przyniosła mu do pracy ciasto z cynamonem. Poprosiła, żeby spotkał się z nią po pracy.

Odtąd Tomasz zaczął żyć intensywniej we śnie i w wyobraźni, karmiąc się drobinami fantazji, zwykłych, codziennych urojeń. Skazany na wydarzenia, których lepiej byłoby nie przeżywać. Skazany na objawienia zwyczajności lub paradoksu. W szczególności niepodobne do niczego. Zawieszony pomiędzy aktywnością gruczołów a metafizyką, pomiędzy samotnością a dyskomfortem we dwoje. Żył wciąż w pożądaniu, w pragnieniu nieosiągalnego, którego drastycznym przejawem bywały najprostsze dialogi.

– Wiesz już, że ukazała się książka...

– Jaka?

– *Wściekłość i duma* Fallaci...

Milczenie. Może nawet namysł. Nieznośne, a przecież tylko niezadane pytanie.

– Pamiętasz artykuł, po którym *jużeśmy nie czytali więcej?*

Milczenie. Im więcej milczenia, tym czystsze i niebo, i piekło.

Ale to wszystko to sen, tyle że śniony na jawie. Za oknem znowu Vivaldi, z partiami lata odgrywanymi słabo, jakby dyrygent opuścił orkiestrę i skazał ją tym na koncertowe fiasko, gdy sala nabita po brzegi i wielu już chciałoby klaskać. Już klaskać, by zaraz zapomnieć, jak to bywa z najwyższą sztuką, gdy wiedza o jej przenikaniu zanadto uspokaja, podczas gdy ona ma jątrzyć. Położyć się, ale nie leżeć; pić, ale nie ruszać ustami; spać, ale kojarzyć fakty; kochać, ale nie tak, żeby cierpieć. Tak by chciała współczesna publiczność, ale... – pomyślał Tomasz. Ponieważ...

...wtedy dzieją się rzeczy dręczące, jak we śnie, którego nie sposób dokończyć, kobiety stają się nareszcie szczere i jest to gorsze niż gdyby zwyczajnie kłamały, z ruchów ciała, z drobnych, znużonych gestów wyłania się obraz kolejny, a my odwracamy się jednak o tę sekundę za późno... Tak bywa.

Czy każdy pożąda ciemności? – spytała go kiedyś Dagmara. – Ciemności wydrążających śmiertelnie? Dwóch różnych: tej, z której wyszło się na świat, i tej, w którą pragnie się wniknąć? A może jest jedna ciemność i jeden strach na myśl o niej? Czy każdy wyniszcza się stałym pragnieniem całkowitego mroku? – Pytania natrętne, zadawane w poetyce zamierzchłej, dziś śmiesznej, z czego nie sposób nie zdawać sobie sprawy. Lecz skoro brać już na warsztat dążącą do totalności poezję, i skoro chce się w niej zawrzeć także to, czego nikt wcześniej nie ruszał, trzeba przystać na język o wielu, także z przeszłości, rejestrach, trzeba skończyć z materializmem, behawioryzmem i wyłącznością szczątkowych opisów. Zmierzenie do pełni ma swoje przejawy w miłości i formy w literaturze, jeśli nam na niej zależy.

A miłość? Miłość jest niezbadanym, świętym ciałem w ruchu, często ku zatraceniu, jeżeli właśnie nie po nim. Choć uczy nas święty Grzegorz Wielki, że ktokolwiek podejmuje studia, by osiągnąć całkowite poznanie, powinien zacząć od tego, że sprawdzi, jak bardzo sam kocha. Miłość bowiem – jak powiedziane zostało – jest poruszającą mocą umysłu, ową *machina mentis*, która go wydobywa ze świata i na wyżyny wynosi. Ale może, co przypomina kto inny, być także codziennym nieszczęściem, tyle że prze-

żywanym inaczej. Codziennie – od nowa – inaczej. Tyle mądrości w pismach. *Amen*.

Dwanaście dni spędził Tomasz w milczeniu i ciszy, bez telefonów, bez prób napisania listu, bez spotkań. Chodził do pracy, wykonywał swoje obowiązki, ale nie zależało mu w ogóle na kontakcie z kimkolwiek, chciał być sam. Nie mógł jej zniechęcić, myślał, i to nagle wydało mu się najdoskonalszym dowodem miłości. Nie mógł zarazić się nienawiścią trwałą i niespokojną, nie mógł szczerze i mocno pragnąć zniszczyć ją albo jej związek z Adamem, nie umiał przestać wyobrażać jej sobie z czułością i zakłopotaniem, jej gestów, uśmiechów i słów, chociaż były w niej, myślał, już tylko najbardziej zdradliwe i raniące, były w niej tylko te słowa, za którymi nie kryło się nic, może tylko chęć marnej zabawy jego kosztem, chęć upodlenia go, poniżenia.

Dagmara zadzwoniła trzynastego dnia.

– *I Cing* zawyrokował: dwa, *Biorczość*, w dwadzieścia trzy, *Rozpad* – powiedziała, jakby chciała go zranić tym zdaniem.

– No i co? – spytał Tomasz leniwie, bardziej z przyzwyczajenia niż ciekawości.

– Ciebie nie ma – powiedziała Dagmara i Tomasz odłożył słuchawkę.

Od tamtej pory zaczęły się głuche telefony.

– Tak, słucham – Tomasz podnosił słuchawkę, ale odpowiadała mu cisza. – Słucham, słucham – bawił się wypowiedzianiem tych słów pieszczotliwie, mając pewność, że to ona dzwoniła. – No, kochanie – dodawał niekiedy z ironią – tak to sobie nie porozmawiamy. – Ale nigdy nie odezwała się słowem; dzwoniła, wysłuchiwała tych kilku słów jakie miał dla niej, i odkładała słuchawkę. Gdyby zechciała, myślał wtedy, mówić do niego w jakimkolwiek języku, spójnym i oschle precyzyjnym, języku wrogim albo natchnionym i naładowanym liryzmem, gdyby zechciała. Myślał o tym i czuł się upokorzony, oszukany i zostawiony tak bardzo, że pojawiała się w nim pragnienie zemsty, fantazjowanie o tym, że tamten powinien dowiedzieć się o niej wszyst-

kiego: że go zdradziła, i że Tomasz spał z nią. Że tyle razy miała przy Tomaszu orgazm, kiedy on, Adam, słuchał muzyki, surfował po internecie, lub grał. Myśląc o zadaniu jej tego bólu Tomasz czuł wstręt, podobny do wstrętu mordercy. Cierpienie Tomasza stało się jednostajne, miarowe. Codziennie, o zmroku odczuwał ucisk w okolicy klatki piersiowej, chwilami był to prawie bezdech, ból narastał i piętrzył się niczym fala. Potem lekko, jakby to nie o niego chodziło, ból ten puszczał go, na kilka chwil, ale zaraz wracał – słabszy, lecz równie przykry – i tak zostawało do nocy, do chwili zaśnięcia – w znużeniu, w zgrozie, w próżni. Teraz – zanotował Tomasz kilka dni później – teraz ból wziął mnie całego wraz z czasem: zaczął wdzierać się także w poranki. Czasami zdawało się mu, że nie pamięta już, co chciał jej powiedzieć. Pamiętał tylko, że miało to być coś nieodwracalnie okrutnego, jak amputacja albo lobotomia, że miało to być może zdanie, a może kilka zdań, po których nigdy już nie mogłaby być taka sama – ani dla niego, ani dla kogokolwiek innego. Kiedy kończyła się furia i wygasało cierpienie – były momenty, szczególnie podczas pracy, że czuł się całkiem swobodnie i dobrze – nie chciało mu się już tego robić, tracił wiarę, że to cokolwiek zmieni i nawet marzenie o niej stawało się mniej wyraziste.

ROZDZIAŁ XXIX

Cieszył się, że uczestniczył w smutku, to znaczyło, że jeszcze był żywy...

Tomasz pragnął, by to był tylko zły sen. O pająku, który wyszedł nagle zza łóżka, przespacerował się – o ile tak można powiedzieć – dostojnym, pajęczym krokiem i przysiadłszy na brzuchu leżącego bez ruchu, zafascynowanego tym widowiskiem Tomasz, zagadnął go niczym stary i dobry znajomy:

– Jesteśmy do siebie podobni, nie sądzisz?

– Jak to? Co przez to rozumiesz? – Tomasz słyszał swojej słowa, chociaż nie czuł, by poruszał językiem. Był cały skostniały. „Jak w trumnie” – przebiegło mu przez myśl.

– To proste – pająk wydawał się niespieszony, swobodny. – Snujemy swoje sieci, łapiemy w nie pierwszych naiwnych, niszczy ich śmieszne złudzenia, podczas gdy czas niszczy ich ziemskie powłoki – i nas przy okazji. W końcu zabijamy też dusze, oddając ciała w ich pięknie znanemu ci dobrze mordercy, prawda? – Pająk zamilkł na moment, podniósł swój łeb pajęczy i spojrział w zdumioną twarz Tomasza niesamowitym, pajęczym spojrzeniem. Jakby chciał niewiedomo czego. Po chwili znowu przemówił:

– Pamiętasz, mówiłeś kiedyś, że miłość nie istnieje. To prawda. Ale ty tego nie zrozumiałeś. Mówiłeś o tym, nie rozumiejąc, dlatego cierpisz, wyłącznie dlatego. Dlatego jesteś tutaj i robisz to, co robisz. Dlatego, powiem ci to, jesteś żaloszny i śmieszny. Niby wiesz, że możemy opowiadać jedynie swoje sny albo umieranie, ale naprawdę – nie wiesz tego, co najważniejsze.

– Co masz na myśli? – Tomasz zaczynał bawić się przypuszczeniem, że to majak i że nieważne, co powie.

– To, że tu nie o sny i nie o umieranie chodzi. W istocie możemy opowiadać jedynie swój zachwyty albo swoją nienawiść, z rzad-

ka łącząc te sprzeczne uczucia. Nie tak sprzeczne, jak by się mogło wydawać. To zachwyty albo nienawiści streszczamy, lub rozdymamy do rozmiarów obsesji. Odkryłeś w końcu, że wszystko to, co robiłeś i to, czego nie robiłeś z myślą o tej kobiecie, było daremne. Straciłeś rozum, szukałeś pomocy u mistrzów i nie znalazłeś jej, słyszałeś głosy zmarłych, i nawet na mnie trafiłeś, a i tak możesz powiedzieć tylko, że to wszystko było po prostu daremne... A było takie, ponieważ ty tylko śniłeś... Byłeś blisko zrozumienia tego, byłeś blisko poznania prawdy... Ale nie dałeś rady. Dlatego odchodzę. Nie jestem ci już do niczego potrzebny. Poradzisz sobie dalej beze mnie...

– A do czego ty mi mogłeś być potrzebny?

– Tylko ja wiedziałem o tobie i twojej historii wszystko. Tylko ja wiedziałem, że nawet kiedy mówiłeś albo pisałeś o czymś innym, mówiłeś i pisałeś o niej. Że kiedy myślałeś o innych, myślałeś o niej. A nawet... Zresztą, ty wiesz mniej więcej to samo... Ale teraz...

– Co teraz?

– Umieram, durniu.

– Jak to?

– Za długo piłem chorą krew. Straciłem od tego rozum i nie potrafię już utkać sieci, tak by złowić w nie coś do jedzenia. Potrzebowałbym znowu złapać kogoś takiego jak ty... Ale to nie takie proste... – pająk przerwał i odetchnął ciężko. Tomasz zobaczył, czy też zrozumiał nagle, że owad przenika materiał jego flanelowej koszuli i poczuł, jak wchodzi mu w ciało. Wrażenie było koszmarnie i Tomasz przeraził się, zerwał z łóżka, chwycił pióro ze srebrną stalówką leżące na biurku, po czym, nim zemdlał – wbił je w drącego mu skórę na brzuchu, okrwawionego pająka. Wbił bardzo mocno – i zemdlał.

Pustka wokół fotela, na którym ocknął się kilka godzin później, zdawała się nieogarniona. Jakby z całego pokoju wyszana została materia, nawet pył i kurz – i zostały w nim jedynie półprzezroczyste widma. Widmo prostego krzesła, widmo drewnia-

nego biurka, widmo ułożonych na nim kartek. Obok widmowy komputer z widmową myszką, prezentem od widma Dagmary, widmowe zdjęcia na ścianie, widmowe sprzęty, ściany i okna. Nierzeczywiste i obce. Nieznane. Jakby nagle wokół Tomasza zaistniał świat do tej pory ani razu nie brany przez niego pod uwagę, przewidywany wyłącznie w najokrutniejszych majakach i gęstych od lęku snach, wracających do niego wraz z grozą wymazanego z pamięci dzieciństwa. Przecież nie tak miało być – pomyślał. – Nie tego chciałem, nie tak – czuł się bezradny, jak nigdy. To najgorsze – pomyślał z ironią – co się może przytrafić: mieć pewność, że nie tego chcieliśmy. W pewnej chwili przypomniał sobie, że kiedy sięgał po pióro, miał wyraźne przecucie tej śmierci, która może być tylko jedna, nawet jeśli powtarza się wiecznie, od stuleci, jak historia miłosna. A teraz, po przebudzeniu, nie było żadnego pająka. Nie było rozdarcia w koszuli, pognicionej, ale nie poszarpanej. Zdziwienie mogła budzić jedynie mała atramentowa plamka i ślad zadrapania na brzuchu, dwa i pół centymetra powyżej pępka. Na podłodze dostrzegł srebrne pióro wraz z resztkami ułamanej stalówki.

EPILOG

Uniknęliśmy szczęśliwie – zanotował Tomasz kilka dni później – uniknęliśmy szczęśliwie losu bohaterów pewnego bliskiego mi wiersza. To jedno udało się nam – i nic więcej. Lecz nie możemy być pewni, że właśnie tak jest najlepiej, nikt nam nie podaruje pewności, a i sami nigdy jej nie osiągniemy. Mimo to, wsłuchaj się dobrze w ten fragment, Dagmaro, może znajdziesz w tym ulgę na moment, może dalej, już poza wersami, zobaczysz niezdobyty, daleki horyzont, linię nieba złączonego z ziemią, za nim głębię wszelkich daremnych pragnień i otchłanie fantomowych ukojeń, które dać nam może tylko sztuka, tylko ona, i tylko na moment. Posłuchaj:

*Już nie tamta miodowo-płynna doskonałość
Champs-Elysées, z jej dłonią skrytą w jego dłoni,
Lecz przyziemne kleczenie jakiegoś tam domu
Z tego, co się przeżyło, co się przekochało.**

Tak, *przyziemne kleczenie jakiegoś tam domu* – to nie dla nas, i ty o tym wiedziałaś od zawsze, a teraz wiem już i ja. Tak też może wyglądać wielkowiejska rekonwalescencja: długie, samotne wieczory pełne rozważań o tym, czego nie dało się uratować z katastrofy. Z miłosnej rzezi, której ofiary nie mogą już mówić do siebie, ani tym bardziej milczeć, bo jest tak, jakby ich nigdy nie było i jakby mowa z milczeniem stopiły się w paradoksalną jedność, o której wiedzą, że właśnie w tej chwili należy do nich – wyłącznie. Wiesz, o czym mówię, Dagmaro. Zawsze wiedziałaś. I w pierwszym śnie i w Lizbonie, w „Kuchciku” i w Petersburgu.

* Fragment wiersza Jamesa Merrilla *Wielkowiejska rekonwalescencja* w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

Może Tomasz, którego poznałaś, był tylko twoim snem, a może to wszystko to tylko *zbitki słów choroby? zbitki pajków?**

Wszyscy, lub prawie wszyscy, znają opowieść o Wangu, któremu śniło się, że jest motylem. O tym, jak przysiadł wśród traw i kwiatów, latał to tu, to tam, na tle nieba. O tym, jak nagle obudził się i nie wiedział, czy jest Wangiem, któremu śniło się, że jest motylem, czy motylem, któremu śniło się, że jest Wangiem.

Tomasz też nie wiedział już, czy opowiedział tylko sen o kobiecie, czy umieranie nie śnione, lecz boleśnie, prawdziwie obecne. Na pewno było to jedno z najbardziej osobistych doświadczeń jego życia, które odtąd miało być – chciał właśnie tak o nim myśleć – całkiem inne. W tym innym życiu on też będzie – myślał – kimś innym, mężczyzną spokojnie i ostatecznie samotnym. Wiedział też, dzięki wspomnieniom, że prawdy o swojej przeszłości nie posiadzie nigdy – jak tej kobiety, którą tracił już tyle razy. Ponieważ jedno i drugie – prawda i taka kobieta – są poza zasięgiem każdego, kto odczuł w sobie samym rozdarcie. Wolał więc śnić, że jest kimś innym, na przykład autorem niewysłanych listów, na przykład Wangiem, albo też kolorowym, beztroskim motylem. A kiedy budził się, czasem cieszyło go, że nie potrafi już stwierdzić, czy jest wciąż sobą, Tomaszem, czy na przykład motylem który śnił, że przez chwilę był nim. Myślącym od czasu do czasu o niej, pracującym jak wszyscy, bawiącym się, i zmęczonym. Zapisującym umieranie lub sny, notującym wytrwale nienawiść i zniechęcenie, a także wciąż w nim obecny, chociaż słabszy niż dawniej – zachwyty. Nagrywającym swoje monologi. Kasującym ich niektóre fragmenty. Odnajdującym się w jednych i drugich, gubiącym się w jednych i drugich. Zanurzony w mijających miesiącach Tomasz był – i nie było go przez ten czas wcale.

* Fragment wiersza Bartłomieja Majzla *pajak-czułość*.

I nie chciał już wiedzieć tego, jak to z nią było naprawdę. Rozumiał, że stawianie pytań, to budzenie niebezpiecznego pajaka, który ukrył się sprytnie w ciemnościach i czeka tam, by ukąsić – i zabić. Tomasz siedział bez ruchu – milczący, spokojny, świadomy i wyzbyty pragnień. Patrzył na paszport leżący na stole tuż obok połamanego pióra i stosu zapisanych kartek. Patrzył na zakurzone książki zajmujące dwa duże ciemne regały. Patrzył na brzoskwiniową reprodukcję ulubionego obrazu. Całym ciałem czuł prądy powietrza, falą chłodu obejmował go zmierzch. Czas otworzył się na ten moment w błysku, tak że widać było w nim darowaną wieczność. Przez ten moment Tomasz żył poza czasem, przez ten moment był szczęśliwy jak nikt.

Spis treści

PRZEDMOWA	9
-----------------	---

I

...może każde uczucie miało kiedyś swój język, który mu odpowiadał

ROZDZIAŁ I	
Niebezpiecznie jest zakochać się we śnie, dać wypełnić się tajemnicami... ..	13
ROZDZIAŁ II	
Pomiędzy ustalonymi datami wiele niejednoznacznych zapisków	19
ROZDZIAŁ III	
Miłość to kilka ekstaz i nieprzeliczone ilości obrazów... ..	26
ROZDZIAŁ IV	
Dzień w dzień smutne perwersje, noc w noc krzyk wewnątrz; bezgłośnie... ..	31
ROZDZIAŁ V	
Dzieło stanowi wspomnienie każdej miłości przeszłej... ..	38
ROZDZIAŁ VI	
Ten chart miał oczy jak kochanka po stosunku – Skąd wiesz? – Bo miałam... ..	43
Pamiętał	48
ROZDZIAŁ VII	
Miał złą twarz – Jak to? – Nosileś kiedyś w oczach diabła?	51
ROZDZIAŁ VIII	
Przeszłość – myślał – jest wielką porażką, a ona była taka jak zawsze	59
ROZDZIAŁ IX	
Znajdowane między kolekcjami, stronami wykładów, w traktatach – obce notatki o duszy, jej pozach i zwyrodnieniu.....	69
ROZDZIAŁ X „Płodzić w pięknie” to wyniszczać się – o tym Platon zapomniał napisać	71

II

...ale potem zmuszeni byli mówić językiem niepewnym

ROZDZIAŁ XI	
Każdy poznaje szczątki, żywi się fragmentami	81
ROZDZIAŁ XII	
Czuwający mają świat wspólny, śpiący są odwrócenii do swoich światów osobnych	88
ROZDZIAŁ XIII	
Przeklęte sztuczki, wybiegi, nieufność – w sekwencji przeczuć na przemian z zachwytem i rozkojarzeniem	90
ROZDZIAŁ XIV	
Zanurzyć się w irracjonalnym, na moment, z dowolnej strony	100
ROZDZIAŁ XV	
Liubow zła, poljubisz i kozła	113
Pamiętał	118
ROZDZIAŁ XVI	
Piękny i poszukiwany stan – zła gorycz	121
ROZDZIAŁ XVII	
Zagadki zjawiają się nieoczekiwanie	131
ROZDZIAŁ XVIII	
Zapisać skowyt na widok zjawy, będącej nami za chwilę, niebawem	139
ROZDZIAŁ XIX	
Historia w historii jest zawsze, tym razem to baśń o syrence	143
ROZDZIAŁ XX	
Każda noc jest ostatnia, jeżeli tak o tym myśleć	147
ROZDZIAŁ XXI	
Niezliczona ilość anomalii ludzkich	154

III

...i tak nie udawało się mówić o tym, co najważniejsze

ROZDZIAŁ XXII	
Ukrywali się nawet przed sobą	161
ROZDZIAŁ XXIII	
Urok dematerializacji	
rzeczywistych postaci i zdarzeń	166
ROZDZIAŁ XXIV	
Ale o tym, gdzie właśnie byli,	
wiedzieli najmniej	171
ROZDZIAŁ XXV	
...i inne techniki łączenia się z Absolutem	176
ROZDZIAŁ XXVI	
Więc i ona miała swój znak, tajne znamię	186
ROZDZIAŁ XXVII	
Placebo i morfina na przemian w tamtym czasie.....	
192	
Pamiętał	194
ROZDZIAŁ XXVIII	
Najdoskonalsze dowody bywają niedostrzegalne	198
ROZDZIAŁ XXIX	
Cieszył się, że uczestniczył w smutku,	
to znaczyło, że jeszcze był żywy.....	203
EPILOG	206